

MAX CZORNYJ

Czasem śmierć jest jedynym sposobem,
by uniknąć cierpienia.

PIEKŁO

10 TOM
BESTSELLEROWEJ
SERII

FILIA

MAX CZORNYJ

PIEKŁO

FILIA

Bohaterskim żołnierzom ukraińskim

odpierającym wschodni mrok

*Diabeł to trzyma nici, co kierują nami!
Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznym okiem –
Co dzień do piekieł jednym zbliżamy się krokiem
Przez ciemność, która cuchnie i na wieki płami.*

*Jak żebraczy rozpustnik, co gryząc przyciska
Męczeńską pierś strudzonej starej nierządnicy,
Kradniem rozkosz przejściową – w mroków tajemnicy,
Jak zeschniętą pomarańczę, z której sok nie tryska.*

*Niby rój glist, co mrowiem gęstym się przewala.
W mózgu nam tłum demonów huczy z dzikim śmiechem,
A śmierć ku naszym płucom za każdym oddechem
Spływa z głuchymi skargi jak podziemna fala.*

Charles Baudelaire,

Kwiaty zła,

tłum. Antoni Lange, Adam M-ski

1

Nic nie zdradzało bliskości śmierci. Mężczyzna przeniósł kobietę na rękach, jakby wstępowali do nowego domu prosto po ślubie. Posadził ją przy drewnianym kuchennym stole i włożył dłonie do kieszeni.

– Masz na coś ochotę? – zapytał troskliwie. – Na kawę, a może na wino?

– Nie. Nie dam rady nic przełknąć.

– W porządku. To nie potrwa zbyt długo.

Kobieta oparła brodę na zgiętym nadgarstku i zamruwała. Z jej oczu ciekły łzy, lecz nie zamierzała ich ocierać. Była piękna. Mężczyzna całymi godzinami mógł kontemplować rysy jej twarzy. Jej mały, kształtny nos, mocne kości policzkowe, delikatne uszy i włosy w kolorze przypominającym dojrzałe zboże. Mogła mieć, kogo tylko zapragnęła, lecz wybrała jego. Był szczęściarzem.

Odwrócił się i cicho, niczym ktoś, kto spóźniony wemknął się do teatru, zamknął drzwi. Podszedł do stołu, ale przy nim nie usiadł. Zacisnął usta. Położył rękę na dłoni kobiety, a ich palce splotły się tak, jak przez ostatnie lata spletały się setki razy. W jego oczach również zaskrzyły się łzy. Starał się jednak je zlekceważyć.

Pocałował kobietę w czoło i zmusił się do uśmiechu. Patrząc jej prosto w oczy, gładził palcem wierzch jej dłoni.

– Jak myślisz? – zapytał łagodnie. – Już czas?

– Tak.

Poważnie pokiwał głową.

– A więc dobrze. Kocham cię.

– Ja też ciebie kocham. Bardzo.

Kobieta również wygięła usta, siląc się na uśmiech. Mimo to jej oczy pozostały martwe. Mężczyzna ponownie dostrzegł na jej twarzy ból i bezgraniczne zmęczenie. Przez ostatnie minuty starał się je lekceważyć, odtwarzając oblicze, które pamiętał sprzed wielu miesięcy. Z miesiąca na miesiąc coraz słabiej. Czasem się nawet zastanawiał, czy aby go nie wyidealizował i nie wyobraża sobie kogoś całkowicie innego. Jakiejś dawnej miłości lub postaci z czytanych w dzieciństwie baśni. Nie, to była ona, ale... Dość. Musiał skończyć z tymi wiecznymi wątpliwościami. Musiał wziąć się w garść i dokończyć to, co zostało już postanowione.

Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Wsunął jednego do ust, po czym wyciągnął zapalniczkę. Przeniósł wzrok na zaklejone taśmą klejącą framugi okien, na zakryty sztywnym kartonem wywietrznik, a wreszcie na kuchenkę gazową, na której palnikach pełgały błękitne płomienie. Głęboko wciągnął słodkawy, lepki zapach i nacisnął zapalniczkę. Huk eksplozji był słyszalny z odległości ponad kilometra. Śmierć, jak to często bywa, zjawiała się natychmiast i całkowicie niespodziewanie.

2

– Poproszę jedynie o receptę.

– Wie pani, że nie możemy tego przeprowadzić w ten sposób. Musimy porozmawiać, a potem...

– Nie potrzebuję rozmowy. Rozumie pani? Kiedy wbije to sobie pani do łba?

Tamara Haler spojrzała prosto w oczy kobiety po drugiej stronie biurka. Nie chciała być niegrzeczna, lecz puszczały jej nerwy. Z dnia na dzień traciła siły. Przytłaczało ją poczucie przeraźliwie szybko uciekającego czasu.

Nie zgodziła się, by usiąść na kozetce, i uparcie obstawała przy pierwotnym planie. Żadnych pogaduszek, żadnych terapii, tylko farmakologia. Postanowienie dochowania tych trzech zasad było jednym z argumentów, które przekonały ją do umówienia się na wizytę do poradni psychologiczno-psychiatrycznej.

Lekarka złożyła dłonie na biurku i zacisnęła usta. Również nie spuszczała wzroku

z rozmówczyni.

– A jednak ponownie zgłosiła się pani właśnie do mnie – stwierdziła z zaciekawieniem. – Dlaczego?

– Uznajmy, że była to kwestia kwerendy przeprowadzonej na Znanyml lekarzu albo na innej podobnej stronie. Chrzanić to.

– Wyczytała tam pani, że wystawiam recepty ot tak? Bez jakiegokolwiek oceniania stanu pacjenta?

– Znowu mnie pani analizuje?

Haler odgięła do tyłu głowę i przymknęła oczy. Nabrała głęboko powietrza, jakby w ten sposób usiłowała powstrzymać wybuch złości. Prawda była taka, że reklamę poradni odnalazła w skrzynce mailowej i czysty przypadek sprawił, że uważnie się z nią zapoznała. Przypadek albo podświadomość, teraz wołała się nad tym nie zastanawiać.

– Cierpi pani na płasawicę Huntingtona. – Lekarka odsunęła od siebie plik dokumentów i uważnie przyjrzała się Tamarze. – Wie pani, że choroba wkracza w finalne stadium i to wywołuje liczne obawy. Główne pytanie, które sobie pani stawia, brzmi zapewne: „Jak długo?”.

– Może. – Haler nerwowo wzruszyła ramionami. – Nie rozmawiam o swoich prywatnych problemach z nieznanymi. Wystawi mi pani tę receptę?

– Proszę mi jedynie powiedzieć, jak brzmi całe pytanie.

– Czy to forma terapii?

– Uznajmy, że jej przyspieszona wersja. Potem dostanie pani receptę.

Tamara położyła dłonie na udach i zagryzła usta. Rozejrzała się po gabinecie. Było to niewielkie pomieszczenie, do którego przez podwójne okno wpadało sporo światła. Okno znajdowało się za plecami lekarki, więc gdy wyszło słońce, aby na nią patrzeć, należało mrużyć oczy. Mógł to być umyślny zabieg lub zbieg okoliczności. Haler za wszelką cenę usiłowała wyzbyć się odruchu analizowania szczegółów.

Powiodła wzrokiem po metalowym regale pełnym książek, po wygodnej, niskiej sofie oraz szklanym stoliku z opakowaniem chusteczek na blacie. Wreszcie ponownie utkwiała spojrzenie w szczupłej, około czterdziestoletniej kobiecie po drugiej stronie biurka.

– Chciałaby pani, abym teraz dopytała się, o co właściwie pani chodzi, prawda? – Uśmiechnęła się, wydymając wargi. – Sądzi pani, że boję się sformułować całe pytanie i dlatego brzmi ono: „Jak długo?”. Ale ja naprawdę mogę je postawić w pełnej formie: „Jak długo jeszcze pociągnę? Jak długo potrwa, nim osunę się w ciemność, trafię między urocze aniołki albo do wypełnionego smołą kotła?”.

– To jest ta cezura? – Lekarka nieco się pochyliła w jej stronę. – Aniołki lub kocioł? Proszę być szczerą przede wszystkim z samą sobą.

Haler westchnęła. „Anna Witner” – odczytała na identyfikatorze psychiatry, po czym założyła nogę na nogę.

– Okej. Możemy przejść dalej – fuknęła. – Prawdliwe pytanie brzmi: „Jak długo potrwa, nim przestanę być świadoma i nim będę obciążeniem dla świata?”.

– Od razu lepiej. Teraz widzę, że mówi pani zgodnie z sumieniem.

– To nie ma nic wspólnego z moim sumieniem.

– Naprawdę?

– O co pani, do cholery, chodzi? Proszę wystawić ten pieprzony kwitek, wydrukować paragon i „baj, baj”, nigdy więcej się nie zobaczymy.

Lekarka ponuro pokiwała głową. Powoli wytoczyła się z biurka na wózku inwalidzkim i podjechała niemal do samego fotela Haler. Splotła dłonie na udach.

– Martwi mnie, że oba wydarzenia pani synchronizuje. Śmierć oraz bycie obciążeniem dla świata. Osoby cierpiące na płasawicę przy pewnym wsparciu mogą funkcjonować całymi miesiącami, poza tym...

– Darujmy sobie tę pogadankę.

Anna Witner wzruszyła ramionami. Ponownie skierowała wózek za biurko i odezwała się, nie patrząc na Tamarę:

– Przypuszczam, że ma pani myśli samobójcze. Choć jeszcze nie są wyrażone wprost, klarują się

i niebawem znajdą ujście. Dlatego chce pani wykupić najmocniejsze tabletki? Wyczytała pani, że doskonale nadają się, by ze sobą skończyć?

Witner gwałtownie się obróciła i zmierzyła wzrokiem Tamarę.

– Proszę nie protestować – odezwała się, nim komisarz zdążyła wejść jej w zdanie. – Jednak niech pani pamięta, że zawsze może się do mnie zgłosić. Wypiszę pani receptę na najmniejsze opakowanie, a za kilka dni spotkamy się ponownie. Dobrze?

– Wolałabym nie.

– Proszę, to pani przepustka do świata bez bólu. – Lekarka położyła na biurko kwitek, po czym ponownie się odchyliła. – A teraz pozwoli pani, że zapytam o coś poza terapią. Wiem, kim pani jest, i potrzebuję drobnej pomocy.

Haler zmarszczyła czoło i sięgnęła po podłużny druczek. Z zaintrygowaniem założyła za uszy pasemko włosów.

– O co chodzi?

– Miałam pewnego pacjenta...

Lekarka odchrząknęła, po czym sięgnęła do szuflady biurka. Wyciągnęła z niej plik kartek i podała je Tamarze.

– To kompletnie nieprofesjonalne, ale traktuję teraz panią jako policjantkę, a nie pacjentkę.

– Co to jest, do diabła?

– Proszę przeczytać.

Haler wyprostowała się i pośpiesznie zaczęła zapoznawać się z tekstem. Z każdym słowem jej serce biło w coraz szybszym tempie.

3

– Zgodnie z przepisami tajemnica lekarska nie obowiązuje, gdy istnieje zagrożenie dla życia lub zdrowia mojego pacjenta lub...

Haler uniosła dłoń, przerywając wywód lekarki. Jeszcze raz przeczytała kilka akapitów trzymanego w dłoni dokumentu. Była to transkrypcja spotkania, jakie Witner przeprowadziła poprzedniego dnia. Przez całą kilkudziesięciminutową wizytę Feliks Lauch powtarzał, że chce kogoś zabić. Myśl ta miała go całkowicie opętać i natrętnie się przewijać w trakcie wszelkich czynności dnia codziennego. Nie potrafił sprecyzować, kogo chce zabić ani dlaczego. Było dla niego istotne jedynie odebranie życia „jakiemuś człowiekowi”. Kilkukrotnie zaczynał się rozwodzić nad metodami, jakie chciałby zastosować przy mordowaniu, ale wówczas lekarka mu przerywała.

Pod koniec wizyty Lauch wydawał się nieco uspokojony i zapewnił, że wyrażał się jedynie metaforami. Postawił tezę, że najwyraźniej chodziło mu o symboliczne wyeliminowanie ze świata zła, jakie uosabiało się w kilku bliskich mu osobach. Nie zamierzał jednak ich zabijać, a po prostu zerwać z nimi kontakt. Powtórzył to kilkukrotnie i z pełną determinacją.

– Uznałam to za lekkie zaburzenia psychotyczne. – Lekarka oparła dłonie na wózku i zabębniła palcami o oparcie. – Przepisałam mu właściwe środki i poprosiłam o kontakt telefoniczny już kilka godzin po wizycie.

– Nie skierowała go pani do ośrodka zamkniętego?

– Nie mogłabym. W Polsce nie jest tak łatwo umieścić kogoś w psychiatryku. Przynajmniej kogoś nieubezpieczonego.

– Ale on...

Witner pokręciła głową.

– Nic nie wskazywało, aby mógł być niebezpieczny dla otoczenia. Te wszystkie słowa, zapewnienia i tak dalej, to była gra. Działanie na pokaz, aby się nim zainteresować.

– A jednak pokazuje mi pani ten dokument.

– Owszem. Kiedy zobaczyłam pani nazwisko w systemie, od razu skojarzyłam je z kilkoma medialnymi sprawami. Moje ciało niedomaga, ale na szczęście mam całkiem niezłą pamięć.

– Nie sądzę, by normalną procedurą było konsultowanie każdego podobnego przypadku

z policjantami chcącymi usiąść na kozetce.

– Nie. Jednak od dzisiejszego poranka nie jest to normalna sprawa i nie stosują się do niej normalne procedury.

Haler przekrzywiła głowę i splotła ręce na piersi. Choć standardowo psycholodzy interpretowali ten gest jako symboliczne zamknięcie się na rozmówcę, była zaintrygowana i czekała na ciąg dalszy relacji Witner. Zdała sobie sprawę, że od początku spotkania kobieta była zdenerwowana, a poruszane tematy miały jedynie odsunąć w czasie nieprzyjemny moment wyłożenia na stół własnych kart. Wcale nie chodziło o jej samopoczucie ani niechęć do wystawienia recepty.

– Co się stało dziś rano? – dopytała, ponaglając lekarkę.

– Najpierw muszę dodać, że wczoraj do późnego wieczora czekałam na telefon od pana Laucha. Gdy nie zadzwonił, około dwudziestej usiłowałam się z nim skontaktować osobiście.

– Nie odebrał?

– Nie. A w systemie nie mam jego adresu, nie podał go, argumentując, że rzekomo jest tu tylko przejazdem i mieszka w różnych hotelach lub na rozmaitych stacjach.

Haler sapnęła.

– I dlatego że nie odebrał od pani telefonu, uznała pani, że mógł wcielić swoje groźby w życie? To dość naciągane. Nie obawiałabym się tego i znalazła co najmniej milion powodów, aby nie odebrać wieczorem telefonu od psychiatry.

– Niech mi pani pozwoli skończyć. To było wczoraj, a wszystko zmieniło się dziś rano.

Witner po raz kolejny sięgnęła do szuflady i tym razem wyciągnęła z niej pojedynczą kartkę. Podała ją Haler.

– To wydruk maila, który pan Lauch przesłał na mój adres firmowy półtorej godziny przed pani przyjściem. Proszę wybaczyć za słowo, ale to kompletnie popieprzone.

4

Szelest kroków wyrwał mężczyznę z odrętwienia. Poruszył się i usiłował rozciągnąć, lecz krępujące go liny uniemożliwiały niemal jakkolwiek ruch. Zamrugał. Wokół panowała całkowita ciemność, która zdawała się go wręcz otulać. Tonął w ciemności i był ciemnością. Być może już nie żył, ale nie... Przecież wyraźnie to słyszał.

Kroki stawały się coraz głośniejsze i serce mężczyzny przyspieszyło. Poczuł, że pot okleja jego kark oraz czoło. Pojedyncze krople ściekały do szeroko rozwartych oczu, tak że te zaczęły go piec. Żył. Bez wątpienia.

Nagle w pomieszczeniu zapaliła się żarówka, której światło zupełnie go oślepiło. Skrzywił się i spuścił głowę. Usiłował się skulić, choć to również było niewykonalne.

– Boisz się?

Zadane chrapliwym, kpiącym tonem pytanie sprawiło, że przebiegł go dreszcz. Nie chciał otwierać oczu, nie chciał zobaczyć twarzy porywacza ani w ogóle z nim rozmawiać.

– Wypuść mnie – zaskomlał. – Dlaczego mnie więzisz? Nie rozpoznam cię ani nie zgłoszę na policję, obiecuję.

– Wiem, że niczego nie zgłosisz.

– Wypuść mnie...

– Nie powtarzaj się. To nic nie da.

Kroki ucichły, ale skrzępowany mężczyzna wiedział, że jego porywacz stoi tuż obok. Słyszał jego głęboki, nieco rżący oddech. Nawet z zaciśniętymi powiekami czuł jego obecność, tak jak obecność kota wyczuwa mysz zagoniona w ślepy zaułek pokoju. Człowiek dzielił ze zwierzętami znacznie więcej instynktów niż tylko instynkt przetrwania. Instynkt nadchodzącej śmierci był jednym z nich.

– Spójrz na mnie – nakazał porywacz. – No, śmiało.

– Nie, ja naprawdę...

– Patrz!

– Ale...

W tym momencie na twarz skrępowanego chlusnęła wrząca ciecz. Mężczyzna cicho jęknął i zadrzał z bólu. Otworzył usta, by głęboko zaczerpnąć powietrza. Paliły go policzki oraz lewe ucho. Miał wrażenie, że skóra odkleja się od czaszki, po czym rozpuszcza. Nos piekł, jakby chwycono go rozgrzanymi do czerwoności szczypcami i wygięto. Mimo to wciąż miał zamknięte oczy. Za żadną cenę nie chciał zobaczyć oprawcy, licząc, że ten w końcu go wypuści.

– Dlaczego to robisz?

Chciał zadać to pytanie, lecz w rzeczywistości z jego ust dobył się jedynie niezrozumiały bełkot. Ciąg dźwięków przypominający skomlenie potraconej przez samochód sarny.

– Kwas uszlachetnia, choć użyłem go naprawdę mało – wycedził porywacz. – Już nigdy nie będziesz miał ładnej buźki. Zresztą po śmierci skóra i tak szybko się łuszczy. Złazi całymi płatami, jakbyś się przesadnie opalił.

Serce porwanego podeszło niemal do gardła. Mężczyzna zaczął się dławić i cały trząść.

– Dlaczego mówisz o śmierci? Ja... Ja...

Zabrakło mu słów, a myśli się poplątały. Krople kwasu rozpuściły podkoszulek i wżerały się w jego klatkę piersiową. Zapewne tworzywo sztuczne właśnie wtapiało się w jego skórę, ale nie chciał tego widzieć. Pragnął jedynie, by ten szaleniec go wypuścił. By pozwolił mu pójść wolno i nie mówił już nic o śmierci ani o umieraniu. Nie chciał umierać.

– Proszę – wybełkotał. – Błagam!

– Za późno.

Porywacz nagle kucnął tuż przy nim, po czym chwycił go za ramię. Był bardzo zwinny i silny. Bez trudu umieścił jego rękę w metalowym stelażu przypominającym rynnę lub usztywnienie sprawiające, że staw łokciowy musiał być całkowicie wyprostowany.

– Boże, co to jest?

Mężczyzna delikatnie otworzył obolałe powieki, co wywołało kolejną falę bólu. Jęknął, ale widok metalowej konstrukcji na moment przytłumił zmysły.

– Co chcesz zrobić? Co to... Do diabła, wypuść mnie!

– Jeśli chcesz krzyczeć, to krzycz.

– Wypuść mnie!

– Głośniej! Wrzeszcz głośniej, a i tak to nic ci nie pomoże!

Porywacz ponownie go szarpnął i zaczął coś przykręcać do zakończenia metalowej rynienki. Dopiero po chwili skrępowany mężczyzna zrozumiał, że to ogromna maszynka do mięsa, jaką w sklepach mieli się największe kawały surowizny.

– Co ty! Czy... Boże!

Oprawca obrócił korbę, która sprawiła, że metalowy stelaż minimalnie się przesunął, a palce skrępowanego trafiły w otchłań mechanizmu. Jego paznokcie oraz paliczki zostały momentalnie zmielone. Skóra napięła się i rozerwała na kłykciach. Gdyby szaleniec działał bardziej zdecydowanie, zerwałby ją jak rękawiczkę.

Kolejny obrót korby sprawił, że niemal całe palce mężczyzny znalazły się we wnętrzu maszyny. Po metalowej rynience spływała krew, która rozbryzgując się, skapywała na podłogę. Okaleczony człowiek zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Jego krzyk odbijał się echem od gołych ścian.

– Nie chcesz umierać? – syknął porywacz. – Nawet jeżeli śmierć jest jedynym sposobem, by uniknąć cierpienia?

Korba poruszyła się po raz kolejny, tym razem masakrując wnętrze dłoni mężczyzny. Metalowe przekładnie zdruzgotały kości i ścięgna. Strzęp pokrytej ciemnymi włoskami skóry zakręcił się i naprężył, rolując nieco powyżej nadgarstka. Krzyk torturowanego zamienił się w charkotliwy jęk. Porywacz po raz kolejny obrócił korbę i parsknął śmiechem.

– Naprawdę nie chcesz umierać? To dobrze, bo to dopiero początek twojej męki.

biurka. Przez chwilę zamyślona wpatrywała się w podłogę. Wreszcie przeniosła wzrok na Annę Witner. Lekarka niecierpliwie oczekiwała jej reakcji. Z zacisniętymi ustami przysunęła wózek niemal do samego biurka i kurczowo zacisnęła palce na jego poręczach. W tym momencie wydawała się naprawdę bardzo bezsilna i chora. A do tego całkowicie przerażona.

– Nic pani nie powie? – zagadnęła ponurym tonem.

Haler westchnęła. Jeszcze raz sięgnęła po kartkę i przyglądała ją wierzchem dłoni, jakby to miało jej pomóc odczytać jakąś ukrytą treść. Mamrocząc, przeczytała trzy akapity o krępowaniu człowieka oraz mieleniu jego ręki maszynką do mięsa, a następnie głęboko wstrzymała powietrze. Po chwili przeszła do ostatniego fragmentu.

Gdy jego całe ręce będą przypominały porcje gotowe do przyrządzenia spaghetti, zajmę się jego oczami. Zadbam o to, żeby był nadal przytomny, może mi pani zaufać. Nie pozwolę jego świadomości odpłynąć w nieznane rejony. Nie pozwolę mu oddać się nicości. Szpikulec do lodu doskonale nada się do nakłucia gałek ocznych. Będę go w nie wbijał, jakbym masakrował skorupkę jajka ugotowanego na miękko. Zza powiek zamiast żółtka wypłynie ciało szkliste. Czy ktoś, kto traci wzrok, na powrót chce umrzeć i wrócić do łona matki, do cuchnącej ziemi cmentarza? Zobaczymy. Zobaczymy to wtedy, gdy na niego spłynie ciemność.

Pod spodem znajdował się jeszcze długi ciąg cyfr zmieszanych z literami, które Tamarze niczego nie mówiły. Ponownie łypnęła na terapeutkę. Kilka fragmentów zwróciło jej uwagę, lecz na razie wolała zostawić przemyślenia dla siebie.

– Proszę najpierw powiedzieć, jak pani odbiera to pismo jako psychiatra – odezwała się, chowając do kieszeni drżącą dłoń. – Nie muszę chyba pytać, czy uważa pani, że groźby mogą zostać wcielone w życie.

Witner parsknęła.

– Liczyłam na pomoc, nie na przesłuchanie.

– Czasem pomoc zaczyna się właśnie od przesłuchania. Poza tym jestem tu zupełnie nieformalnie, na zwolnieniu i lada moment mogę o wszystkim zapomnieć. Podam pani numer do kolegów. Zresztą zawsze pozostaje do dyspozycji sto dwanaście.

Haler odwróciła się i zrobiła ruch, jakby kierowała się do wyjścia. W tym samym momencie Witner odchrząknęła.

– Proszę zaczekać. Wiem, że pani jest dobra w tym, co robi, i... Mam do pani zaufanie. Sama nie mam pojęcia, czy powinnam to zgłaszać na policję, ale za każdym razem, gdy analizuję te słowa, wierzę w to coraz mocniej.

– Że są prawdziwą groźbą?

– Są całkowicie przemyślane i metodyczne. Nie ma w nich chaosu ani zbędnych informacji. Poza tym Lauch doskonale znał się na internecie. Wspominał mi o swojej pasji i informatycznych zainteresowaniach, a ja... – Witner sięgnęła po długopis, obróciła go w dłoni i ponownie odłożyła do metalowego koszyczka. – A ja sama podsunęłam mu pomysł, że powinien spisać swoje myśli właśnie w formie maila. Skoro to była dla niego najlepsza metoda wyrazu, mógł się otworzyć i działać całkowicie szczerze.

– Pytanie, czy pisał o fantazjach, czy o tym, czego już się dopuścił.

– Boże... Nawet nie chcę o tym myśleć.

– A ten ciąg liter oraz cyfr... Czy coś pani mówi?

Witner pokręciła głową. Rozłożyła ręce w geście bezradności i odsunęła się nieco od biurka.

– Kompletnie nic. Nim pani przyszła, wpisałam go nawet do wyszukiwarki internetowej, ale nie otrzymałam żadnego sensownego wyniku. Dlatego uznałam...

– Internet! – Haler pstryknęła palcami. Mimo że ciąg znaków wrył się w jej doskonałej pamięci, uznała, że zrobi zdjęcie telefonem komórkowym. Wykonała kilka fotografii, po czym, nie reagując na niecierpliwe spojrzenia Witner, przesłała je komuś ememesem.

– Czy czegoś się pani domyśla? – Lekarka nie spuszczała z niej wzroku. – Co pani robi?

– Czekam na odpowiedź.

– Dlaczego jest pani tak nieuprzejma? Skąd te emocje względem kogoś szukającego pomocy?

Haler jedynie machnęła ręką. Błyskawicznie analizowała, czy nie powinna jeszcze o coś dopytać lekarki. Była jednocześnie podekscytowana, pobudzona oraz wściekła. Od tygodni planowała wreszcie skończyć ze służbą i odpocząć. Miesiąc, dwa, a może aż do śmierci. Lekarze nie byli całkowicie zgodni, ale ponoć nie zostało jej zbyt wiele życia. Najwięksi optymiści mówili o pół roku świadomości. Realisci o dwóch, trzech miesiącach.

Z zamyślenia wyrwała ją wibracja komórki. Odpowiedź od ViSira, wybitnego informatyka na usługach wydziału kryminalnego, nie pozostawiała wątpliwości.

Si, mademoiselle, to adres do darknetu. Skąd go masz?

Haler bez słowa pchnęła drzwi i wybiegła z gabinetu. Pędząc na parking, utworzyła wiadomość ze zdjęciami wydruku całego maila. Tym razem przesłała ją pod numer komisarza Deryły.

6

Haler od pewnego czasu zamierzała skończyć z jazdą motocyklem. Nagłe drętwienia oraz niekontrolowane odruchy stawały się coraz częstsze, wobec czego nie chciała być niebezpieczna dla innych uczestników ruchu. Swoje zdrowie miała w głębokim poważaniu, ale wyrządzenie krzywdy komuś niewinnemu stanowiło najmocniejszy argument. Mimo to każdego dnia usilnie przekonywała się, że jeszcze da radę. Jeszcze jedna jazda lub jeszcze choć sto kilometrów. Uwielbiała swój wielki, ciężki jednoślad i podróżowanie na nim było jednym z najintensywniejszych przejawów tego, że w ogóle żyje. Sprzedając go lub odstawiając na dobre do garażu, pochowałaby się żywcem. Nie był to bynajmniej eufemizm.

Pędząc z nieprzepisową prędkością obwodnicą Lublina, delectowała się szumem powietrza oraz poczuciem bezgranicznej wolności. Do tego jeden ruch kierownicą mógłby sprawić, że jej cierpienie oraz wszelkie obawy stałyby się nieistotne. Znikłaby z tego świata. Było to jednak rozwiązanie zbyt banalne i mogące przysporzyć innym zbyt wielu problemów. A obawa o to była znacznie silniejsza od obawy o to, co za dwa lub trzy miesiące będzie się działo z jej ciałem.

Płasawicę Huntingtona zdiagnozowano u niej prawie przed trzema laty i przez ten czas trzymała się całkiem nieźle. Co do zasady przed tą chorobą medycyna niezmiennie bezradnie rozkładała ręce. Leczenie objawowe mogło jedynie odkładać w czasie nieuniknione. Zresztą drżenia oraz niekontrolowane odruchy stanowiły tylko tę jaśniejszą stronę medalu. Haler znacznie bardziej bała się postępującego otępienia oraz nieuchronnej bezradności. W pewnym momencie stan chorujących na płasawicę przypominał wegetację. Resztki świadomości jedynie sporadycznie ożywały w sparaliżowanym ciele, przejawiając się błagalnym wołaniem o pomoc. To była wizja, która ją przerażała i niemal codziennie powracała w koszmarach.

Od kilku miesięcy Haler dostrzegała, że coraz więcej rzeczy zapomina oraz że mylą się jej rozmaite terminy. Nie miała wątpliwości, że fotograficzna pamięć zaczynała zawodzić na całej linii, a poczucie osadzenia w rzeczywistości stawało się rozchwiane. Czwartki stawały się wtorkami, piątki środami, a nagle w niedzielę zastanawiała się, czemu nie jest w pracy. Co prawda szybko potrafiła zapanować nad tymi myślami, ale do jej umysłu wkradał się chaos i nie potrafiła się tego wyprzeć. Po ostatniej sprawie poprowadzonej z komisarzem Deryłą zdecydowała się, że kończy ze służbą. Mogłaby się ubiegać o rentę lub starać o przeniesienie do innego pionu śledczego, lecz było to sprzeczne z jej charakterem. Wołała odejść na własnych zasadach. Tak samo jak przed dwoma laty bez uprzedzenia niemal kogokolwiek rzuciła służbę w Krakowie i przeniosła się do Lublina. Tylko po to, by odciąć się od ludzi, którzy, jak sądziła, nie powinni patrzeć na jej powolne umieranie. Tym bardziej była na siebie wściekła, że w Lublinie zawarła nowe znajomości, a komisarz Deryło stał się jej bliski niemal jak ojciec. Albo równie ojcu.

Wjechawszy na parking przed topornym budynkiem komendy, podniosła przesłonę. Zatrzymała się, spakowała kurtkę oraz kask do wielkich kufrów, po czym szybkim krokiem ruszyła ku głównemu wejściu. Giętkością ruchów oraz energicznością starała się maskować wszelkie objawy choroby. Jak dotąd była przekonana, że udawało się jej to całkiem dobrze. O płasawicy wiedziały dwie osoby – poza komisarzem ich wspólny przyjaciel, aspirant Brzeski, i na tym miało się skończyć.

– Bez przepustki. – Wskazała dyżurnemu, by otworzył jej drzwi. – Wpadam do gabinetu, zabieram kilka rzeczy i lecę na Hawaje.

– Urlop? – Starszy posterunkowy uśmiechnął się i przeciągnął kartę przez specjalny portal. – Należy się pani komisarz. Bez dwóch zdań.

– Żebyś wiedział.

W pierwszym odruchu Haler skierowała się ku szybom wind, ale zaraz wybrała klatkę schodową. Wejście na czwarte piętro nie stanowiło specjalnego wyzwania, a ćwiczenie mięśni nikomu nie zaszkodziło. Mimo to gdy wreszcie znalazła się na korytarzu, była mocno zasapana. Zwolniła kroku, nabrała kilka głębokich oddechów i otarła pot z czoła. Kręciło się jej w głowie. Zatrzymała się i oparła o parapet. Jedynie kątem oka odnotowała, że dwóch przechodzących policjantów ukłoniło się jej na powitanie. Odpowiedziała im bladym uśmiechem, powstrzymując narastające mdłości.

Wyjęła z kieszeni komórkę i powoli zawróciła ku windom. Ze łzami w oczach zjechała na parter, po czym upewniła się, że ponownie ma pełny zasięg. Wybrała numer do Deryły.

7

Komisarz Eryk Deryło siedział w głębokim fotelu i w pełnym skupieniu składał żurawia origami. Jeden stos pomiętych ptaków piętrzył się przy koszu na śmieci, a drugi na biurku. Potężny, zwalisty mężczyzna odrywał się od swojego zajęcia tylko po to, by z wielkiego kubka upić łyk kawy. Co do zasady pijał podwójne espresso, lecz z nudów uznał, że będzie przyjemniej podelektować się kawą dłużej. Był to błąd, rozwodniony napój smakował ohydnie, a do tego kolor przypominający coca-cole przyprawiał Deryłę o odruch wymiotny. Mimo to nie chciało mu się wstać, by zmusić ekspres do wyplucia porcji uwielbianego doppio. Aż takim smakoszem z pewnością nie był.

Od tygodnia miał niewiele do roboty. Poza tym zawisł w strukturach gdzieś pomiędzy stanowiskiem psa gończego a typowego gryzpiórka. Całkiem niedawno chodziły zresztą słuchy, że zostanie zastępcą naczelnika wydziału kryminalnego, lecz nawet gdyby wszystkiego nie zaprzepaścił, z pewnością z premedytacją odrzuciłby taką propozycję. Wolał odejść na emeryturę niż szczeznąć za biurkiem.

W momencie, gdy do wykończenia origami pozostały mu ostatnie ruchy, z kieszeni spodni dobiegły dźwięki *Sarabande* Haendla. Deryło cicho zaklął, zmiażdżył niedokończony żurawia i sięgnął po telefon.

– Halo?

– Jesteś w komendzie?

Słyszając głos Haler, komisarz natychmiast się rozchmurzył.

– Moja ulubiona dezserterka i córka marnotrawna odzywa się do osamotnionego szefa!

– Przestań, proszę.

– Zostawiłaś mnie samego na posterunku. Jak armia amerykańska Tańczącego z Wilkami, szeregowca Ryana albo... Nie mam pomysłu kogo jeszcze.

– Wiesz dlaczego.

Deryło przybrał poważną minę i kiwnął głową. Obrócił się na fotelu w stronę okna. Zerknął na rozciągającą się w oddali panoramę Starego Miasta. Niebo było lekko pochmurne, lecz kopuła Wieży Trynitarskiej skrzyła się w promieniach słońca. Komisarz uwielbiał ten widok.

– Co sprawiło, że sobie o mnie przypomniłaś?

– Dostałaś cynk od ViSira?

Deryło miał wrażenie, że Haler w ostatnich tygodniach stała się jeszcze bardziej konkretna i rzeczowa, niż była dotąd. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, gdyż przypomniawszy sobie o telefonie informatyka.

– Cholera. – Zerwał się z fotela i natychmiast ruszył do drzwi. – Prosił, żebym zjawił się u niego za kilka minut. Było to jakiś... kwadrans temu. Całkowicie pochłonęły mnie żurawie.

– Lepiej idź do niego.

– ViSir wspominał o jakimś linku. To ty mu go przesłałaś?

– Można tak powiedzieć.

A jednak nie była tak konkretna, jak sądził.

– Można tak powiedzieć? Ja nie widzę innej odpowiedzi od „tak” lub „nie”.

– Umywam ręce od wszystkich powierzonych komukolwiek spraw. Jeśli ktoś komuś coś zrobił, zostawiam to na twojej głowie.

Deryło mlasnął.

– Całkiem wygodnie.

– Mogę sobie na to pozwolić. Przynajmniej tyle dobrego, no nie?

– Zadzwońię do ciebie, gdy ViSir powie mi, o co w tym chodzi.

– Wolałabym nie.

Komisarz ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że Haler się rozłączyła. Nie pożegnała się, nie poprosiła, aby jej cokolwiek przekazał, tylko zwyczajnie w świecie zakończyła rozmowę rzuceniem słuchawką. Rzeczowość? Nie, raczej chodziło o coś innego.

Deryło nie miał wątpliwości, że Tamara od pewnego czasu konsekwentnie usiłuje zrazić do siebie jak najwięcej ludzi. Przynajmniej tych, z którymi utrzymywała zbyt bliskie jej zdaniem relacje. Teraz jednak całkowicie pochłonęły go domysły, po co miał się udać do ViSira. Nawet się nie domyślał, o jaki link mogło chodzić ani po co Haler go w ogóle mu przesyłała.

Burdel. Bałagan. Chaos.

Pośpiesznie przemknął całą siecią korytarzy, zszedł dwa piętra po schodach i wreszcie skierował się do tak zwanego skrzydła technicznego. Chwilę później wszedł do sporego pomieszczenia od podłogi po sufit wypełnionego sprzętem komputerowym. Pachniało w nim rozgrzanym plastikiem oraz potem. Przy jedynym biurku siedział otyły, rosły mężczyzna z czarną koszulką w kolorowe kwiaty i napisem na plecach „All you need is blow”. Słyszając za sobą kroki, nawet się nie odwrócił.

– Niech pan siada, komisarzu. Właśnie udało mi się wejść na tę stronę. Chyba mamy poważny problem.

8

– Co jest?

Komisarz spojrział na ikonę ładowania się i spode łba przeniósł wzrok na ViSira.

– Chyba nie to chciałeś mi pokazać.

Informatyk sapnął i błyskawicznie wystukał na klawiaturze kilka komend. Przez ekran przewinęły się rzędy cyfr oraz liter. Kolejne zakładki otwierały się i zamykały.

– Strona jest zabezpieczona – wyszeptał. – Przynajmniej można tak to nazwać.

– Otworzysz ją?

ViSir otarł pot z czoła i ponownie sapnął. Przygryzł wargę. Wreszcie się wyprostował, po czym wyciągnął przed siebie ręce i strzelił kostkami. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– To powierzchowne szyfry. Łatwe do złamania, choć to chwilę potrwa.

– Wobec tego po co w ogóle je zakładano?

– A bo ja wiem? Może robił to ktoś, kto dopiero się uczy poruszania w darknecie. To teoretycznie całkiem łatwe, ale trzeba poznać pewne zasady. Wtedy możliwe jest zakopanie się tak głęboko, że nawet skarbówka o nas zapomni.

– Brzmi nieźle. – Deryło niecierpliwie zabębnił palcami w oparcie krzesła. Usiadł przy informatyku i ponownie spojrział w ekran. Ikonka ładowania zniknęła, lecz tło nadal pozostawało ciemne. – I tyle? Przeszedłem cały budynek, żeby zobaczyć czarny kwadrat na czarnym tle? To prawdziwa sztuka współczesna.

– Proszę sekundę zaczekać.

– Już. Sekunda minęła.

– Trzyma się pana humor, komisarzu.

– To ironia, a ironię od humoru dzieli cholerna przepaść.

ViSir zerknął na Deryłę, lecz widząc na jego twarzy autentyczne rozdrażnienie, ponownie

spojrzał w monitor. Wstukał na klawiaturze kolejne komendy, po czym znowu się uśmiechnął.

– Teraz wszystko powinno działać. O właśnie, uruchamia się. Voilà.

Po chwili obraz się przeładował i na ekranie pojawiło się niewielkie okienko. ViSir natychmiast znacznie je powiększył za pomocą skrótu klawiaturowego. Sekundę później Deryło nachylił się tak mocno, że nosem niemal rąbnął w wyświetlacz.

– Kurwa, powiedz, że to żart i fotomontaż... – wycedził.

9

Deryło i ViSir dokładnie przez minutę i pięćdziesiąt pięć sekund obserwowali, jak zamaskowana, niemal niewidoczna z perspektywy kamery postać torturuje leżącego przed nią mężczyznę. Obiektów został skierowany na jego twarz, a obraz powiększony tak, że przy mocniejszych wierzgnięciach wymykał się poza kadr. Mimo to momenty, które zapewne najbardziej interesowały oprawcę, zostały uwiecznione.

– Ja pieprzę...

Deryło zacisnął pięści, gdy szpikulec do lodu dotknął kurczowo zaciśniętej powieki skrępowanego mężczyzny. Delikatny ruch sprawił, że zaostrzona jak igła końcówka przebiła cienką skórę. Oprawca dozował napięcie. Przez chwilę niemal nie poruszał szpikulcem, wreszcie wykonał nim ruch, jakby trzymał korkociąg. Wtedy z rany wypłynęła krew oraz galaretowata substancja o mlecznym kolorze.

– To... To gałka oczna – wymamrotał ViSir. – On mu zrobił pieprzone kogle-mogle z oka!

– Zamknij się i lepiej włącz dźwięk.

– To nagranie nie ma dźwięku, komisarzy.

– Jesteś pewien?

– Jak tego, że zaraz się zrzygam.

Deryło westchnął. Brak dźwięku akurat mu nie przeszkadzał. Bez problemu można się było domyśleć, jak opętańczo musi krzyczeć ktoś, komu metalowym szpikulcem wydłubuje się oko.

– Dasz radę zgrać ten plik?

– Nie powinno być z tym problemu.

– Sprawdź go na wszystkie strony i potwierdź, co to, kurwa, jest.

ViSir nie odrywał wzroku od ekranu. Szpikulec przebił powiekę i wbił się w gałkę oczną na co najmniej dwa centymetry. Okaleczony mężczyzna wierzgał i rzucał się, a oprawca wypuścił narzędzie tortury tak, że swobodnie wystawało z oka. Mleczna, galaretowata substancja zmieszała się z krwią oraz żółtym płynem. Torturowany usiłował zamrużyć, lecz nie był w stanie. Powieka została dosłownie przybita do gałki ocznej. Każdy jego ruch powiększał ranę oraz sprawiał, że więcej obrzydliwej mazi wyciekało na jego policzki. W pewnym momencie mężczyzna szarpnął się tak mocno, że szpikulec do lodu wypadł gdzieś poza kadr.

– Auć... – szepnął ViSir.

– Facet traci przytomność. Spójrz na jego usta.

– Nic dziwnego, skoro właśnie wylupiono mu oko.

Deryło pokręcił głową. Jeszcze mocniej nachylił się do ekranu i analizował każdy szczegół nagrania. Wydłubanie, a raczej nakłucie oka szpikulcem to było za mało, by pozbawić kogoś przytomności. Wiedział o tym zbyt dobrze. W trakcie kariery spotkał się z najgorszymi degeneratami, którzy robili wiele, aby ich ofiary cierpiały, zachowując jednocześnie pełną świadomość. W tym przypadku było nieco inaczej. Drżące usta, pot spływający strugami po twarzy, blade policzki oraz specyficzne tiki – wszystko to kazało przypuszczać, że...

– Właśnie. – Nagle Deryło wskazał palcem na ekran monitora. – Zatrzymaj to.

ViSir natychmiast wykonał polecenie i z zaciekawieniem ściągnął brwi. Po chwili zrozumiał, w co wpatruje się komisarz.

– On nie ma jednej ręki. Ja pieprzę... To zakrwawiony, owiązany szmatą kikut.

– Mniej więcej też tak to widzę.

– Mój Boże. To jakiś cholerny psychol!

Mężczyźni obejrżeli ostatnie kilka sekund filmu, który po prostu nagle się urwał. Nagrywający wszedł w kadr i wyłączył kamerę. Chwilę później ViSir głośno sapnął i założył dłonie za głowę. Kolorowe kwiaty pod jego pachami były mokre od potu. Po chwili mężczyzna wystukał na klawiaturze kilka poleceń i wymownie mlasnął. Odwrócił się do Deryły, który z zamyśloną miną nadal wpatrywał się w ekran.

– Obawiam się, że to nie jest ani fragment filmu ani fotomontaż – stwierdził informatyk. – Zdaje się, że nagranie ma format klasyczny, używany przez programy pakujące pliki z ręcznych kamer.

Komisarz ponuro skinął głową. Nie spodziewał się niczego innego. Sięgnął po telefon i wybrał numer Haler. Tamara odebrała już po pierwszym sygnale.

– Chyba musimy się spotkać i pogadać – oznajmił cierpko. – Czy tego chcesz, czy nie.

10

Haler zgodziła się spotkać z komisarzem w Falafelu. Był to niewielki bar, a właściwie przenośna buda z fast foodami, która od lat stała po drugiej stronie ulicy komendy. Choć Deryło nie cierpiał śmieciowego jedzenia, często ulegał namowom, by przekąsić coś właśnie tam, ze względu na dogodne położenie, błyskawiczne wydawanie dań oraz fakt, że nigdy nie czuł się po nich ocieźzale.

Tym razem, ponieważ właśnie zbliżała się pora obiadowa, komisarz zamówił Zestaw Obżartusa, czyli podwójnego hamburgera, dużą porcję frytek oraz trzy sałatki. Obejrzone sceny nie odebrały mu apetytu, a zwiększony wysiłek myślowy i adrenalina pobudziły głód. Natomiast Tamara zdecydowała się jedynie na sok ze świeżo wyciskanych pomarańczy oraz Pakiet Sałaciarza.

– Powinnaś jeść, schudłaś. – Gdy tylko usiedli przy stoliku w rogu lokalu, Deryło obrzucił ją baczny spojrzeniem. – Porządnie się odżywasz?

– Oczywiście, tatuśku. Dieta to przy mojej chorobie podstawa.

– Oby. Gdybyś chciała załapać się na moje popisowe spaghetti z anchois, kaparami oraz...

– Spaghetti kurewek, tak je nazywają we Włoszech. – Haler uśmiechnęła się i delikatnie pokręciła głową. – Może innym razem. Kiedyś.

– Kiedy? Wiesz, że mam ciasno wypełniony harmonogram.

– Nauczyłam się nie zastanawiać nad terminami.

Deryło nie mógł wytrzymać smutnego, świdrującego go spojrzenia Tamary. Jej ładne, bystre oczy zdawały się zapadnięte i mętne. Odwrócił wzrok, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Zerknął za okno, wreszcie ponownie popatrzył na przyjaciółkę.

– Przejdziemy do rzeczy, okej? Skoro nie chcesz gadać, nie będę cię męczył ani przetrzymywał tu siłą. Poza tym wolę zjeść, gdy formalności będziemy mieli za sobą.

– Rozumiem, że chcesz poznać historię mojego poranka.

Komisarz poważnie skinął głową, a Haler w kilku zdaniach streściła wydarzenia sprzed paru godzin. Deryło uważnie jej słuchał, od czasu do czasu zapisując coś w swoim niewielkim notesie. Dokładnie w momencie, gdy Tamara skończyła relację, na stole przed nimi stanęły zamówione dania.

– Co za wycucie czasu. – Komisarz skinął głową barmanowi, dając do zrozumienia, że śpieszą się i tym razem nie zamierzają wdawać się z nim w pogawędkę. Kiedy mężczyzna odszedł, ponownie zwrócił się do Haler: – Więc ta lekarka zna imię oraz nazwisko swojego pacjenta, ale nie ma jego adresu?

– Słuchałeś uważnie, tatuśku. Dwójka z plusem.

– Czy system informatyczny nie wymaga podania wszystkich danych?

– O ile zdołałam się zorientować, psychoterapeuci działają na nieco innej zasadzie niż szpitale. Przynajmniej ci, którzy prowadzą prywatne gabinety, a nie poradnie.

– Świetnie.

Deryło zamilkł i zajął się jedzeniem. Błyskawicznie pochłaniał swoją porcję, obserwując, jak Haler bez apetytu dziubie widelcem sałatkę. Zwolnił, dając do zrozumienia, że nie zamierza wstać od stołu, póki podkomisarz nie zje całości. Ta jedynie przewróciła oczami i ostentacyjnie pożała kilka sorych kęsów.

- To co, jestem wolna? – odezwała się, odkładając sztucę. – Mogę spadać, tatuśku?
Deryło wstał od stołu i wyciągnął portfel. Pokręcił głową.
– Musimy go znaleźć – rzucił, odliczając banknoty. – I mam pomysł, jak to zrobić.

11

Mężczyzna, który przedstawił się jako Piotr Mund, miał około trzydziestu pięciu lat, szczupłą pociągłą twarz i długie nogi. Był człowiekiem od wszystkiego, który miał asystować Annie Witner w pracach biurowych. Gdy tylko otrzymał zadanie przyniesienia dokumentacji medycznej ostatnich pacjentów, przyciągnął rozkładaną drabinę do sięgającej sufitu szafy i rozpoczął staranną kwerendę. Po kilku minutach na stole przed Deryłą i Haler wylądowało kilka teczek.

– Czy to legalne? – Mężczyzna zniżył głos niemal do szeptu. – Teoretycznie powinniśmy odnotowywać każde wyciągnięcie akt, tym bardziej że nie prowadzimy bazy elektronicznej, ale...

Widząc karcące spojrzenie Deryły, Mund spokojnie uniósł dłonie.

– Jasne, ja niczego nie widziałem ani o niczym nie słyszałem. A pani?

– Piotrze, zostaw nas samych.

Lekarka skinęła w stronę drzwi.

– Czy przynieść kawę lub herbatę? A może jakieś przekąski?

– Po prostu wyjdź. Chcemy coś omówić.

Mężczyzna wzruszył ramionami i opuścił pomieszczenie, starannie zamykając za sobą drzwi.

– Feliks Lauch... – odczytał Deryło. Otworzył teczkę i spojrzał na niewielkie, czarno-białe zdjęcie. Przedstawiało gładko ogolonego mężczyznę z kręconymi, zaczesanymi do tyłu włosami, niskim czołem oraz szeroko rozstawionymi oczami. Na szpiczastym nosie miał okrągłe okulary. – No proszę, wygląda całkiem niepozornie.

– Prosimy pacjentów o skany fragmentów dowodów osobistych – wyjaśniła Witner.

– To on? Nie doszło do żadnej pomyłki?

– Nie. To z całą pewnością jego zdjęcie.

– W takim razie proszę szczegółowo mi opowiedzieć, co pani wie o tym człowieku. I proszę sobie odpuścić psychiatryczne analizy oraz bajki, a skupić się na faktach.

– Co to był za szyfr? – Lekarka uważnie spojrzała na komisarza. – Czy on... Czy on spełnił swoją groźbę albo uznaliście, że może ją spełnić?

– Proszę uznać to za tajemnicę śledztwa i opowiedzieć mi o tym człowieku.

– Ale... Ja muszę wiedzieć. Jeśli go nie powstrzymałam, jeśli ktoś ucierpiał przez to, że nie zadziałałam na czas...

Usta kobiety drgnęły, lecz udało się jej stłumić nerwowy tik. Cicho pociągnęła nosem, po czym spuściła głowę.

– Proszę się tym nie zadreć. – Haler uśmiechnęła się do niej pokrzepiająco. – To nie pani wina. Zrobiła pani wszystko tak, jak powinna.

– Nie jestem taka pewna. Mogłam go zatrzymać.

– Jak? Siłą?

– Choćby perswazją. Powinnam coś wymyślić. Jestem cholernym psychiatrą.

– Jeżeli ten człowiek jest niebezpieczny, a wiele na to wskazuje, przede wszystkim nie powinna się pani narażać. Najważniejsze, że jest pani cała i dzięki temu mogła przekazać sprawę policji.

Gdy Haler starała się uspokoić lekarkę, Deryło zrobił zdjęcie pierwszej strony akt i wysłał je ememesem do ViSira. Następnie odsunął teczkę, po czym cicho odchrząknął.

– Szkoda czasu – wtrącił oschle. – Jeśli chce pani pomóc, nie marnujmy go na bezsensowne gadanie. Być może ważna jest każda sekunda.

– Boże... – Witner zagryzła usta i pokiwała głową. – On kogoś porwał, prawda? Dlatego pan mówi, że ważna jest każda sekunda.

– Dedukcja godna służb specjalnych, ale nadal nam pani nie pomaga.

Lekarka opanowała się, poprawiła się na wózku i wysmarkała. Wreszcie zwięźle przedstawiła

sylwetkę Feliksa Laucha.

Mężczyzna korzystał z jej pomocy od kilku tygodni, walcząc z epizodami ciężkiej depresji. Farmakologia oraz terapia powoli zaczynały przynosić pozytywne rezultaty. Witner odkryła, że jednym z zapalników stanu Laucha było odejście od niego partnerki Joanny Swach, która zostawiła go właściwie z dnia na dzień bez żadnego wyraźnego powodu. Zdruzgotany mężczyzna powrócił z Londynu i starał się na powrót odnaleźć w Polsce. Lekarka wiedziała o nim niewiele więcej, gdyż właściwie z sesji na sesję otwierał się bardzo powoli, a jakiegokolwiek próby pośpieszania mogły zniweczyć cały proces. Co istotne, wiele wskazywało, że Lauch miał niezbyt ciekawe dzieciństwo, ale na ten temat zająknął się jedynie kilkukrotnie. Być może negatywne wzorce wyniesione z domu przenosił na swój związek i wcale tego nie dostrzegał. Była to jednak jedynie robocza teza Witner. Lekarka miała wrażenie, że Feliks jest negatywnie nastawiony do jakichkolwiek typowo męskich zachowań oraz prac. Dlatego wybrał zawód pielęgniarza i wyjątkowo starannie dbał o ciało, używając z rozmysłem rozmaitych damskich kosmetyków. Kilkukrotnie wynikało to z rozmowy, którą zainicjowała lekarka, choć nie mogła rozeznaczyć się, czy działanie to miało znamiona fetyszu. O Joannie Swach opowiedział niewiele, zarzucając jej kompletne rozchwianie psychiczne, znęcanie oraz rozmaite szantaże. Wydawało się jednak, że nie utrzymuje z nią żadnych stosunków.

Gdy Witner skończyła relację, Deryło sapnął i wymownie spojrzął na Halera. Tamara przez ostatnie minuty siedziała niemal bez ruchu, wbijając palce w kolana i patrząc w jeden punkt na podłodze. W momencie, kiedy komisarz otworzył usta, by się do niej odezwać, rozbrzmiała *Sarabande* Haendla.

– Przepraszam.

Sięgnął po telefon, by go wyciszyć, lecz dostrzegł, że dzwoni ViSir. Odchylił się w stronę okna i nie zwlekając ani sekundy dłużej, odebrał.

– Mam wyjątkowo ciekawe wieści, komisarzu – odezwał się tryumfalnie informatyk. – Proszę uważnie słuchać.

12

– Czekaj, muszę wyjść na korytarz, coś mi przerywa.

Deryło otworzył drzwi i wyszedł z gabinetu. Po pierwsze, rzeczywiście coś lekko zakłócało połączenie, po drugie, wolał zachować pozory prywatności rozmowy z informatykiem. Ukradkiem dał znać doktor Witner oraz Tamarze, że za moment wraca. Delikatnie przymknął drzwi i oparł się plecami o ścianę.

– Mów. Wyraźnie i konkretnie.

– Właśnie tak zamierzałem.

– Ale tego nie robisz.

ViSir sapnął. Na moment wstrzymał powietrze, wreszcie odezwał się podekscytowanym tonem.

– Feliks Lauch figuruje w naszej bazie danych. Dokładnie pod tym imieniem i nazwiskiem. Co więcej, naniósłem jego zdjęcie z akt na fotografię przesłaną mi przez pana kilka minut temu.

Informatyk zawiesił głos. Deryło powstrzymał się, by nie zakłócić, po czym mocniej przyłożył telefon do ucha.

– I? Jaki był tego rezultat?

– System komputerowy ASUAP, który porównuje rozmaite obrazy, analizował go tylko kilka sekund. Wypluł jednoznaczny wynik. To dokładnie ten sam człowiek. Ewentualnie jego bliźniak jednojajowy, ale nie znalazłem niczego, co by świadczyło, że Lauch ma jakiegokolwiek rodzeństwo.

– Bingo! W związku z czym trafił do bazy danych?

– Dwa lata temu wdał się w bójkę. – Informatyk mlasnął, jakby ten fragment pozyskanych informacji nie sprawiał mu satysfakcji. – Nic wielkiego, przepychanka w klubie, która zamieniła się w lekką rozróbę. Lauch miał pecha, bo tylko jego zatrzymano i zidentyfikowano.

– Wyrok?

– Symboliczne zawiasy i zadośćuczynienie. Facet natychmiast wrócił do Londynu, więc był problem z wyegzekwowaniem przelewu, ale koniec końców wszystko spłacił.

– Czyli w twoich papierach również się potwierdza, że mieszkał w Anglii?
– Tak, od kilku lat. Właściwie nie mam informacji o powrocie do Polski, ale skontaktowałem się ze skarbowką...

ViSir jak zwykle uwielbiał budować napięcie. Był w tym mistrzem, którego aktorskie zakusy potrafiła powstrzymać jedynie Haler. Deryło, wściekając się, jedynie go nakręcał, wobec czego teraz starał się być całkowicie opanowany. Raz po raz zaciskał lewą pięść i zagryzał usta.

– Czego się dowiedziałeś od smutnych panów z niemoralnym upodobaniem do cyferek? – dopytał, siłąc się na łagodny ton.

Informatyk odchrząknął.

– Lauch przez dwa lata wynajmował jakąś nieruchomość na lubelskiej Kalinie. Zdaje się, że chodzi o niewielki domek. Nieco ponad dwa miesiące temu wypowiedział umowę najmu, co by mogło wskazywać, że...

– Sam się tam wprowadził – zakończył za niego Deryło. – Natychmiast wyślij mi esemesem adres tego domu.

Nim ViSir zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, komisarz się rozłączył i wkroczył do gabinetu. Najpierw zerknął na lekarzkę, która nerwowo zagryzała usta, potem przeniósł spojrzenie na Haler. Wymownie skinął do niej głową.

– Chodź, jedziemy – rzucił, cofając się na korytarz. – Mamy coś do sprawdzenia.

Tamara, chcąc nie chcąc, pożegnała się z Anną Witner i powlokła się za komisarzem. Nadal nie potrafiła zostawić go samego.

13

Pocziwy Citroën H stanowił legendę motoryzacji. Był mniej więcej równolatkiem Deryły i jak Deryło lubił powtarzać – sypali się w niemal równoczesnym tempie. W rzeczywistości komisarz nie miał wystarczająco czasu na przeprowadzenie wszelkich renowacji, które zaplanował w momencie pochopnego zakupu. Wciąż powtarzał, że przyjdzie na nie czas, gdy wreszcie uda się na emeryturę. Za rok, dwa lub za tydzień, jak wygrażał najczęściej. Jednak czas ten niezmiennie nie nadchodził, a Citroën coraz częściej odmawiał posłuszeństwa.

Na szczęście tym razem silnik chodził dość równo, choć warkotliwie, w środku nie roznosił się zapach benzyny i podreperowane niedawno zawieszenie nie skrzypiało. To znaczy nie skrzypiało tak, jak mu się zdarzało skrzypieć. Gdy pokonywali nierówną uliczkę Kalinowszczyzny, dominowało tępe postukiwanie, jakby ktoś tłukł metalową rurką gdzieś w układ wydechowy. Deryło nie zwracał na to uwagi. Tymczasem Haler pochłonięta była obserwowaniem ekranu komórki i przekazywaniem komisarzowi wskazówek nawigacyjnych.

Znajdowali się w jednej z najbardziej ponurych części dzielnicy, niedaleko starego cmentarza żydowskiego, gdzie po obu stronach szutrowej uliczki ciągnęły się maleńkie rudery. Niektóre z nich znajdowały się za wałącymi się drewnianymi płotami, niektóre natomiast wznosiły się bezpośrednio przy ulicy. Większość z nich zdawała się opuszczona, podwórza przypominały wysypiska śmieci, a w okolicy nie było widać żywego ducha. Na szczęście z naprzeciwka nie jechał również żaden samochód, gdyż minięcie się na wąskiej ulicy byłoby niemożliwe, a Citroën mógłby sobie nie poradzić z wyjątkowo wysokim kamiennym krawężnikiem.

– Nigdy tu nie byłam... – Tamara rozejrzała się wokół z niedowierzaniem. – Według nawigacji ten dom będzie za sto metrów po prawej stronie.

Mimo że jechali niespełna trzydzieści kilometrów na godzinę, Deryło zwolnił jeszcze mocniej, jakby się bał, że hamulce nie zatrzymają pojazdu we właściwym miejscu.

– Za czasów mojej młodości można było tu stracić zęby, ale teraz, zdaje się, nie miałby nawet kto ich wybić.

– Chyba jesteś zbyt wyrozumiała dla swojej młodości.

– Albo zbyt surowy dla współczesności.

Haler nagle się wychyliła do przodu.

– A jednak ktoś wynajmował ten dom. To on.

Wskazała palcem na niewielką jednopiętrową chatkę z otynkowanymi ścianami oraz niewielkim, zaniedbanym ogródkiem. Teren działki częściowo ogradzana metalowa siatka, lecz w miejscu dawnej bramy zionęła pustka okalana dwoma wysokimi słupami.

– Pewnie ktoś prowadził ożywione interesy ze skupami złomu – mruknęła. – Co za okolica.

– W sam raz dla studenta, który chce mieć tanie, ale dość przestronne pokoje.

– I miejsce do eleganckiego rzyganka poza domem?

– To twoje skojarzenie z czasami studenckimi. – Deryło zatrzymał auto i rozpiął pas. Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł numeru posesji. – Jesteś pewna, że to tutaj? Wolałbym się nie pomylić.

– Moja nawigacja nigdy się nie pomyliła.

– Wszyscy musimy załapać się na czyjś pierwszy raz. Jakkolwiek by to brzmiało.

Deryło pchnął drzwi i wysiadł z auta. Kątem oka zerknął na dom, lecz starał się nie robić tego ostentacyjnie. Powoli, niby mimochodem, ruszył w stronę głównych drzwi, uważając, by nie wdepnąć w potłuczone butelki i kawałki szyb, którymi pokryte było podwórze. Chwilę później dołączyła do niego Tamara.

– Jak kogoś, kto mieszka w takich warunkach, może być stać na psychoterapię?

– Są rozmaite programy wsparcia, poza tym...

Haler zamilkła, gdy komisarz rezolutnie zastukał do przekrzywionych, opadniętych na zawiasach drzwi. Odpowiedziała im cisza.

– Zerknij na tył.

– Jasne. Wiedziałam, że będę ci potrzebna tylko do tego. Podwórza, tyły i cuchnące rudery to moja specjalność.

Gdy Tamara znikła za załomem muru, Deryło zastukał ponownie. Odruchowo rozpiął kaburę i napiął mięśnie. Mimo to z wnętrza domu nie dochodził żaden odgłos. Komisarz rozejrzał się, wiodąc wzrokiem po okolicznych zarośniętych chaszczami podwórzach. Wokół nie dostrzegł kompletnie nikogo.

Wstrzymał oddech, po czym położył dłoń na metalowej klamce. Delikatnie ją nacisnął i od razu zdał sobie sprawę, że drzwi nie są zamknięte. Dom stał przed nimi otworem.

14

– Nie ma drugiego wyjścia, jedno okno jest zabite deskami, a dwa pozostałe wychodzą na zewnątrz od frontu.

Ta krótka relacja złożona przez Halera w pełni nakreśliła sytuację. Po prawie trzech latach współpracy z komisarzem Tamarze nie przyszło nawet do głowy, by kwestionować legalność jego działania. Po prostu, nie bacząc na nic, podążyła za nim. Żałowała jedynie, że nie ma przy sobie broni służbowej.

Deryło pchnął drzwi na oścież i gestem dał znać, że skieruje się na lewo. Halera, choć nie miała jak go osłaniać, błyskawicznie przemknęła na drugą stronę.

– Fuj... – szepnęła, stając przy obdrapanym murze.

Znaleźli się w niewielkim, kwadratowym salonie, który przypominał melinę najgorszych alkoholików. Ciągająca się wzdłuż jednej krawędzi peerelowska meblościanka miała powybijane szyby, a na pojedynczych półkach stało kilka butelek oraz kieliszków. Na okrągłym stole poniewierało się mnóstwo niedopałków i widać było ślady gaszenia papierosów wprost o blat. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, kwaśny fetor wilgoci, dymu papierosowego i sadzy. Pod przeciwległą ścianą stała rozłożona kanapa, ze zmierzwioną pościelą oraz z kilkoma kocami.

– Tam jest to pomieszczenie z zabitym oknem. – Tamara szepnęła, wskazując w głąb domu.

Obok niej znajdowała się łazienka, do której były otwarte drzwi. Mimo zgaszonego światła komisarz w półmroku dostrzegł otwarty sedes oraz prysznic ze zdartą zasłoną. Na migi pokazał, by Halera poruszała się za nim, po czym z zadziwiającą, jak na swą wielką sylwetkę, lekkością przemknął przez salon.

– Policja, proszę wyjść!

Wyciągnął pistolet i mocno ścisnął go w dłoniach. Błyskawicznie wyskoczył zza rogu, po czym kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

– Uważaj! – wrzasnął, odruchowo się uchylając.

Dopadł do załomu ściany i odczekał dwie sekundy. Haler spoglądała na niego z wytrzeszczonymi oczami. Nagle Deryło ponownie się wychylił i głośno odsapnął.

– To pieprzone stłuczone lustro.

Haler skinęła głową. Rzeczywiście w łazience wisiało spore, częściowo zniszczone zwierciadło. Należało przejść dalej.

Na migi pokazała, że pozostała im do sprawdzenia jedynie kuchnia. Deryło dał znać, że rozumie i żeby Tamara trzymała się z tyłu. Mimo to jeszcze raz zerknął do łazienki, aby upewnić się, że jest pusta. Poza swoim wykrzywionym odbiciem na szczątkach szkła nie dostrzegł nikogo.

Krok za krokiem kierował się w stronę przejścia do kuchni. Od salonu nie dzieliły jej żadne drzwi i ze swojej perspektywy widział szereg szafek oraz kuchenkę gazową. Zatrzymał się, po czym w myślach policzył do trzech. Ułamek sekundy później z wyciągniętym przed siebie pistoletem wyskoczył zza winkła.

Wymierzył w próżnię. Dom był całkowicie pusty.

– Cholera... – zaklął, chowając broń do kabury. – Spóźniliśmy się?

Wszedł do kuchni i przeciągnął palcem po blacie. O dziwo, wcale nie było na nim warstwy kurzu. Otworzył jedną z szuflad i zobaczył w niej zapas produktów spożywczych oraz pieczywo.

– Chleb nawet nie spleśniał.

Wymownie zerknął na Haler i podszedł do lodówki. Odruchowo otworzył drzwiczki, po czym zerknął do środka. W tym samym momencie poczuł lodowaty dreszcz.

– Niech to szlag – syknął.

15

– Niech to szlag – powtórzył Deryło.

Haler podeszła do niego i zerknęła mu przez ramię do środka lodówki. Na górnej półce stały dżemy oraz dwie lubianki jajek. Poniżej znajdowały się opakowania margaryny, sera żółtego oraz kilka pomidorów wyłożonych na prostokątny talerzyk. Komisarz sięgnął na najniższą z półek. Po chwili, trzymając przez chusteczkę, wyciągnął woreczek z mięsem mielonym. Było wyjątkowo tłuste lub zawierało wiele fragmentów ścięgien, gdyż miało w większości białoszary kolor. Jednak nie to sprawiło, że Deryło zaklął.

Teraz Tamara to również widziała. Za workiem z mięsem znajdował się drugi, przezroczysty i zawinięty tak, że jego zawartość nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Tkwiła w nim ludzka dłoń odcięta w nadgarstku. Wyraźnie było widać blade, podkurczone palce pokryte pomarszczoną skórą i zakończone niemal białymi paznokciami. Gdy komisarz wyciągnął worek, okazało się, że znajduje się w nim również sporo stężałej krwi.

– Dłoń odcięto, gdy ofiara jeszcze żyła – mruknął. – Zresztą może żyje nadal...

– Mało osób przeżywa obcięcie dłoni bez znieczulenia.

– Skąd wiesz, że oprawca nie posłużył się profesjonalnymi środkami?

Haler parsknęła.

– Gdybyś w aucie nie kazał mi oglądać tego nagrania, może nie domyśliłabym się, że owiazał mu kikuta brudną szmatą.

– Miał podobne warunki jak tutaj. Syf, kiła i mogiła. Choć nie sądzę, żeby film nagrano właśnie w tym domu. Nie kojarzę podobnej scenerii.

Deryło bacznie rozejrzał się wokół i jeszcze raz zerknął na wyciągnięte z lodówki worki. Dostrzegł, że Haler z pełną uwagą wpatruje się w zawartość pierwszego z nich. Skubała palcami dolną wargę i nerwowo ssała ulubioną miętową drażę.

– Co tam wypatrzyłaś?

- Jatkę.
- Mogłabyś być bardziej precyzyjna?

Tamara się wyprostowała i cicho mlasnęła. Zamrugęła, jakby chcąc wymazać z umysłu sceny, które się w nim przed chwilą zaległy. Przeniosła zamglony wzrok na komisarza, a jej spojrzenie powoli zaczęło się wyostrzać. Deryło doskonale znał ten jej stan. Niemal za każdym razem, gdy znajdowali się na miejscu zbrodni, Haler popadała w zadumę, starając się na podstawie szczątkowych informacji odtworzyć przebieg wydarzeń.

– Krew do woreczka chlusnęła z odciętej dłoni, a nie z reszty ręki. To znaczy, że ofiara była katowana już wcześniej i jej naczynia krwionośne się zacisnęły. W chwili odcięcia nastąpiło rozprężenie. Natomiast to mięso mielone... – Skinęła w stronę drugiego woreczka. – Zdaje się, że zawiera fragmenty kości, i mogłabym się założyć, że to druga dłoń ofiary.

Deryło gniewnie syknął. Zacisnął usta i sięgnął do kieszeni, w której zawsze nosił srebrnego, rzymskiego sesterca. Nie wierzył w moc amuletów, ale dotknięcie chłodnego metalu zazwyczaj go uspokajało. Jednak nie tym razem.

– Czyli uważasz, że jakiś szaleniec najpierw zblendował ofierze jedną dłoń, potem wylupił oko, a na koniec odciął drugą dłoń?

– To zbyt śmiała teza. Mógł odciąć obie dłonie najpierw, a dopiero później zająć się okiem. Nagranie nie pozwala wyciągać co do tego żadnych wniosków.

– Nie wiem zresztą, jaką by to robiło różnicę.

Haler sięgnęła po kolejną drażę i wycisnęła ją z opakowania prosto do ust. Natychmiast ją jednak rozgryzła. Wskazała palcem na dłoń, od strony nadgarstka.

– Spójrz. Widzisz fragmenty postrzępionej skóry oraz te białe drobiny?

– Tak. To pewnie kość, co z tego?

– Skóra jest ponacinana bardziej niż kiszka zdjęta z kielbasy przez nadgorliwą mamusię brzydzącego się dziecka.

– Możesz przestać używać metafor i powiedzieć to wprost?

Haler wzruszyła ramionami.

– Jasne. Jak dla mnie, ten, kto odciął tę rękę, chciał sprawić ofierze jak najwięcej bólu. Rębał gdzie popadnie, niemal na oślep. Widzę ślady co najmniej czterech zamachnięć, które najpierw pogruchotały kości, potem zmiażdżyły tkankę, a na koniec niemal urwały, a nie odcięły dłoń. To była cholerna tortura, która miała sprawić jak najwięcej bólu. Co więcej, bólu, który mógł zabić tak samo jak krwotok. Nie bawiąc się w metafory, było to takie cholerne cierpienie, którego nie da się ani opisać, ani sobie wyobrazić.

16

Postać pochyliła się, jakby chcąc się oprzeć porywom wiatru. Poprawiła kaptur i przemknęła na drugą stronę pokrytej kałużami, nierównej uliczki. Ostrożnie stąpała po śliskich kocich łbach. W zasięgu wzroku było jedynie kilka osób. Dwoje około dziesięcioletnich dzieci na zaniedbanym podwórzu rudery, podchmielony mężczyzna majstrujący przy zaparkowanym na chodniku aucie oraz starsza kobieta spacerująca z małym, zbryzganym błotem psem.

Postać przypomiwała widmo majaczące na obrazach dawnych romantycznych mistrzów. Poruszała się szybko i giętko. Zresztą w myślach nazywała się Majakiem, co odpowiadało mianu, jakie nadał jej Bóg. To było skomplikowane. Teraz nie było czasu na zastanawianie się nad tymi szaleństwami. Tak, tak... Zjawą, widmo, majak, jakby się nie nazywała, z pewnością była szalona.

Najważniejsze, że wszystko szło całkowicie zgodnie z planem. Stara furgonetka, którą miał przyjechać gliniarz, stała przed jednym z domów. W środku co rusz poruszały się czyjeś cienie, lecz z tej perspektywy trudno było ocenić, co intruzi aktualnie robią.

Widmo ruszyło w górę uliczki. Przemieszczało się w stronę niewielkiego wzniesienia, które niegdyś stanowiło granicę cmentarza żydowskiego. Choć teren był ogrodzony metalową siatką, znajdowało się w niej sporo dziur. I bez nich jej sforsowanie nie stanowiłoby większego problemu,

wystarczyłoby wspiąć się na niespełna dwa metry, po czym zeskoczyć po drugiej stronie. Mimo to przejście przez dziurę w siatce pozwoliło niemal nie zwrócić na siebie uwagi. Poza tym otwór musiał służyć okolicznym mieszkańcom za skrót w drodze do pobliskiego supermarketu, gdyż prowadząca do niego ścieżka była intensywnie wydeptana.

Postać, nie odwracając się, weszła na teren cmentarza i skierowała wzdłuż linii krzaków. Przyśpieszyła kroku, zmierzając ku szczytowi wzniesienia. Idąc tędy, należało uważać, by nie poślizgnąć się na błocie i nie wdepnąć w sterczące tu i ówdzie szczątki szkła. Najwyraźniej okoliczni mieszkańcy nie tylko korzystali ze skrótu w drodze do marketu, ale również konsumowali tu rozmaite nabyte w nim alkohole.

Niedaleko przed samym szczytem postać gwałtownie się zatrzymała. W tym miejscu niemal całą jej sylwetkę zasłaniał chylący się ku upadkowi mur z gołych, poszczerbionych cegieł. Musiał stanowić pozostałość po jakichś cmentarnych zabudowaniach, ale zarządcy terenu nie zadbali, by go chociaż prowizorycznie zabezpieczyć. Wystarczyłoby go mocniej pchnąć, by się zawalił. Mimo to widmo uznało to miejsce za wyjątkowo dogodny punkt obserwacyjny. Było stąd widać dom, przed którym stał niebieski Citroën H.

– Świetnie – syknęła postać. – Co za przyjemność pana spotkać, komisarzy... I panią, pani podkomisarz Haler. To prawdziwy zaszczyt.

Widmo sięgnęło po zawieszoną na szyi niewielką lornetkę. Przyłożyło ją do oczu i nakierowało okulary na okna domu. Choć w jednym z nich odbijało się światło, drugie znajdowało się nieco w cieniu i pozwalało zajrzeć do środka. Najważniejsze, że specjalne szkła nie rzucały żadnych refleksów, więc postać mogła pozostać niezauważona. Nawet gdyby któregoś z policjantów podeszło do okna i spojrzało w górę ku wzniesieniu, nie mogłoby go zobaczyć. Jednak widmo nie spodziewało się, by Haler lub Deryło mieli teraz ochotę się rozglądać. Zdawało się, że mają pełne ręce roboty. Póki jeszcze w ogóle mieli ręce.

Postać zaśmiała się z własnego żartu i opuściła lornetkę. Wszystko układało się po jej myśli. Wszystko układało się zgodnie z morderczym planem.

17

Deryło przez chusteczkę otwierał kolejne szuflady meblościanki. Było ich kilkanaście, część nie miała dna, więc profilaktycznie upewniał się, czy nie przymocowano czegoś do ich tylnych ścianek. Oczekiwali z Haler na przyjazd kryminalistyków oraz ekipy dochodzeniowej. Mimo to komisarz uznał, że nie zamierza marnotrawić czasu.

– Nic nie wskazuje, żeby sprawca tu był przez ostatnie godziny ani żeby nawet tu spał tej nocy – mruknął, rozprostowując ramiona. – Musi istnieć jakiś ślad. Jakikolwiek!

– Wystarczającym śladem są dwa worki upchnięte w lodówce.

– Czyżby? Odtworzenie ostatnich chwil katowanego poszło ci całkiem nieźle, ale proszę, powiedz mi na ich podstawie cokolwiek o sprawcy.

Haler zakończyła obstukiwanie klepki podłogowej i podniosła się z kolan. Trzymała się całkiem nieźle. Być może to praca, a może pobudzona nią adrenalina sprawiły, że ustały zawroty głowy oraz drżenie mięśni. Była w swoim żywiole. Spojrzała na Deryło i znacząco odchrząknęła.

– Ktoś, kto odcina komuś rękę, do tego w taki rzeźnicki sposób, musi mieć do tego warunki – odezwała się po chwili. – Nawet jeżeli ofiara byłaby zakneblowana, całej rozpiardusze musiał towarzyszyć niezły hałas. A na filmie widzieliśmy, że mężczyzna darł się do woli.

– To nadal mi niewiele pomaga. Widzę ciemność.

– Chciałeś dowiedzieć się czegokolwiek o sprawcy, a miejsce jego działania jest fragmentem szeroko rozumianego *modus operandi*.

– Bła, bla, bla...

Deryło gniewnie fuknął i zatrzasnął kolejną szufladę. Jak dotąd wszystkie były albo zniszczone, albo puste, albo w najlepszym razie mieściły nieistotne śmieci.

– Biorąc pod uwagę nagranie, można stwierdzić, że sprawca zachowuje się w sposób

zorganizowany – ciągnęła niezrażona Tamara. – Miał przygotowany szpikulec do lodu, wcześniej solidnie skrępował ofiarę, a jeśli rzeczywiście zmielił rękę tego nieszczęśnika, musiał się zatroszczyć o odpowiednią maszynkę, co nie jest takie proste. Nie kupi się jej w każdym osiedlowym sklepiku. On chce zadawać ból i robi to w sposób bardzo świadomy.

– Jak większość podobnych degeneratów. – Komisarz parsknął. – Ale lepiej zdradź mi coś, co pozwoli go wytypować. Jaki ma kolor oczu albo czy nosi buty na obcasie. Powiedz mi choćby to, jakiej jest płci.

– Statystyka mówi, że to mężczyzna. Charakter działania również.

– Akurat tego się mogłem domyślić.

– A co, chciałbyś śladów spermy? Zaczynasz wąpić, że to Feliks Lauch?

– Jesteśmy w domu Laucha, Lauch siedział na kozetce u Witner i Lauch opowiadał jej o swoich popieprzonych planach, więc nie mam żadnego powodu, by wąpić. Zastanawia mnie jedynie motyw oraz wybór ofiary. – Deryło wyciągnął kolejną szufladę i bacznie przyjrzał się jej zawartości. – Skoro trafiliśmy na kawałki mięsa, chciałbym również dowiedzieć się, gdzie jest reszta ciała.

– Sądzę, że niebawem się tego dowiemy. Ten facet działa ostantacyjnie i afiszuje się ze swoim szaleństwem.

– Sądziś, że w kolejnym nagraniu zamierzał pokazać, jak robi z tego mięsa mielonego kotlety?

– Komisarz odłożył na podłogę opakowanie z telefonem komórkowym. – ViSir nie sprecyzował, czy plik, w jakim powstał film, mógł zostać wygenerowany na komórce. Poza tym...

Deryło urwał w pół zdania. Sięgnął po plik dokumentów i zaczął je systematycznie wertować. Haler uklękła tuż obok niego.

– Co tam masz?

– Jakies kwity oraz rozliczenia... To chyba jego rachunki.

– Chcesz sprawdzić, czy miał zaległości podatkowe? A może czy prosił o przekazanie jednego procenta na rzecz jakiejś fundacji charytatywnej? Na przykład Związku Rzeźników Polskich?

– Nie. Interesuje mnie, za co płacił.

Deryło uważnie przeglądał kolejne papiery. Odkładał je na kupkę w takiej samej kolejności, w jakiej uprzednio je wyciągnął.

– Gaz, gaz, prąd, znowu gaz, woda... Jest!

Uniósł jeden z dokumentów i potrząsnął nim niemal przed nosem Haler. Tamara zmrużyła oczy i zerknęła na jego nagłówek.

– No nie mów... – Gwałtownie się podniosła. – Sądziś, że to nasza droga do rzeźni?

– Musimy się o tym przekonać.

Deryło podniósł się z kolan i pośpiesznie ruszył do wyjścia.

18

– Halo, ViSir, człowieku, co ty tam robisz, do diabła?

– (*trzaski*) ...aż, pa... (*trzaski*) ...sarzu.

– Niech cię szlag, a nie komisarzyż mi. Zrób coś z tym zasięgiem.

W momencie, gdy Deryło wypadł na dwór, usłyszał wyraźne odchrząknięcie informatyka.

– Przepraszam, byłem w pomieszczeniu technicznym, ostatnio zainstalowaliśmy tu zagłuszacz sygnału, który, jak widać, nie działa w stu procentach poprawnie.

– Gównu mnie obchodzi zagłuszacz sygnału.

Deryło niemal wpadł na policjanta, który od strony uliczki biegł ku domowi. Wymownym gestem wskazał mu, że znalazł się we właściwym miejscu.

– Technicy już jadą – obwieścił młody aspirant. – Teren zabezpieczony?

– Zabezpieczony – wyręczyła Deryłę Haler, która po chwili zrównała się z nim krokiem.

– Słuchaj, ViSir, przed kilkoma sekundami wysłałem pod twój numer adres. Możesz sprawdzić, co wskazuje? Mam na myśli te twoje ewidencje.

– Chodzi panu o rodzaj nieruchomości?

– A czy się nie wyrażam jasno? Czy mówię do ciebie w obcym języku?

Deryło nie był zły. Był kompletnie wkurwiony i jednocześnie nabuzowany. Wystarczyło do tego, że uświadomił sobie, że jakiś szaleniiec usiłuje sobie z nim pogrywać. Poza tym kilka bezsennych nocy kompletnie pozbawiło go poczucia humoru oraz profesjonalnego dystansu.

– Halo? – ponaglił informatyka.

– Już, już, wpisuję. Sekunda, panie komisarzu.

– Twój mózg i komputer działają wolniej od mojego pięćdziesięcioletniego auta.

Rzeczywiście, czekając na konkrety, Deryło uruchomił citroëna i zdążył nim zawrócić. Siedząca obok niego Tamara wyszukała adres w nawigacji w telefonie.

– To chyba jakaś rudera – wyszeptęła, sprawdziwszy go w grafice Google. – Ale...

– To garaż dwustanowiskowy – obwieścił komisarzowi ViSir. – Przynajmniej taka informacja jest w ewidencji.

– Włamałeś się tam czy dostaliśmy legalny dostęp? – dopytał Deryło.

– A czy ma to teraz jakieś znaczenie?

– Chcę wiedzieć, na jaką burę się szykować.

– Uznajmy, że działam w szarej strefie i nie zostawiam śladów.

Komisarz nieco się uspokoił i niemal niezauważalnie się uśmiechnął.

– Czy to nadal własność Feliksa Laucha? Mam dokumenty sprzed prawie dwóch lat.

– Owszem, jest jedynym właścicielem.

Deryło zerknął na Halera, która na migi pokazywała mu, jak powinien się kierować na kolejnych skrzyżowaniach. Zastanowił się, czy nie ma jeszcze jakichś pytań do informatyka, po czym się rozłączył.

– Jak daleko mamy do celu?

– Niecały kilometr. To tuż przy granicy administracyjnej Lublina, przy tej nowej strefie przemysłowej i parku technologicznym.

– Przy czym? – zachnął się komisarz. – W życiu nie słyszałem o żadnych parkach technologicznych. Czy to w ogóle nie jest oksymoron? Coś jak biały Murzyn? Albo jak empatyczny psychopata?

Haler w odpowiedzi pokazała mu, by skręcił w lewo. Mimo narastającego ruchu udało się im pokonać kolejne kilkaset metrów w parę minut.

– To tamten ciąg garaży. – Wskazała, gdy pośród nieużytków pojawił się rząd budynków. – Po jasną cholereę wzniesiono tutaj garaże? Kto w nich parkuje?

– Niedaleko znajdowały się chyba fabryki i kiedyś miało powstać osiedle. Z planów nic nie wyszło, jak to za peerelu.

– Swoją drogą to świetne miejsce, by...

Tamara wymownie zacisnęła usta i westchnęła. Komisarz objechał kilka wielkich wyrw w asfaltowej, nieremontowanej od dekad drodze, po czym zatrzymał auto.

– Wysiadamy. Uważaj na kałuże, żeby nie zachlapać sobie bucików.

– Aż tak źle mnie oceniasz? Zrobiłeś się strasznie obcesowy.

Deryło machnął ręką i pośpiesznie skierował się ku garażom.

– Powiedz mi tylko, który to z nich? – parsknął. – Czy może mamy włamać się do dziesięciu, by stwierdzić, że w ogóle daliśmy dupy?

– Do tej pory nigdy ci to nie przeszkadzało. Zaczynamy od pierwszego lepszego.

Komisarz upewnił się, że w kaburze ma broń, i ruszył w stronę najbliższej bramy. Niepokoiło go, że prócz nich w okolicy nie ma żywej duszy. A może jedynie był przeczulony?

19

– Nie wiem, czy przestrzelenie sześciu kłódek można traktować jako uzasadnione stanem wyższej konieczności.

Deryło nachylił się, by przyjrzeć się zamkowi pierwszej z bram garażowych. Oprócz rygla oraz klasycznego mechanizmu dostęp zabezpieczono łańcuchem spiętym grubą kłódką. Komisarz przeciągnął

po niej palcem i zerknął pod światło.

– Rdza. Nie wygląda, żeby ktokolwiek ruszał go przez ostatnie kilka miesięcy.

Haler pokiwała głową. Przeszła do następnej bramy i obróciła w dłoni kolejną kłódkę.

– Chyba właściciele tych garaży rywalizowali w systemach zabezpieczenia. Co oni tam trzymali?

Polonezy?

– Gdybyś wiedziała, co wiele osób jeszcze dwadzieścia lat temu dałoby za poloneza.

– Ale teraz mamy dwudziesty pierwszy wiek, erę pojazdów elektrycznych i hybrydowych, a do tego...

Tamara nagle zamilkła. Znajdowała się już przy kolejnej bramie, ale coś zwróciło jej uwagę. Do budynków doprowadzony był prąd z pobliskiego słupa, lecz kabel dziwnie rozdzielał się nad jedną z instalacji.

– Podniesiesz mnie? Tak, żebym mogła się podciągnąć na dach?

Deryło spojrział na nią zdziwiony, ale już po chwili zrozumiał, co ją zaintrygowało.

– Chodź tu. – Kucnął, by mogła postawić stopę na jego splecionych dłoniach. Gdy tylko to zrobiła, gwałtownie się wyprostował. – Łap się.

– Już, możesz puścić. Dam sobie radę.

– Na pewno?

– Słowo daję, że asystując mi, jedynie mnie rozpraszasz.

Haler się podciągnęła i weszła na dach garaży. Przyjrzała się rozdzielni prądu oraz temu, jak biegną kolejne kable. Na migi dała komisarzowi znać, żeby uważał. Coś niezmiennie przykuwało jej uwagę i wymownie przytknęła palec do ust. Starła się z wszystkich sił opanować lekkie zawroty głowy, które się pojawiły, gdy Deryło dynamicznie ją podniósł. Nie nadawała się do takich wygibasów i musiała wreszcie się z tym pogodzić.

Odsunęła się od krawędzi budynku, po czym, lekko pochylona, przeszła po smołowanym dachu. Nagle Deryło stracił ją z oczu. Nerwowo podskoczył, ale nie mógł zobaczyć, co się dzieje ponad garażem.

– Tamaro! – syknął. – Tamaro!

– Tsss!

Haler wynurzyła się przy przeciwległym końcu budynku i machnęła, wskazując garaż pod nią. Był to pierwszy, skrajny z nich, z przerdzewiałą kłódką. Gdy Deryło dopadł do niej po raz wtóry, nagle go olśniło. Owszem, kłódka spinała łańcuch przeciągnięty przez metalowe koluszka, ale jego dolna część przytwierdzona była do stalowego pręta wbitego w ziemię. Kiedy komisarz za niego szarpnął, ten bez problemu dał się wyciągnąć.

– A to ciekawe.

Deryło z całej siły pociągnął uchwyt i poczuł, że wykonana z blachy falistej brama się wygina. Z pewnością nie została zamknięta na klucz, lecz trzymał ją jedynie jakiś mechanizm. Komisarz sapnął, po czym obrócił uchwyt. Zgodnie z jego przepuszczeniem została zwolniona blokada i bez problemu mógł unieść całość. W momencie, gdy brama oderwała się od betonowej wylewki, odruchowo gwałtownie odskoczył. W tym samym momencie rozległ się przeraźliwy ryk syreny alarmowej.

20

Po ułamku sekundy do ryku syreny alarmowej dołączyły rozbłyśki niebiesko-czerwonego światła. Oszołomiony Deryło odruchowo skrył się za betonowym murem i wstrzymał oddech. Odczekał trzy sekundy, po czym rozejrzał się za Haler. Tamara, jak na ćwiczeniach, dołączyła do niego i zeskoczyła z garażu po przeciwnej stronie wejścia. Wychyliła się i na migi dała znać, że nie dostrzega żadnego konkretnego zagrożenia.

Komisarz wyciągnął pistolet i starając się nie zwracać uwagi na przeraźliwy hałas, wychylił się zza rogu. Wymierzył w ciemność.

– Psia mać.

Garaż był czymś wyłożony tak, że za bramą znajdowało się jeszcze przepierzenie. Po pierwsze, mogło pełnić rolę dźwiękochłonną, po drugie, zatrzymywać ciepło, po trzecie...

Deryło uznał, że nie ma sensu tworzyć domysłów. Pokazał, by Haler trzymała się z tyłu, w bezpiecznej odległości. Kątem oka ocenił, czy przypadkiem w stelażu bramy nie znajdują się jakieś dodatkowe czujniki lub pułapki. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać, ale doświadczenie kazało mu być ostrożnym. Jednocześnie podświadomość powtarzała, że nie ma czasu na zwłokę.

– Policja!

Wrzeszcząc, gwałtownie odsunął kotarę i wpadł do głównego pomieszczenia. Panowała w nim kompletna ciemność, więc natychmiast przesunął się, by nie znajdować się w oświetlonym przez światło dnia przejściu. Haler momentalnie wślizgnęła się za nim. Gdy przesłona ponownie znalazła się na swoim miejscu, utulił ich zupełny mrok. Niebiesko-czerwone rozbłyski pozostały gdzieś z tyłu, rzucane przez reflektor umieszczony nad wejściem.

Deryło kilkukrotnie zamrugał i przesunął się, czując za plecami sztywny materiał. Zrobił trzy kroki, jednocześnie starając się przeniknąć spojrzeniem ciemność. W pewnym momencie zdawało mu się, że dostrzega stłumione światełko. Wyteżył wzrok i rozpoznał skupisko kilku ledwie żarzących się diod. To musiała być skrzynka elektryczna lub przełącznik instalacji alarmowej.

Po omacku starał się odszukać kabel, lecz nie mógł na niego trafić. Wariacki ryk syreny przyprawiał go o mdłości. Wściekły uchwycił pistolet za lufę i kilka razy uderzył kolbą w skrzynkę. Jakiś metalowy element spadł na podłogę, część diod wygięła się, a alarm nagle ucichł.

– Dzięki Bogu.

Komisarz odsapnęła i zrobił kolejny krok. Chciał zapytać Haler, gdzie się znajduje, ale gdyby ta odpowiedziała, zdradziłaby się zarówno przed nim, jak i przed każdym innym, kto mógł być w środku. Należało zachować szczególną ostrożność. Co prawda znaleźli się tu niemal przypadkiem, zdając się niemal wyłącznie na ślepy los, ale z drugiej strony specjalna kotara i system alarmowy skłaniały, by wzmóc czujność. Poza tym było znaczne prawdopodobieństwo, że garaż należy do osoby, w której lodowce znaleźli ludzką rękę i fragment zmielonego ciała. A to kazało nie tylko wzmóc czujność, ale być ostrożniejszym od najbardziej przezornego sapera.

Nagle Deryło usłyszał ciche szuranie. Zapewne Haler otarła się o ścianę lub po omacku czegoś na niej szukała.

Komisarz zrobił kolejny krok i wtedy coś uderzyło go w twarz. Cicho zaklął, dokładnie w momencie, gdy pomieszczenie wypełniło blade, niebieskawe światło. To, co zobaczył, sprawiło, że gwałtownie zacisnął mu się żołądek.

21

Skórzany, schodzony but trącał czubkiem ramię komisarza. Gdy ten spojrzał wyżej, jego wzrok prześlizgnął się po poprzecieranych jeansach, sztruksowej brązowej koszuli i spoczął na obrzmiałej twarzy wisielca. Spomiędzy rozchylnych, sinych warg wystawał fioletowy język. Oczy mężczyzny wywróciły się ku górze tak, że było widać niemal wyłącznie białka. Pod jego nosem zebrała się plama zakrzepłej krwi. Blade policzki pokrywała pajęczyna bordowych wyboczyń przypominająca spękania na skleionej porcelanie.

Deryło w pierwszej chwili uskokczył i wymierzył w wisielca z pistoletu. Następnie instynktownie rozejrzał się wokół. W zapalonym przez Haler świetle widać było całe wnętrze garażu. Pomieszczenie miało około sześciu metrów na cztery i dwie z trzech ścian okrywały podobne płachty jak drzwi garażowe. Komisarz natychmiast domyślił się, że zgodnie z przypuszczeniami ich rolą było wyciszenie oraz izolacja cieplna garażu.

Tamara stała w przeciwnym kącie, wciąż oszołomiona widokiem wisielca. W chwili zapalania światła musiała się odchylić i wyglądało, jakby zamarła w bezruchu. Nagle głośno sapnęła.

– Ja piernicę. My to mamy fart.

– Tak to nazywasz?

Deryło westchnął i powoli schował pistolet do kabury. Jeszcze raz zerknął na truposza.

Mężczyzna mógł mieć około czterdziestu lat, a w jego twarzy przy odrobinie wyobraźni można było się doszukać rysów człowieka ze zdjęcia zamieszczonego w dokumentach.

– Dzień dobry, Feliksie Lauch – wyszeptał komisarz. – Spotykamy się szybciej, niż sądziłem.

– Co ty mamroczesz, tatuśku? – Haler stanęła tuż obok niego.

– Ty pierwsza. Dawniej była taka zasada, że panie przepuszczało się przodem.

– Trup jak się patrzy, pętla zadzierzgnięta niemal profesjonalnie i zdaje się, że chłop zaliczył złoty strzał. *Rigor mortis* oceniam na sześć, maksymalnie dziesięć godzin.

– Na pierwszy rzut oka nie widać innych obrażeń.

– Wisielcze wybałuszenie oczu, kłódowy język, wybroczyny...

Tamara odchrząknęła i delikatnie dotknęła łydki mężczyzny. Pokiwała głową, po czym powoli go obeszła.

– I co powiesz? – dopytał Deryło.

– Trup jak się patrzy – powtórzyła Haler. – Z pewnością nie miał w planach takiego rozegrania akcji, żebyśmy mieli możliwość go odratować. Rozdźwięk czasowy był zbyt duży.

– Raczej kiepskim pomysłem byłoby wieszanie się po wcześniejszym sporządzeniu zaszyfrowanych wiadomości. I licząc na to, że gliniarze na czas przejrzą domowe rachunki.

– Tylko coś mi nie pasuje. Zwróć uwagę, że...

Tamara urwała w pół zdania. Obeszła wokół wisielca, następnie stanęła tuż przy nim i wbiła wzrok w jedną ze ścian.

– Że? – Deryło przestąpił z nogi na nogę. – Wysłowisz się wreszcie?

– Zazwyczaj wisielcy wieszają się z widokiem na pomieszczenie. To taka statystyczna ciekawostka. Tak jakby nie chcieli odwracać się od głównej sceny przedstawienia, które dają, kończąc ze sobą.

– Statystyka to naciąganie rzeczywistości do własnych pobożnych życzeń.

– Może.

– Natomiast trup zazwyczaj jest końcem zagadki. Poza tym lina co do zasady ma pewną sprężystość.

Haler podeszła do ściany i dotknęła zakrywającej ją kotary. Przeciągnęła po niej wierzchem dłoni.

– Obawiam się, że tym razem to twoje pobożne życzenia.

Gwałtownie szarpnęła za gruby materiał i się odsunęła. Nie musiała mówić nic więcej.

22

SP TO DOPIERO POCZĄTEK ZABAWY

Deryło kilkakrotnie uważnie odczytał napis wymalowany czerwoną farbą. Nakreślono go wprost na betonie, z którego zrobiona była ściana garażu. Litery były nierówne, z różnymi odstępami oraz zaciekami. W bladym świetle zdawały się wręcz mienić.

– Co, do diabła, znaczy „SP”? – syknął, marszcząc czoło.

Haler wzruszyła ramionami i mlasnęła.

– Nie mam pojęcia, może pomyliło mu się z „PS” i chciał w ten sposób podkreślić, że to dodatek do tego, co czekało nas wcześniej. A do tego wstęp do czegoś więcej.

– Pomyłka w ostatnim liście? Kiepska sprawa.

– Domyślam się, że jeśli chcesz się zabić, emocje mogą wziąć górę i możesz się machnąć w literkach.

– Ale jeśli chcesz umrzeć, trudno planować dalszą zabawę. – Deryło założył dłonie za głowę i ciężko nabrał powietrza. – Zresztą do dupy są takie zabawy, które fundujemy innym bez naszego udziału.

– Odezwał się pan rozrywkowy.

– Co by nie było, mam jakieś pojęcie o pieprzonym zabawianiu się. W ten sposób sukinsyn tylko psuje mi humor.

– Zdaje się, że ten był od dawna popsuty.

Haler odpowiadała niemal mechanicznie, z najbliższej odległości przypatrując się napisowi. Musiała włożyć dłonie do kieszeni, gdyż znów zaczęły drżeć. Poza tym zawroty głowy nadal nie ustępowały. Przez ostatnie minuty usilnie walczyła, aby komisarz niczego nie dostrzegł. Mimo to przynajmniej miała jasność myśli. Błyskawicznie analizowała rozmaite znaczenia wyrazu, przestawiała kolejność słów oraz liter. Była w swoim żywiole.

– Mógł nie dostawić kreseczki – odezwała się nagle. – Wiele osób nie stawia kropek albo kresek nad literami. Istnieje nawet pewne zaburzenie, przy którym niemożliwe jest ich opanowanie.

– Sugerujesz, że to miało być „ŚP”? – bąknął Deryło. – Świętej pamięci?

– To tylko kolejna z teorii, ale chyba całkiem pasuje.

– Własne epitafium. Naprawdę niczego sobie.

Komisarz stanął obok Halera i przyjrzał się napisowi. Przekrzywił głowę dokładnie w momencie, gdy Tamara wyciągnęła dłoń i jej wierzchem dotknęła ściany. Jednocześnie zakłęli.

23

– No dobrze, uporządkujmy, co mamy.

Deryło pośpiesznie pochłaniał porcję ulubionego spaghetti all'amatriciana. Poruszany temat oraz niedawne wydarzenia ani trochę nie zmniejszyły jego apetytu. Wręcz przeciwnie, jak zwykle, pobudzenie i intensywny wysilek sprawiały, że piekielnie zgłodniał. Tymczasem Haler, mimo że znajdowali się w ich ulubionej restauracji, ledwie dziubała stojącą przed nią porcję lasagne.

– Sukinsyn, zanim umarł, nabazgrał na ścianie swoje przesłanie – ciągnął komisarz. – Może myślał, że jego śmierć rzeczywiście jest początkiem dobrej zabawy? Może uznał, że kiedy się powiesi, czeka go impreza życia, z dziewicami, owcami i jaskiniami Ali Baby bez wejścia na tajne hasła. Chyba w ten sposób myślą o rajach muzulmanów?

– Tak samo jak chrześcijanie widzący w nim wielopłciowe aniołki. – Haler westchnęła i odłożyła sztucę. – Przepraszam, nie dam rady dokończyć.

– Nie smakuje ci?

– Nie mam apetytu. Myślę o tej cholernej krwi, której użył do nabazgrania tego napisu.

Właśnie to odkrycie sprawiło, że w garażu oboje zakłęli. Jednocześnie zdali sobie sprawę, że to nie farba się skrzy w bladym świetle, lecz za specyficzną barwę odpowiadają fragmenty tkanki. Najprawdopodobniej sprawca użył krwi pochodzącej z przemielonego fragmentu ciała. Tej samej, którą wcześniej znaleźli na dnie worka tkwiącego w lodówce.

– Nie ma sensu się nad tym zastanawiać. – Deryło dopił sok pomarańczowy i obrzucił Halera ponurym wzrokiem. – Wszystkiego dowiemy się dopiero, gdy dostaniemy ekspertyzę z laboratorium.

– Co nie przeszkadza dywagować.

– Tylko czy dywagowanie dokądkolwiek prowadzi? Albo do czegokolwiek?

Tamara wzruszyła ramionami i położyła dłonie na kolanach. Jednym z powodów, przez które nie jadła, poza brakiem apetytu, było utrzymujące się drżenie rąk. Za wszelką cenę usiłowała nie dopuścić do tego, by komisarz zwrócił na nie uwagę.

– I pomyśleć, że rano liczyłem na całkiem miły dzień. – Deryło fuknął i odstawił na bok pusty talerz. – Zamierzałem pójść dzisiaj do kina, uwierzysz w to? Po prostu chciałem wybrać dowolny seans i posiedzieć przed wielkim ekranem.

– Ty? Największy odludek świata?

– No, przyznaję, że myślałem o późnym seansie, na którym nie będzie zbyt wielu ludzi, ale taki był plan.

– Podejrzewam, że to raczej plan walki z bezsennością niż realizowania marzeń niedosłego kinomaniaka.

– Może masz trochę racji. W każdym razie założenie było całkiem miłe. Znacznie miłsze niż oglądanie fragmentów mielonego ciała, wisielca i cholernej krwi. Z góry zastrzegam, że nie planowałem oglądać horroru ani nowej wersji Teksaskiej masakry piłą mechaniczną, bo tego typu filmy mnie

brzydzą.

Deryło zmierzył się wzrokiem z przechodzącą obok ich stolika kobietą. Słyszając jego ostatnie słowa, elegancko ubrana dama uniosła brwi i pokręciła głową.

– Rozmawiamy o obrzydliwym filmie. – Komisarz uśmiechnął się do niej ponuro. – Naprawdę tak obrzydliwym, że nie chciałaby pani nawet poznać jego tytułu. Szkoda czasu.

Kobieta westchnęła i bez słowa skierowała się w stronę toalet. Tymczasem Tamara parsknęła cichym śmiechem.

– Mój dzień też miał być znacznie lepszy – odezwała się po chwili. – Nawet ta pieprzona terapia miała stanowić ciekawe doświadczenie. Zamierzałam rozegrać to psychologicznie i poobserwować zachowania ześwirowanych terapeutów, którzy...

Niedbale machnęła ręką. To było nieważne. Nagle, tknięta jakąś niespodziewaną myślą, wyprostowała się, zerknęła za okno i wstała od stolika.

– A ty dokąd? – Deryło zerknął na nią spode łba. – Zaraz wyjdziemy.

– Sama sobie poradzę. Przejdę się stąd do domu.

– To kawał drogi.

– Dobrze mi zrobi.

Komisarz podniósł się, by zaprotestować, lecz zdecydowane spojrzenie Tamary nie pozostawiało wątpliwości, że nie ma sensu z nią polemizować. Westchnął.

– Jak sobie chcesz. Ale żeby nie było, że nie proponowałem.

– Poradzę sobie, tatuśku.

– Może chociaż cię odprowadzę?

Haler pokręciła głową. Zarzuciła kurtkę i uśmiechnęła się pokrzepiająco. Po raz pierwszy Deryło tak wyraźnie dostrzegł na jej twarzy ślady choroby.

– Nie. Muszę wszystko dokładnie przemyśleć. O nic się nie martw i leć do kina. Jeszcze zdążysz na wieczorny seans.

Deryło odprowadził ją ponurym spojrzeniem. Zerknął na zegarek i zdał sobie sprawę, że jest znacznie później, niż sądził. Nie miał pojęcia, że kilka kilometrów dalej dokonywano właśnie istotnego odkrycia.

24

Doktor Gawiński jak zwykle pracował bez pomocy techników. Ostatniego z nich zwalniał do domu po upewnieniu się, że wszystkie narzędzia są na swoim miejscu, pacjent odpowiednio przygotowany, a stół uprzątnięty. Jako najlepszy w swym fachu specjalista mógł sobie pozwolić na pewne odstępstwa od procedur. Następnym z nich było również swobodne podejście do kolejności przeprowadzanej autopsji (doktor Gawiński był bowiem patomorfologiem), a także do nagrywania jej przebiegu na dyktafon. Lekarz miał tak duże doświadczenie, że zapamiętywał każdy najdrobniejszy szczegół sekcji i mógł go odtworzyć wiele godzin po jej zakończeniu. Dlatego zdecydowanie wolał formę pisemną raportów. W trakcie pracy wybierał natomiast całkowitą ciszę. Ewentualnie pozwalał sobie na cichą rozmowę z pacjentem, którego tajemnice cielesne właśnie zgłębiał. Tak było również w tym przypadku.

Denat w wieku około czterdziestu paru lat leżał na stole, choć ocenienie wieku byłoby w tym momencie problematyczne. Mężczyzna miał zdjętą z czaszki niemal całą skórę, którą naciągnięto na potylicę oraz podbródek. Przeciągnięty język wystawał znad miejsca, gdzie powinna być grdyka. Odkrojony czerep leżał w metalowej misce, został już przez Gawińskiego opłukany i szczegółowo obejrzany. Oględziny mózgu nie przynosiły żadnych interesujących informacji, choć zgodnie z wymaganiami sztuki lekarz pobrał próbki tkanki. Obecnie zszedł niżej, dokonał igrekowatego nacięcia na klatce piersiowej i miał się zabrać do głównego etapu autopsji, czyli oględzin trzewi.

– No, zaraz zobaczymy, co masz w środku – mamrotał. – Bruzda wisielcza, złamana grdyka, otarcia naskórka... Ciągle coś mi się w tym nie podoba. Waga twojego ciała to niespełna sześćdziesiąt dziewięć kilogramów, a nacisk na pętlę jak u słonia. Aż tak bardzo chciałeś się zabić? Skąd skoczyłeś?

W raporcie nie ma ani słowa o dwudziestometrowej linie i nadmorskim uroczym klifie. Napisali o ledwie pięćdziesięciu kilku centymetrach sznura.

Lekarz odłożył metalowe nożyce i za pomocą specjalnego mechanizmu śrubowego rozchylił żebra. Dawniej ich część po prostu wycinał, ale z wiekiem uznał to za brak szacunku dla zmarłych. Skoro przy jedynie minimalnie większym wysiłku mógł zachować zwłoki niemal w całości, czemu miałby tego nie zrobić?

Poza tym do wyjątkowej staranności pracy Gawińskiego przyczyniała się odręczna adnotacja, jaką znalazł na dokumentach. Skreślona dłonią komisarza Deryły ograniczała się do zamasyztego podpisu oraz jednego słowa „PILNE”. Zazwyczaj procedury oraz mnogość przypadków powodowały, że sekcje przeprowadzano dwa lub trzy dni po odebraniu zwłok. Na ich wyniki czekało się jeszcze dłużej. Jednak doktor Gawiński, podstarzały wdowiec w wieku emerytalnym, a zarazem od lat szczerzy przyjaciel komisarza, miał wpływ na procedury. Nauczony doświadczeniem, mając na względzie szcześnie Deryły do stykania się z najbardziej pokręconymi sprawami, działał ze szczególną pilnością.

Rozchylane żebra wywoływały odgłos lepkiego mlaśnięcia, a z jamy brzusznej denata uwolniło się nagromadzone powietrze. Patolog przystąpił do systematycznego badania oraz przeglądania zawartości kolejnych narządów.

Zmarły na swój ostatni posiłek wybrał jakąś nędzną papkę przypominającą kleik dla dzieci lub budyń. Gawiński nawet powąchał niestrawioną zawartość żołądka, lecz mocne kwasy zrobiły już swoje. Teraz należało zdać się na siły laboratorium. Lekarz nabrał pincetą treść pokarmową z kilku loteryjnie wybranych punktów i włożył ją do próbki.

– Znaleźli cię na czas... – szepnął. – W ostatniej chwili.

Z wykryciem ewentualnych śladów trucizny na tym etapie nie powinno być problemu. Niektóre substancje uwalniały się i ulatniały, stając się niewykrywalne po kilku dniach od zażycia. W zasadzie nie istniał środek, pojawiający się w filmach kryminalnych, który już po godzinie czy dwóch byłby nie do wychwycenia przez czułą aparaturę laboratoryjną. Choć oczywiście Gawiński dopuszczał możliwość, że taka substancja powstała, lecz nigdy nie została wykryta. Byłby to paradoks podobny do tego wynikającego z rozważań nad istnieniem zbrodni doskonałej. Do momentu, kiedy te nie zostałyby opisane, w czystej teorii mogły mieć miejsce. Gdy ktokolwiek się o nich dowiaduje, przestają być doskonałe.

Lekarz westchnął, poprawił maseczkę i ponownie nachylił się nad zwłokami. Delikatnie obrócił lampę tak, by jej światło padało dokładnie na otwartą jamę brzuszną.

– Jeszcze kilka minut i kończymy.

W tym momencie Gawiński naruszał normalnie przyjęte procedury. Zamiast badać przewód pokarmowy od góry do dołu, zazwyczaj dokonywał tego w sobie tylko znanej kolejności. Zanim żołądek został całkowicie opróżniony, lekarz zanurzył dłoń w jelitach. Centymetr po centymetrze sprawdzał ponad sześciometrowy organ, upewniając się, czy nigdzie nie doszło do jego perforacji bądź czy nic w nim nie zalega.

– Kiszki miałeś w porządku – mruknął, po czym wyprostował się, dając na moment odpocząć kręgosłupowi. Podobnie jak Deryło, od pewnego czasu Gawiński rozważał przejście na emeryturę. Miał ku temu jednak znacznie więcej powodów niż komisarz, na czele z tym, że był od niego ponad dekadę starszy. – Do roboty...

Ponownie nachylił się nad zwłokami i powrócił do badania zawartości żołądka. Starannie opróżnił go, przenosząc całą treść do oddzielnego naczynia. Było to istotne w przypadku, gdyby laboratorium upomniało się o dodatkowe próbki.

W momencie, gdy Gawiński chciał się odwrócić do stołu sekcyjnego, coś przykuło jego uwagę. Jeszcze raz przebrał w treści żołądkowej i poruszył naczyniem.

– Niech to szlag – syknął.

w porządku. Zniecierpliwiony, oczekując odpowiedzi, włączył telewizor i przez kilka minut oglądał program informacyjny. Na razie nic nie wspomniano o śledztwie, a w tę i we w tę znęcano się nad ostatnią reformą podatkową. Zresztą robiono to całkowicie słusznie.

Gdy jeden z zegarów wybił dwudziestą pierwszą, komisarz przełączył kanał i sięgnął po telefon. Nadal nic. Nie otrzymał od Tamary żadnej wieści. Bijąc się z myślami, nie chcąc wyjść na nadgorliwego, zastanawiał się, czy nie powinien do niej zadzwonić. Przez kilka minut szybkim krokiem chodził wokół okrągłego stołu, wreszcie odrzucił wątpliwości i ponownie sięgnął po komórkę. Już miał wybrać numer do podkomisarz, gdy na ekranie wyświetliła się krótka wiadomość.

Wszystko okej, tatuśku. Nie martw się.

Tatuśku. To jedno słowo sprawiało mu ogromną przyjemność. Naprawdę odczuwał wobec podwładnej uczucia ojcowskie i może nawet pragnął się nią zaopiekować zbyt mocno w stosunku do natury ich relacji. Tym bardziej że jego własna córka zerwała z nim kontakt i ponad dwa lata temu całkowicie się od niego odcięła. Po sprawie Cztery Iksa, gdy szalony morderca niemal zamordował jego rodzinę, popadł w paranoję. A potem kolejno stracił żonę oraz córkę. Od tamtego czasu nigdy się nie pozbierał. Miał lepsze lub gorsze dni, ale codziennie myślał o tych dwóch najbliższych mu osobach. Kilka telefonów i listów od Wiktorii nie mogło niczego zmienić. Córka z łaski lub z poczucia obowiązku po prostu dawała mu znać, że żyje. Nawet próba negocjacji prowadzonych przez Halera speliła na niczym. Urazy były zbyt poważne, a przewiny komisarza w oczach córki zbyt wielkie. Choć ten nadal uważał, że działał jedynie dla jej dobra.

Samotność. W ostatnich latach to pojęcie definiowało niemal całe jego życie. Mimo że nigdy nie był towarzyski, rodzina stanowiła dla niego cały świat. Jedyne chwile, gdy nie czuł dojmującej próżni, dzielił z Halerem. Jednak bliska relacja, ocierająca się o stosunki ojca z córką, miała swoje granice. Stawiali je na przemian Deryło oraz Tamara. Komisarz ze względu na swój introwertyzm oraz z powodu nieokreślonych wyrzutów sumienia względem Wiktorii, natomiast Haler, głęboko wierząc, że nie powinna nikogo dopuścić zbyt blisko siebie. Ból – oto co każde z nich kojarzyło z bliskością z innym człowiekiem. I być może paradoksalnie właśnie to sprawiło, że mimo oporów byli sobie jeszcze bliżsi.

Deryło nawet nie wiedział, kiedy usnął. Jego myśli lub sny meandrowały wokół sprawy mordu, przekazu zabójcy oraz kolejnych okropnych znalezisk. Czasem wydawało mu się, że wpada na jakąś istotną koncepcję, że odnajduje dodatkowy sens w drobnych szczegółach, lecz zaraz ta myśl ulegała rozproszeniu. Zapewne budził się i po chwili ponownie zasypiał.

Gdy otworzył oczy, za niezasłoniętym oknem był blady świt, a przy łóżku leżało kilka zmiętych żurawi origami. Nie pamiętał, kiedy je zrobił, lecz wykorzystał do tego plik kartek służących do zapisywania pomysłów, które pojawiały się w nocy. Zapewne w półśnie brak konkretnych koncepcji przekuł na zabawę. A może zrobił to, lunatykując?

Ciężko podniósł się z łóżka i rozmasował palcami skronie. Dawno nie przespał tylu godzin, choć teraz był potwornie zmęczony. Znacznie bardziej niż po niejednej bezsennej nocy.

Powlókł się do kuchni, przyrządził sobie śniadanie i jeszcze przez ponad kwadrans obserwował przecierające się na horyzoncie niebo. Odruchowo włączył radio, lecz zaraz je wyłączył. Potrzebował ciszy.

Gdy minęło wpół do siódmej, ubrał się i zebrał do wyjścia. Dojazd do komendy zajmował mu zazwyczaj około dwudziestu minut, ale czasem należało doliczyć do tego kilka minut na rozruch zabytkowego Citroëna. Jednak tym razem samochód odpalił bez problemu i o szóstej czterdzieści siedem Deryło wytoczył się z osiedlowego parkingu. Dręczyło go paskudne przecucie, że to jedynie dobre początki naprawdę paskudnego dnia. Nie mylił się.

26

– Panie komisarzu, kwadrans temu dostaliśmy telefon z zakładu medycyny sądowej. Pilnie proszono o kontakt.

– Gawński? Tylko on potrafi wydzwaniać z samego rana.

Starsza posterunkowa Nowak, zwana z racji solidnej postury oraz przesadnej skrupulatności

Posterunkową Gestapo, zerknęła w notatki.

– Dzwoniący nie przedstawił się – wyjaśniła służbowym tonem. – Gdy zapytałam, co dokładnie mam przekazać, rozłączył się.

– Czyli Gawiński. Po kilku latach mogłabyś zapamiętać jego głos.

– Głos można zawsze udać lub zmienić.

Deryło zerknął na Nowak spode łba i westchnął. Jakakolwiek polemika nie miała sensu. Podziękował za jej czujność i pośpiesznie udał się na górę. Na korytarzu wziął jeszcze z automatu kawę, po czym z tekturowym kubkiem w jednej ręce oraz z komórką w drugiej wparadował do gabinetu.

Ponuro zerknął na fotel, na którym zazwyczaj przesiadywała Haler. Mimo że z racji rangi przydzielono mu celę jednoosobową, jak o tym pomieszczeniu mawiali policjanci, komisarz zaadaptował przestrzeń do pracy dla podwładnej. Przynajmniej miał się do kogo odezwać lub poprosić o pomoc w toczony od wielu lat walce z nowinkami technicznymi, laptopami, skanerami i różnym innym sprzętem. Dotychczasowe ściąganie ViSira z odmetów pieczar informatycznych zazwyczaj kosztowało mnóstwo czasu. A tego zawsze było zbyt mało.

Teraz zdawało się, że Deryło na powrót będzie musiał się przyzwyczaić do samotności. I choć przez jakiś czas szukał wymówek, że chodzi tylko o pomoc przy komputerze, samotność dotyczyła czegoś zupełnie innego. Brakowało mu nie konkretnych działań, a po prostu świadomości, że Tamara jest obok. Że mają w sobie wzajemne wsparcie i mogą sobie bezgranicznie zaufać. Że...

Dość tych kliwionych bzdur.

Komisarz przyciągnął fotel, usiadł na nim i położył nogi na krześle stojącym z boku. Siorbnął wielki łyk kawy, a następnie obrócił w dłoni telefon. Pogrążanie się w melancholii nie mogło niczego zmienić. Tak samo jak niczego nie mogły zmienić żurawie origami. Cholerne papierowe figurki, które miały pomóc wygrać z chorobą popromienną pewnej japońskiej dziewczynce. Nigdy i nikomu nie przyniosły szczęścia. Ani w pojedynkę, ani zrobione całymi tysiącami.

Deryło w ostatniej chwili powstrzymał się, by odruchowo nie zmiąć niemal pełnego kubka kawy. Wybrał numer Gawińskiego i odchrząknął.

– Właśnie wychodzę. – Patolog prawie nigdy nie wypowiadał słów powitania. – Skończyłem dyżur, odwaliłem robotę i wracam do domu. Baj, baj.

– Chciałeś się ze mną skontaktować – bąknął komisarz.

– To było jakieś pół godziny temu. Myślałem, że już jesteś w komendzie.

– Nie przesiaduję tu od samego świtu. Skończyłem z pracoholizmem.

– Trudno. – W telefonie rozległy się trzaski, Gawiński chuchnął, po czym ponownie się odezwał.

– Będę w robocie jutro, wtedy pogadamy. Ja też skończyłem z pracoholizmem.

Deryło przecesał palcami włosy i ściągnął nogi z krzesła.

– Mam cię prosić? Nie mam ochoty odbębniać tej gry oraz podchodów.

– Brak humoru? Możemy sobie poopowiadać wisielcze dowcipy.

– Podziękuję.

Patolog westchnął, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

– Dobrze, czekam na ciebie jeszcze przez kwadrans. Ruszaj tyłek i przyjeżdżaj tu jak najprędzej, bo mam ci coś do pokazania. Pewnie nie będziesz z tego powodu szczęśliwy.

Deryło nic nie odpowiedział. Rozłączył się i niemal biegiem ruszył do wyjścia.

27

Doktor Gawiński przypominał podstarzałego, pomarszczonego szczura. Przynajmniej w taki sposób, w jaki podstarzałego, pomarszczonego szczura może przypominać człowiek. Był łysy, miał małe, żywe oczka skryte za szklami grubych okularów i mierzył nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu. Mówiąc, poruszał nosem, jakby nieustannie węszył, a obwisła skóra na szyi upodabniała go dodatkowo do żółwia. Żółw czy szczur, to nie miało znaczenia. Gawiński był nie tylko doskonałym specjalistą, lecz również człowiekiem wyjątkowo życzliwym dla Deryły.

– Kwadrans! – wrzasnął na jego widok. Był już ubrany w beżowy płaszcz i każdym ruchem

dawał do zrozumienia, jak bardzo się śpieszy. Podciągnął mankiet, po czym chudym palcem zastukał w szkiełko zegarka. – Miałeś być w ciągu kwadransa, a czekałem prawie dwadzieścia minut! Nie szanujesz mojego czasu, następnym razem...

– Daj spokój. – Deryło ponuro machnął ręką. – Co dla mnie masz?

Gawiński momentalnie przybrał inny wyraz twarzy i z zainteresowaniem łypnął na komisarza. Przypatrywał się mu przez kilka sekund, po czym wskazał, by ruszyli w głąb korytarza, ku pomieszczeniom zakładu medycyny.

– Ktoś tu rzeczywiście jest kompletnie nie w humorze.

– Chyba kurestwo tego świata zaczyna mnie przytłaczać na dobre.

– Brzmi jak mowa pożegnalna albo nagłówek listu samobójcy. – Lekarz podrapał się po łysym czerepie i sięgnął do kieszeni po klucze. – Wiem coś o tym.

Deryło ponuro pokiwał głową. Gawiński przed kilku laty miał próbę samobójczą, o której niemalże się nie mówiło. To, co się wydarzyło, stanowiło temat tabu, lecz ze strzępów informacji, jakie dotarły do komisarza, domyślił się, że lekarza odratowano jedynie cudem. Nigdy o to nie zapytał, tak samo jak nigdy nie rozmawiali o przyczynach, które doprowadziły go do tego kroku. Wystarczyło skojarzyć fakty i to, że dwa miesiące wcześniej zmarła żona patologa. Wszystko zgrywało się w oczywistą całość. Deryło rozumiał go aż nazbyt dobrze, choć sam jeszcze nigdy nie stanął tak blisko krawędzi bezsensu istnienia. Wciąż żył nadzieją, że znów zbliży się z córką.

– Właż. – Lekarz pchnął drzwi i przepuścił komisarza przodem.

– Myślałem, że chcesz mi pokazać zwłoki.

– A stęskniłeś się za ich widokiem? W razie potrzeby mogę ci zafundować mnóstwo rozrywek z umarlakami. Do wyboru, do koloru.

Deryło po raz kolejny nie podłapał żartu. Bez cienia uśmiechu czekał, aż Gawiński przejdzie do sedna. Tymczasem patolog otworzył jedną z szuflad białego metalowego biurka i podał mu kartkę.

– Raport z autopsji? – Komisarz nerwowo fuknął. – Nie możesz mi tego zreferować? Albo po prostu wysłać mailem?

– Sądziłem, że pewien szczegół cię zainteresuje. Chciałem wyłożyć ci go osobiście, na wypadek gdyby ci umknął.

– Mianowicie?

Gawiński wyjął z dłoni komisarza raport, po czym przebiegł go palcem.

– W treści żołądkowej denata natrafiono na obiekt o wymiarach trzy na półtora centymetra oraz grubości czterech milimetrów – odczytał. – Najprawdopodobniej to dysk przenośny, czyli tak zwany pendrive.

Lekarz odłożył dokument na biurko i spojrzał na komisarza. Ten, stojąc ze splecionymi na piersi rękoma, zmarszczył czoło.

– Chcesz mi powiedzieć, że facet połknął dyskietkę, zanim się powiesił?

– Nie dyskietkę, tylko dysk przenośny.

– Pal diabli. Na jedno wychodzi.

– Jeśli tak, to możemy przyjąć, że reszta się zgadza.

Deryło nagle się wyprostował i założył dłonie za głowę.

– Ja pierdolę, czy ja nie mogę trafić na normalne, klasyczne morderstwo? Na gościa, który po pijaku tłucze na śmierć żonę i na tym koniec tajemnicy? – Zrobił krok w stronę lekarza i wyciągnął dłoń.

– Dawaj ją.

– Co takiego?

– Tę dyskietkę, czy tam dysk.

Gawiński z troską chwycił komisarza za łokieć. Spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie mogę. Musiałem go przekazać z resztą materiału do laboratorium, ale już się z nimi kontaktowałem. – Puścił komisarza i założył dłonie za plecy. – Czekają na ciebie z otwarciem jego zawartości. Powiedziałem, że będziesz o ósmej. Zostało ci jakieś jedenaście minut.

Deryło uśmiechnął się do młodej, wystraszonej praktykantki. Usadowienie niedoświadczonej studentki w portierni budynku mieszczącego między innymi laboratorium kryminalistyki było ryzykownym posunięciem. Ryzykownym albo bezmyślnym, lecz komisarz nie zamierzał być teraz złośliwy.

– Moja koleżanka niecierpliwie na mnie czeka – rzucił zgodnie z prawdą. Przelotnie pokazał legitymację i skinął w stronę wind. – Proszę aktywować klucz dostępu na piąte piętro.

– Kazano mi przepuszczać tylko ludzi z przepustkami.

– Kto tak kazał?

– Dyrektor pionu...

– W takim razie proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że pojawił się komisarz Deryło.

– Zabronił mi...

– Pojawił się komisarz Deryło i jeśli nie zostanie wpuszczony, własnymi rękoma rozpieprzy te cholerne drzwi.

– Ale dyrektor...

– Za sekundę nie zdąży pani już zadzwonić. Tylko uprzedzam fakty. Znają mnie tu.

Kobieta jeszcze raz zerknęła na komisarza i spuściła wzrok. Z nosem niemal wbitym w blat biurka odezwała się po raz kolejny:

– Naprawdę, proszę mi wybaczyć, wiem, kim pan jest, ale...

– Eryk!

Deryło i spłoszone dziewczę jednocześnie odwrócili się w stronę korytarza. Drzwi prowadzące do wind były otwarte i stała w nich niska, zgrabna kobieta o rudych włosach i porcelanowej cerze.

– Sezamie, otwórz się! – z entuzjazmem wyrecytował komisarz. – W ostatniej chwili, zanim zrobiłem tu karczemną awanturę. Co to za mityczny, cholerny dyrektor pionu i dlaczego nie chce mnie wpuścić?

Laborantka machnęła ręką, dając mu znać, żeby za nią podążył.

– Streszczę ci sytuację w trzech punktach – odezwała się, gdy czekali na windę. – Po pierwsze, dziewczyna jest nadgorliwa, po drugie, mamy nowego dyrektora, po trzecie, dyrektor też jest nadgorliwy, bo chodzą słuchy, że mają na nas nasłać NIK. Sprowadza się to do tego, że wszyscy trzęsą portkami jak pierwszoklasiści przed klasówką.

– Kontrolerzy panoszą się wszędzie, co?

Deryło zerknął na wyświetlacz wskazujący piętro, na którym jest winda, i niemal niezauważalnie się wzdrygnął.

– Może pójdę na piechotę. Znam drogę...

Laborantka pokręciła głową.

– Musisz się przemęczyć, bo na każdym piętrze drzwi wymagają użycia kart dostępu. Chyba że chcesz pozwiedzać klatkę schodową.

– Ja pierniczę. Całe życie pod górę.

– Właśnie aby to ułatwić, wymyślono windy.

Rudowłosa odsunęła się, przepuszczając komisarza do kabiny. Kiedy ten wszedł do środka, postąpiła za nim. Przyłożyła identyfikator do czytnika, po czym wybrała numer piętra.

– Co u ciebie słychać?

– Próbujeś mnie zagadywać, żebym nie dostał ataku paniki? To tak nie działa.

– Czyżby?

– Powiedz lepiej, co dla mnie macie. Gawiński mówił coś o jakiejś dyskietce.

– O pendrivie. Wszystko w porządku? Jesteś cały spocony.

Deryło fuknął. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią twarz. Rzeczywiście była zroszona potem, ale i tak trzymał się całkiem dzielnie. Gdy po kilku sekundach drzwi windy się rozsunęły, natychmiast wypadł na korytarz, po czym głęboko odetchnął.

– Nie cierpię klaustrofobicznych, małych pomieszczeń. To nie nadaje się choćby na klatkę dla chomika.

– Nawet jeśli jedziesz z seksowną laską? – Laborantka poklepała go przyjacielsko po ramieniu i skierowała w głąb korytarza. – Robisz się straszną pierdołą, mój drogi.

– Lepiej wróćmy do tematu pendrive’a. Co na nim mamy?

– Nie wiem. Na razie informatyk sprawdził go pod kątem ewentualnego oprogramowania wyczyszczającego w razie nieuprawnionego dostępu.

– Co proszę? Mógł to zrobić ViSir.

– Wiesz, jakie są procedury.

Kobieta przyłożyła identyfikator do kolejnego czytnika i weszła z komisarzem do przestronnego pomieszczenia, w którym znajdowało się kilka stanowisk komputerowych, nieznanymi Deryło sprzęt przypominający piecyk elektryczny oraz dwie szafki ze szklanymi drzwiczkami.

– Pusto tu – skwitował.

– Moja podopieczna jest na macierzyńskim, a kumpel na zwolnieniu. Na froncie robót zostałam sama.

– Wobec tego bierzmy się do roboty. Wiesz, że jak zawsze mam kurewsko mało czasu.

Laborantka skinęła głową i sięgnęła do opakowania, z którego wyjęła rękawiczki. Następnie otworzyła zabezpieczoną kodem szafkę.

– Oto on – odezwała się, biorąc w dwa palce niewielkie urządzenie. – Powód całego zamieszania. Informatyk mówi, że możemy go uruchomić.

Deryło milczał. Obserwował, jak kobieta wkłada pendrive do gniazda w laptopie, następnie wpisuje hasło i otwiera jego zawartość. Ekran zamrugał, a po chwili włączyło się okienko nowego programu.

– Cholera, zobacz... – Laborantka nerwowo zaczesła włosy za uszy. – Znów trafiłeś na jakiegoś pochrzanionego dewianta?

29

Deryło zagryzł usta i nie mrugając, wpatrywał się w ekran komputera. Uruchomił się plik wideo bez dźwięku i przez kilka sekund się ładował. Następnie na przemian obraz przyciemniał się i rozjaśniał, tak że nie było widać żadnych szczegółów. W momencie, gdy komisarz uznał, że materiał najwyraźniej jest uszkodzony, nagranie ruszyło.

Kamera była ustawiona w ciemnym, słabo oświetlonym pomieszczeniu, bez okien i jakichkolwiek sprzętów w środku. Nagrywający zatoczył nią półokrąg, jakby chciał pokazać otoczenie. Gdy obraz się ustabilizował, Deryło z laborantką zobaczyli dwie skrępowane osoby. Byli to mężczyźni, rozebrani do samej bielizny i zawieszani za uniesione ręce pod niskim sufitem. Ich łańcuchy były tak dobrane, że czubkami palców mogli opierać się o podłogę.

Komisarz doskonale wiedział, jaką torturą jest takie ułożenie ciała. Podniesiona przepona oraz nienaturalna pozycja płuc sprawiały, że człowiek przez cały czas się dusił, dostarczając do organizmu zbyt mało tlenu. Jednocześnie wygięte mięśnie i napięte ścięgna sprawiały ogromny ból. Już po kilkunastu minutach pozostawania w takiej pozycji część osób mdlała.

Jednak na nagraniu obaj mężczyźni byli przytomni. Mrugali i starali się oswobodzić, lecz zakres ich ruchów był minimalny. Deryło splótł dłonie, po czym nachylił się w stronę monitora. Jeden z mężczyzn miał około trzydziestu lat, a jego pyzată twarz pokrywał krótki, zmierzwiony zarost. Na wydatnym brzuchu miał niezbyt porywający tatuaż w kształcie krzyża, którego ramiona przecinały się na wysokości pępka. To na niego wskazał komisarz.

– Co to za gówno...

Laborantka najwyraźniej nie wiedziała, czy Deryło odnosi się do tatuażu, czy do całego nagrania, i się nie odezwała. Jak oniemiała wpatrywała się w ekran. Od czasu do czasu jedynie nerwowo przetykała ślinę.

Komisarz przeniósł wzrok na drugiego ze związanych mężczyzn. Ten był znacznie drobniejszy

i co najmniej o dziesięć lat starszy. Miał chudą, wyniszczoną twarz z zapadniętymi policzkami oraz głęboko osadzonymi oczami. Wyraźnie widać było jego żebra, ale rozciągnięty brzuch sprawiał wrażenie, jakby przykleił się do organów wewnętrznych.

Nagle na ekranie wyświetlił się czerwony licznik. Liczba sto przeskoczyła na dziewięćdziesiąt dziewięć i zapulsowała.

– Co to jest, do cholery? – Deryło nerwowo zastukał palcem w ekran. – Co on odlicza?

– Nie wiem.

– To może być emitowane na żywo?

Laborantka pokręciła przecząco głową.

– Nie ma takiej opcji. Wszystko jest odtwarzane z pendrive'a, a ten komputer nie ma nawet połączenia z siecią. Wymagają tego procedury laboratorium kryminalistycznego.

– W takim razie o co chodzi? Skoro nie mamy żadnego wpływu na to odliczanie, to kompletnie bez sensu.

– Może właśnie w tym rzecz? Aby się skupić na tym, co nie jest istotne?

Deryło sapnął. Kobieta mogła mieć rację, rozmaici przestępcy, pogrywając z policją, często wykorzystywali ten schemat. Starali się zwrócić uwagę na coś, co dla śledztwa nie miało żadnego znaczenia, ale co sprawiało, że służby marnotrawiły mnóstwo czasu, by dojść do tego wniosku.

– Skoro jeden i drugi mają oczy oraz ręce, to nie jest nasza ofiara. – Deryło głośno myślał. – Chyba że przemilił ich później, ale...

– Co, proszę? – Laborantka oderwała wzrok od ekranu, na którym film właśnie dobiegł końca. W trakcie nagrania nic się nie wydarzyło. – O czym ty mówisz? Jakie mielenie, jakie oczy?

– Nieważne.

– Czy on... Czy mamy kolejnego seryjnego?

Deryło spojrział na niewinną, łagodną twarz laborantki i przeszło mu przez myśl, jak ktoś taki może pracować w laboratorium zajmującym się analizą najbardziej popieprzonych śladów zbrodni. Już miał wypowiedzieć jakiś frazes, gdy w jego kieszeni odezwała się komórka. Wyciągnął ją i natychmiast zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła Haler.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Kurtuazyjnie odwrócił się bokiem do laborantki i przytknął telefon do ucha. – Halo? Tamaro?

– Wpadłam na coś. – Haler odezwała się bez przywitania. – Na coś, co może mieć cholernie istotne znaczenie.

30

– Mów.

Haler odkaslnęła i na moment wstrzymała powietrze. Deryło był pewien, że tym razem nie robi tego, aby dozować emocje, lecz dlatego, że coś sprawiło jej nagły ból.

– Wszystko w porządku?

– Mhm.

– Odezwij się.

W głośniku poniósł się szum powoli wypuszczanego powietrza.

– Przepraszam. – Tamara jeszcze raz odkaslnęła i odezwała się niemal normalnym tonem: – Czasem tracę dech i mam problem z... To nieistotne.

– Wcale nie – zaprotestował komisarz.

– Sednem jest to, na co trafiłam. Choć właściwie zamierzałam się od wszystkiego odciąć, nie mogłam zasnąć. Dlatego przez całą noc wertowałam rozmaite strony, zrobiłam nawet mapę myśli i sprawdziłam parę źródeł.

– Słucham cię uważnie.

Deryło gestem przeprosił laborantkę i wyszedł na korytarz. Na bardziej otwartej przestrzeni poczuł się nieco swobodniej. Fragmenty nagrania wciąż tkwiły w jego mózgu i sprawiały, że podobnie jak skępowani mężczyźni czuł ciężar w piersiach.

– Ten skrót... SP.

– No?

– Ani święta pamięć, ani szanowny pan, ani nic podobnego jakoś mi nie pasowało. Reszta komunikatu jest zupełnie klarowna, odnosi się do konkretnego, bez uciekania w głądzenie. – Haler odzyskiwała zwyczajny rezon i z każdym słowem mówiła coraz szybciej, jak zawsze, gdy coś wyjątkowo ją fascynowało. – Psychologicznie zazwyczaj nie stosuje się ozdobników ani kurtuazji w zestawieniu z oschłą bądź euforyczną formą, z językiem potocznym i...

– Proszę, nie zdręczaj mnie szczegółami statystycznymi. Tym bardziej że napisano tam tylko „to dopiero początek zabawy”, a nie cały elaborat.

– Chciałam tylko powiedzieć, że moim zdaniem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent chodzi o włoski skrót *sotto piede*.

– Pod stopami? – Deryło mlasnął. – Mój włoski kuleje, ale to chyba właściwe tłumaczenie?

– Tak. Co więcej, właśnie w ten sposób niektórzy autorzy transkrypcji pism Ojców Kościoła oraz Biblii zastępowali określenie „piekło”. Ot taki gładki eufemizm.

– Czy uważasz, że chodzi o metaforę, czy piekło dosłownie? W tym momencie trudno mi zebrać myśli...

Haler miała przygotowaną odpowiedź. Najwyraźniej wystarczająco długo nad wszystkim myślała, by nie dzwonić z pierwszym lepszym pomysłem.

– Jestem przekonana, że napisał to ktoś, kto twardo stąpa po ziemi – wyrecytowała jakby dawno przygotowany żart. – Pamiętasz, jak ostukiwałam beton? Wydawał mi się dziwnie chropawy.

– Tak. Czy sądzisz, że...

Deryło zawiesił głos. Przełknął ślinę i słysząc ciche przytaknięcie Haler, nerwowo zawrócił.

– Swoją drogą, gdzie jesteś? – zapytała Tamara. – Nie żeby mnie to specjalnie interesowało, ale... No dobra, trochę mnie interesuje.

Deryło ponuro się uśmiechnął.

– W laboratorium kryminalistycznym. W brzuchu wisielca Gawiński znalazł pendrive, czy jak to się nazywa.

– Co takiego?

– Pendrive, taki przyczek z plikami, na którym...

– Wiem, co to jest pendrive! – Haler westchnęła. – Chodziło mi o to, co się na nim znajduje.

– Nagranie. Dwóch związanych mężczyzn z dość istotnymi ograniczeniami swobody ruchów. – Deryło wszedł do pomieszczenia technicznego i na migi poprosił, by laborantka wypuściła go z budynku. – Jedziesz ze mną do tego garażu?

– Nie.

– Po prostu nie?

– Owszem. Po prostu nie. – Haler powiedziała to z pełną determinacją. – Już i tak zbyt wiele o tym myślę.

Rozłączyła się, a tymczasem Deryło zatrzymał się przed szybami windy. Starając się nie myśleć o jeździe w dół, wybrał jeden z zapisanych numerów.

31

Witold Wilczur, technik kryminalistyki i dobry znajomy komisarza, odebrał niemal natychmiast. Najwyraźniej albo spodziewał się telefonu, albo właśnie coś robił na komórce, gdyż ledwie komisarz przytknął aparat do ucha, usłyszał jego głos.

– Halo, halo, panie komisarzu. Czyżby znowu połączyła nas ta sama sprawa? – Kryminalistyk się zaśmiał i zaraz dodał: – Samobójstwa i morderstwa zbliżają bardziej niż kobiety, no nie?

– Kiedyś bym się zgodził, teraz jestem coraz bliżej stwierdzenia, że pieprzę ten biznes. A w kontekście kobiety byłoby to dość nieeleganckie.

– Staromodny Deryło we własnej osobie. Czym mogę służyć?

Komisarz wypadł na spory parking przed budynkiem, po czym ruszył w stronę Citroëna.

Przytrzymując komórkę między ramieniem i uchem, zaczął przeglądać kieszenie w poszukiwaniu kluczyków. Znalazł je wewnątrz marynarki.

– Jest pan na miejscu? – zagadnął, sapnąwszy z ulgą. – W tym cholernym garażu?

– A jak pan sądzi? Ta robota nie jest do odwalenia w jedno krótkie popołudnie.

– Zastanawialiście się nad tym napisem?

– To nie nasza rzecz.

– Wiem, ale myślałem, że chociaż z nudów coś kombinowaliście.

– My się tu ani trochę nie nudzimy, komisarzu. Naprawdę mamy kurewsko dużo roboty, choć po efektach nie zawsze to widać. *C'est la vie*, jak mawiają francuscy detektywi.

Deryło wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Po chwili ostrożnie wytoczył się z parkingu, po czym włączył się do ruchu na dwupasmówce.

– Macie coś? – zapytał tonem niezdradzającym jakiegokolwiek nadziei.

Wilczur głośno splunął i nerwowo się zaśmiał.

– Gówno. Całe nic, zupełnie jakby ten garaż zdezynfekowano.

– Wisielec mógł zrobić to przed śmiercią.

– No raczej nie po niej.

– Chodzi mi o to, że jest jednym z podejrzewanych. – Deryło zabębnił palcami w kierownicę i przyśpieszył. – Zresztą mniejsza z tym. Co do napisu, pobraliście jego próbki?

– Tak. Laboratorium już pewnie nad nimi pracuje.

– Właśnie z niego wychodzę i nic mi o tym nie wiadomo.

– Doskonała koordynacja prac służb, co nie? – Wilczur odchrząknął i pociągnął nosem. – No dobrze, panie komisarzu, my tu ple, ple, ale na mnie czeka robota. Beze mnie ci gówniarze błądzą jak niemowlęta we mgle. Jak nieme wilczątko albo jeszcze gorzej.

– Czekał. – Deryło zerknął na starego tissota. Minęła już dziewiąta, więc skierował się drogą przez centrum, licząc, że nie trafi na korki. – Czy zwróciliście uwagę na posadzkę garażu?

– Posadzkę? To chyba lany beton.

– Moja partnerka twierdzi, że coś jej w nim nie grało. Poza tym...

Deryło uznał, że nie ma sensu zagłębiać się w szczegóły wyводу nad dwiema literkami.

– Postarajcie się ją przebadać. Tyle o ile.

– I tak byśmy musieli to zrobić, komisarzu.

– W takim razie zabierzcie się za to jak najszybciej. Jadę do was. Powinienem być za jakiś kwadrans i szczerze... liczę na konkrety.

Nim Wilczur zaprotestował, Deryło zakończył połączenie.

32

Deryło zatrzymał citroëna w tym samym miejscu, co poprzedniego dnia. Gdy tylko wysiadł, dostrzegł wysokiego, postawnego mężczyznę w kombinezonie ochronnym oraz ściągniętym na plecy kapturze. Witold Wilczur, zaciągając się papierosem, pomachał w jego stronę.

– Wybacz, że nie uścisknę ci dłoni. Rękawiczki zniosą obcowanie z papierosem, ale nie z cudzymi odciskami palców.

Jak zwykle w trakcie śledztw osoby na co dzień pozostające na stopie formalnej zaczynały zwracać się do siebie per „ty”. Było to całkowicie naturalne i komisarz poufale uśmiechnął się do technika.

– Dalej nic? – zagadnął, zerkając w stronę garażu.

– Nic. Bez zmian.

Brama była lekko uchylona, a kotara odciągnięta. W odległości kilkunastu metrów od budynków rozciągnięto jednak taśmy policyjne, by nikt wścibski nie zajrzał do środka. Na straży stało kilku mundurowych, którzy jednak bardziej przykuwali uwagę, niż pomagali w śledztwie. Deryło był przekonany, że gdyby nie pojawiły się tu radiowozy, nikt nie zwróciłby uwagi na to, że ktokolwiek kręci się po okolicy.

– A sprawa, którą poruszyłem... Ten beton?

Wilczur zagasił papierosa w aluminiową folię, którą wsunął za rękawiczkę. Następnie odwrócił się i cicho gwizdnął. Niemal natychmiast brama garażowa uniosła się, odsłaniając całe pomieszczenie. W środku pracowało dwóch techników ubranych od stóp do głów w stroje ochronne. Tu i ówdzie stały tabliczki z numerami dowodów, a pracę ułatwiały dwa wielkie reflektory.

Deryło wzdrygnął się, mimowolnie spoglądając na miejsce, w którym poprzedniego dnia niemal wpadł na wisielca. Momentalnie przed oczami stanął mu obraz jego obrzękłej, sinej twarzy. Przystąpił z nogi na nogę i zamrugał. Podobne sceny często wracały, stanowiąc zmorę wszelkich śledczych. Należało jednak wyczuć momenty, które mogą zapaść szczególnie w pamięć, i starać się je bagatelizować. Dlatego komisarz założył ręce za plecy i odwrócił się do technika.

– No, panie filozof, nie gwizdź, tylko zdawaj raport.

– Ta posadzka jest jednolita, poza tamtym miejscem. – Wilczur, jakby domyślając się powodu zmiany tonu komisarza, natychmiast wskazał na kąt garażu. – Sprawdzaliśmy to elektroniką i rzeczywiście mamy różnice gęstości oraz użytego materiału.

– Tamarze wystarczył do tego palec. Nawet nie zwróciłem uwagi, co robi.

Technik nie przejął się wtrętem komisarza.

– To może coś znaczyć, ale równie dobrze budowlańcy mogli użyć innego betonu po tym, jak skończył się im pierwszy. Albo jak go ukradli. W czasach, gdy powstawały te garaże, wszystko było możliwe.

– To wygląda na dość świeże.

– Owszem. Jednak może to być spowodowane panującą w środku wilgotnością. Porowate powierzchnie chłoną wodę z powietrza jak gąbka. Wystarczy nieco inna faktura i wydaje się, że mamy do czynienia z zupełnie świeżą zaprawą.

Deryło położył potężną dłoń na ramieniu Wilczura. Spojrzał mu prosto w oczy i ponuro skinął głową.

– Ja też wolałbym, aby tam nic nie znaleziono – mruknął. – Naprawdę cholernie mi na tym zależy i to nie tylko ze względu na natłok pracy. Ale muszę sprawdzić każdy trop.

Technik westchnął. Przez jego twarz przemknął grymas zmęczenia.

– Wiem. Dokładamy wszelkich starań.

– Dlatego sprowadźcie tu ciężki sprzęt. Niech skuja posadzkę.

– Co takiego? – Wilczur cofnął się i wzdrygnął. – To niemożliwe. Ciężki sprzęt rozpieprzy wszystkie pozostałe dowody.

Deryło spojrzał na niego spode łba.

– Nie zebraliście ich? Nie zostały zabezpieczone przez tyle godzin?

– Zostały, ale...

– Dlatego sprowadź tu ciężki sprzęt. Nie wiem, na co się nastawiać, ale nie mam wątpliwości, że w tej sprawie liczy się każda sekunda. I nie muszę chyba dodawać, że może chodzić o czyjeś życie. – Komisarz wciąż miał przed oczami dziwny licznik z nagrania. – No, jazda. Zrób, co mówię, i zrzuc na mnie całą odpowiedzialność.

Wilczur zacisnął wargi i przez moment coś kalkulował. Nagle energicznie zawrócił, po czym rozpiął kombinezon ochronny. Z kieszeni jeansów wyciągnął komórkę.

– Niech ci będzie. Wzywamy na pomoc kawalerię.

Laboratorium kryminalistyczne nie dysponowało własną komórką budowlaną. Pilne zlecenie otrzymała jedna z lokalnych firm, której pracownicy przyjechali półciąarówką niewiele młodszą od citroëna Deryły. Blisko kwadrans zajęło wypakowywanie sprzętu, kolejny kwadrans zszedł na zapewnieniach, że za wykonane roboty obaj przybyli otrzymają zapłatę, wreszcie przystąpiono do dzieła. Z garażu uprzątnięto już większość sprzętu kryminalistyków, wszystko obfotografowano i zewsząd pobrano maksymalnie wiele śladów, których jednak było jak na

lekarstwo.

– Tylko ostrożnie, panowie – po raz setny powtórzył Wilczur. – To delikatna sprawa.

– Szukamy złotego pociągu? – zakpił lysawy robotnik o wyglądzie portowego zakapiora. –

Czy skarbu wikingów?

Jego jedyny pracownik zaśmiał się rwanym falsetem. Widząc, że dowcip nie rozbawił ani Deryły, ani Wilczura, robotnicy przystąpili do oględzin posadzki. Wzdychali, wymieniali między sobą oględne komentarze, wreszcie zakapior zwrócił się do kryminalistyka:

– Trzeba skuwać młotem siódmką, niepotrzebnie ściągaliśmy cały sprzęt.

– Młotem siódmką? Nic mi to nie mówi.

– To jak z wiertarką, mamy różne końcówki. Większa moc oraz wiertło mogłyby spowodować przesadne wstrząsy. Nie chcemy, żeby cała konstrukcja zleciała nam na głowę.

– To wy się na tym znacie. – Wilczur najwyraźniej miał co do tego wątpliwości, ale starał się tego nie pokazywać. – Coś jeszcze?

Zakapior oraz jego pracownik wymienili porozumiewawcze spojrzenia, wreszcie szef dwuosobowej ekipy ponownie zerknął na Wilczura.

– To bardziej skomplikowana robota, niż sądziliśmy.

– Aha.

– Będzie wymagała sporo więcej pracy.

– Ile?

– A bo ja wiem...

– Ile wzrosła wasza stawka? To mnie interesuje.

Zakapior rzucił jakąś kwotę, Wilczur jedynie machnął ręką, dając do zrozumienia, że ją akceptuje, ale wtedy robotnik poprosił o zaliczkę. Tego było zbyt wiele. Deryło momentalnie dopadł do niego, chwycił go za łokieć, a drugą ręką wyciągnął z kieszeni legitymację. Niemal przytknął ją do nosa budowlańca.

– Wiesz, co to jest? – wycodził. – To działa jak nakaz. Aresztowania, przeszukania, czegokolwiek. Możesz mnie potraktować jak komando SS w Oświęcimiu, ale mam to w dupie. Ja wydaję rozkazy, a ty zapieprzasz. Jeśli będziesz się stawiał, mogę zarekwirować wam auto.

Zakapior chciał coś powiedzieć, lecz Deryło jeszcze wzmocnił uścisk. Nadal trzymał legitymację tuż przed jego oczami.

– Jeśli będziesz chciał się poskarżyć, proszę bardzo. Ale dopóki nie skujecie tego betonu, sam zacznę go skuwać waszymi gębami. A potem wyślę na waszą rachunkowość księgowych z wydziału gospodarczego. Lewe faktury? – Komisarz uśmiechnął się szeroko. – Nawet jeśli ich nie ma, dorobimy je i będziecie udupieni. Rozumiecie?

Zakapior z godnością wywinął się z poluzowanego uścisku komisarza i parsknął.

– Po co się zaraz oburzać? Chciałem tylko wiedzieć, na czym stoimy.

– Do roboty... – wycodził Deryło.

Chcąc nie chcąc, chwilę później robotnicy zabrali się do pracy. W ruch poszły młoty pneumatyczne, a garaż momentalnie wypełnił się pyłem. Wilczur wyszedł na zewnątrz, lecz komisarz, mimo przeraźliwego hałasu, został w środku. Z najbliższej odległości nadzorował prace, co rusz dając znaki, by skuwano w innym miejscu lub robiono to ostrożniej. Nagle jedno wiertło zapadło się i dostało do pustego otworu. Pracownik zakapiora natychmiast wylączył młot.

Deryło momentalnie znalazł się przy wyrwie i zaczął machać rękoma, chcąc rozegnać pył. Kucnął, obrócił się tak, by światło pozostawionych przez kryminalistyków reflektorów padało do środka, i w tym samym momencie głośno zaklął.

34

– Dzień dobry, mój drogi.

Wiktor Strug zamrugał. Dopiero po chwili obraz się wyostrzył i zobaczył przed sobą postać w masce. A może to wcale nie była maska, ale upiornie zdeformowana twarz? Nie. To musiała być maska.

Mężczyzna chciał krzyknąć, lecz z jego ust dobył się jedynie charkot. Język całkowicie odmówił mu posłuszeństwa.

– Zostałeś potraktowany środkiem zwiotczającym – wyjaśniła postać. – Nie martw się, to nie twoja wina. Twój mózg oraz język działają prawidłowo.

Mężczyzna chciał się poruszyć, ale to również okazało się niemożliwe. Właściwie bardzo ograniczone ruchy mógł wykonywać jedynie głową.

– Wśc mee.

Dźwięk, który wydobył z ust, z pewnością nie przypominał tego, co zamierzał powiedzieć. Mimo to porywacz doskonale go zrozumiał.

– Chcesz, żebym cię wypuścił? Ale to niemożliwe. Niestety.

– Sssę.

– Nie proś. To nic nie da.

– Gggm.

– Hmm?

– Gmm.

– Aa! Błagasz! Naprawdę szkoda twojego zachodu.

Postać na chwilę zniknęła, lecz gdzieś obok słychać było jej kroki. Po chwili pojawiła się ponownie i pomachała czymś przed oczami Struga.

– Wiesz, co to jest? No tak, pewnie nigdy tego nie widziałeś, więc skąd miałbyś wiedzieć, co to. Zaraz się przekonasz. – Postać opuściła jedną dłoń i uniosła drugą, w której trzymała przedmiot przypominający aparat stomatologiczny. – To niezbędne, żebyś mnie nie ugryzł. No i nie przegryzł rury, którą zaraz wepchnę ci do gardła.

– Eee...

– Nie protestuj. Teraz może wydaje ci się, że nie dasz rady mnie ugryźć, ale nie wiemy, jak zareaguje twój organizm po pobudzeniu.

Wiktor w panice przewrócił oczami. Postać chwyciła go za głowę i obróciła. Wepchnęła mu coś do ust, lecz niemal tego nie poczuł. Dopiero podrażnione gardło zakłuło tak, jak po ataku mocnego kaszlu.

– Gdybyś nie wiedział, co się z tobą dzieje, właśnie wsuwam ci do żołądka rurę. To rutynowy zabieg, choć zazwyczaj wykonuje się go w bardziej sterylnych warunkach. – Postać przerwała operację i przytknęła palec do ust. – Nie próbuj nic mówić, teraz to bardzo niebezpieczne. Nie chcesz się przecież zadławić.

Z oczu Wiktora popłynęły łzy. Mężczyzna starał się kręcić głową, lecz oprawca unieruchomił ją za pomocą jakichś zacisków.

– Wiesz, co się teraz stanie? – syknął szalencie. – O tak. Nakarmię cię. Czeka na ciebie naprawdę wyborne papu.

Jeszcze mocniej poruszył rurą wetkniętą w przelyk leżącego i cicho się zaśmiał.

35

Pył wreszcie opadł na tyle, że widać było coś dalej niż na wyciągnięcie ręki. Deryło wstał i przestawił reflektory kryminalistyków tak, by oświetlały wnętrze komory, którą odsłonili robotnicy.

– Natychmiast wyjść – nakazał. – No, raz, dwa, trzy. Dopiero co tak się śpieszyliście.

– Ale nasze narzędzia... – Zakapior wskazał na leżącą na ziemi skrzynkę oraz dwa młoty.

– Spokojnie, mogą zostać. Nikt ich nie ukradnie.

– Potrzebne są nam do pracy.

– Na razie musicie poczekać na zewnątrz. Może mi się jeszcze przydadcie.

– Nie możemy stracić całego dnia, poza tym...

Widząc, że Deryło gniewnie zaciska pięści, mężczyzna zamilkł. Dał znać pracownikowi, żeby poszedł za nim, i obaj opuścili garaż. Chwilę później do środka wszedł Wilczur. Wymienili z komisarzem ponure spojrzenia, po czym podszedł do odsłoniętej wnęki.

– Co tam mamy? Widzę udane wykopaliska archeologiczne...

Machnął dłonią, starając się rozwiać wszechobecny kurz. Odkaszał, po czym kucnął obok Deryły.

– Kurwa – zaklął, przysłaniając dłonią nos oraz usta. – Miałeś rację.

Obaj mężczyźni spoglądali na zwłoki pokryte kawałkami betonu oraz warstwą piasku. Wyraźnie widać było kawałek szarej twarzy oraz jedno ramię.

– To naprawdę robota dla archeologów. – Wilczur z niedowierzaniem pokręcił głową. – Swoją drogą, skąd wiedziałeś, że tu coś będzie? Spodziewałeś się trupa?

Deryło nie odpowiedział. Z kieszeni kryminalistyka wyciągnął rękawiczki oraz maseczkę. Bez słowa je założył, po czym ponownie nachylił się nad odsłoniętą komorą.

– Nie ma czasu na ściąganie archeologów – bąknął wreszcie. – Poza tym zwłoki są całkiem świeże, miłośnicy zagadek historycznych mocno by się rozczarowali.

– Chyba nie chcesz teraz...

– Nie chcę, ale to zrobię. Wyciągajcie aparaty i twoi chłopcy niech popstrykają zdjęcia.

– Ale...

– Wilczur, kurwa, ja naprawdę nie mam czasu. Trafiliśmy na popieprzonego czuba, który w każdej chwili może rozchwiać się jeszcze bardziej.

– Da się?

– Zbyt wiele razy powiedziałbym, że się nie da, a potem bym się zdziwił. A ja cholernie nie lubię się dziwić.

Wilczur, nie przedłużając wymiany zdań, przywołał techników, którzy pośpiesznie obfotografowali odkrytą komorę oraz zwłoki. Kiedy tylko skończyli, Deryło poprosił o pędzel techniczny, a następnie zsunął się do odsłoniętej wnęki. Miała około półtora metra głębokości oraz wymiary nieco większe od leżącego człowieka. Komisarz musiał działać wyjątkowo ostrożnie, by przy jakimkolwiek ruchu nie przesunąć zwłok.

Nie zważając na czujne spojrzenia stojących powyżej techników, zabrał się do pracy. Właściwie nie musiał tego robić, ale silne przeczucie kazało mu znaleźć potwierdzenie przypuszczeń. Niestety nie wiedział, czy te mogą mu w czymkolwiek pomóc.

Po kilku minutach udało mu się usunąć część gruzu z prawej strony zwłok. Zebrał go do podanego przez Wilczura wiaderka i ponownie nachylił się nad ciałem. Kilka ruchów pędzlem wystarczyło, by wszelkie domysły okazały się trafne.

– On nie ma ręki – wymamrotał jeden z nachylonych nad wykopem techników.

– Raczej obu dłoni – sprycyzował komisarz. – To tylko owiązane szmatą kikuty. Poza tym obstawiam, że nie ma również oczu. A przynajmniej jednego oka.

Deryło się wyprostował i zerknął na zwłoki. Biorąc pod uwagę ich ułożenie, do tego położenie rąk oraz kolan, nasuwał się kolejny wniosek. Wraz z nim komisarz doszedł do przekonania, że pozbawienie dłoni oraz oczu nie było najgorszym, co spotkało tego człowieka.

36

Wilczur podał dłoń i pomógł Deryle wyjść z odsłoniętej komory. Komisarz w podziękowaniu skinął mu głową, po czym z kamienną twarzą zdjął rękawiczki oraz maseczkę. Przez chwilę stał nieruchomo, starając się przetrwać ostatnie odkrycie. Wreszcie odwrócił się, przytknął dłonie do ust i zaraz schował je do kieszeni.

– Ja pieprzę – wycedził cicho.

– Co się stało? – Wilczur spojrział na niego z ukosa. – Coś znalazłeś?

Deryło ciężko sapnął i obrócił między palcami srebrny sesterce. Oczywiście nie wierzył w przesady ani nie dostrzegł jakiegokolwiek szczęśliwego wpływu dotknięcia amuletu, ale robił to z przyzwyczajenia.

– Ten człowiek został pogrzebany żywcem – odezwał się ponownie, zerkając w dół. – Rozumiesz? Najpierw obcięto mu dłonie, potem wylupiono oczy, a na końcu, kiedy jeszcze dychał, wrzucono do dołu i zalano betonem. Co za sukinyś mógł to zrobić? Widziałem całkiem wiele, ale

to po prostu nie mieści się w pale.

Wilczur zerkał to na komisarza, to na częściowo przez niego odsłonięte zwłoki. Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów, ale nie wyciągnął żadnego. Przeształ z nogi na nogę i przeciągle gwizdnął.

– Jesteś tego pewien? Moim zdaniem pozycja jest całkiem naturalna. Podobna do standardowych, w jakich od setek lat układa się zwłoki.

– Ręce są rozłożone lekko na boki. Szmata owijająca kikuty niemal zupełnie została zatopiona w betonie, bo ten człowiek starał się osłonić twarz. Jednak powietrze, które było w niszy, sprawiło, że nie został całkowicie zalany. On się ruszał, dlatego powstała wnęka. Gdyby był trupem, musielibyśmy go wykuwać jak posąg z betonu.

– Faktycznie zastanawiałem się, skąd ta nisza. Nie ma przecież żadnego stelaża.

– Stelażem było wydychane przez niego powietrze oraz jego własne, wstrząsane agonią ciało. – Deryło przygryzł wargę i po raz kolejny z niedowierzaniem pokręcił głową. – Naprawdę, nie mieści mi się to w pale. Ten człowiek doznał najgorszego możliwego koszmaru.

– Amputacje, wylupienie oczu, pogrzebanie żywcem. – Wilczur nerwowo parsknął. – Faktycznie niezłe kombo. Co teraz?

– Po pierwsze, trzeba wywlec to ciało i jak najszybciej je przebadać. Bóg jeden wie, co może być w środku.

– W ciele?

Komisarz uświadomił sobie, że Wilczur nic nie wie o pendrivie znalezionym w brzuchu wisielca. Nie zamierzał mu jednak teraz tego tłumaczyć.

– Po prostu trzeba go błyskawicznie dostarczyć patologowi. – Pstryknął palcami i odwrócił się w stronę wyjścia. – Po drugie, zbadajcie ten gruz. Nie przypuszczam, by w trakcie zalewania szalencie wrzucił cokolwiek do środka, ale można spodziewać się wszystkiego.

– Jasne. A ty? Dokąd idziesz?

Deryło, nie odpowiadając, wyszedł z garażu i głęboko zaczerpnął powietrza. Skierował się w stronę samochodu. Po drodze wybrał numer centrum kryminalistycznego i gdy go wreszcie połączono ze znajomą laborantką, w kilku słowach wyartykułował jej swoją prośbę. Następnie, starając się błyskawicznie porządkować fakty, wsiadł do auta. Nim uruchomił silnik, wybrał drugi numer. Musiał działać i czuł, że liczy się każda sekunda. A niestety jego przeczucia zazwyczaj okazywały się aż nazbyt trafne.

37

– Pani doktor prowadzi teraz teleporadę. Nie może pana wpuścić.

– W takim razie niech się rozłączy. Niech powie, że uszkodził się jej internet albo straciła zasięg. Wszystko jedno.

– Proszę pana... – Piotr Mund odezwał się ostrym, kategorycznym tonem. – Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że pani doktor rozmawia z ludźmi chorymi? Z osobami, które potrzebują regularnej pomocy?

Deryło oparł się o biurko w recepcji gabinetu tak mocno, że aż zatrzeszczało. Spojrzał prosto w oczy Munda.

– Skoro potrzebują pomocy, to znaczy, że żyją. A to istotna różnica, patrząc z perspektywy osób, w imieniu których ja tu przychodzę.

– Co takiego? Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale...

– Mam pana w dupie. A osób, które mam w dupie, nawet nie usiłuję zrozumieć.

Komisarz, wściekle mrużąc oczy, obszedł biurko i skierował się prosto do gabinetu terapeutki. Bez ostrzeżenia chwycił klamkę, po czym pchnął drzwi. Lekarka rzeczywiście siedziała przed laptopem i z kimś rozmawiała. Zaskoczona zerknęła na niego z przyganą, ale kontynuowała dialog.

– Najmocniej przepraszam, jeśli będziemy musieli skrócić dziś sesję, z pewnością wybierzemy zastępczy dogodny termin.

– Dlaczego mielibyśmy ją skracać? – z głośników dobyło się pytanie. – Chciałem dziś poruszyć kilka istotnych tematów. Zbliżam się do otwarcia, a pani...

– Panie Szymonie...

Deryło podszedł do biurka lekarki i powoli opuścił klapę laptopa, wreszcie całkowicie ją zamknął. Lekarka spojrzała na niego z irytacją.

– Tak nie można, inspektorze.

– Jedyne komisarzy.

– Komisarzy. To niedopuszczalne, czy pan rozumie, że...

– Pani podwładny już starał się przemówić do mojego sumienia. Jak widać, nie udało mu się, dlatego proszę o pilne poświęcenie mi pięciu minut.

– Mógł pan przyjść za pół godziny.

– Mogłem panią ściągnąć do komendy i tam zatrzymać na cały dzień. A jednak okazałem wyrozumiałość. Czy dobrze się rozumiemy?

Anna Witner westchnęła. Wskazała Deryło fotel i gniewnie splotła dłonie na piersi.

– Co się stało? W radiu słyszałam o śledztwie, więc zdaje się, że pan Feliks Lauch nie zmyślił swojej historii. Czy powinnam się czegoś obawiać?

– Nie uważam. Ale lepiej zawsze być ostrożnym i zamykać drzwi na klucz.

Prawdę powiedziawszy, Deryło zastanawiał się nad przydzieleniem terapeutce ochrony, ale uznał to za przedwczesne. Tym bardziej że Lauch bez wątpienia był trupem. Z braku przesłanek wolał nie powodować zbędnej paniki. Ewentualne wysłanie patrolu pod jej gabinet lub miejsce zamieszkania nie powinno stanowić problemu.

– Czy pani pacjent był religijny? – Od razu przeszedł do sedna. – Na razie przedstawiła nam pani ogólnikowe informacje o jego depresji, wrednej partnerce, nędznym dzieciństwie i tak dalej. Teraz potrzebuję konkretów.

Lekarka rozplotła dłonie i oparła na nich brodę. Przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

– Chyba tylko raz rozmawialiśmy na tematy religijne – odezwała się po chwili. – Lauch zdaje się być ateistą. A przynajmniej nie cierpiał Kościoła jako instytucji.

– Po czym pani to stwierdza? – Deryło nie ukrywał rozczarowania. – Jest pani tego pewna?

– Jestem pewna, tak jak można być tego pewnym, mówiąc o kimś, kto nazywał duchownych darmozjadami, a do tego mówił, że należy ich podwójnie opodatkować.

– Co za wielokrotnie złożone zdanie. Czy to normalne tematy w trakcie sesji terapeutycznych?

– Lauch powiedział to, wzburzony nowymi rozwiązaniami podatkowymi. Jak zwykle oberwało się wszystkim poza księżmi. Mniej więcej tak to ujął.

– Ale duchowni a religia to dziś dwie całkowicie różne sprawy.

– Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc. Nigdy więcej nie zająknął się w tym temacie.

– Jest pani pewna? Żadnych aluzji do Boga albo dekalogu? Żadnych historii o wyrzuceniu ze stanu kapłańskiego lub choćby fantazji na temat siostr zakonnych?

– Naprawdę mi przykro, ale nic z tych rzeczy.

Deryło się skrzywił i przestąpił z nogi na nogę. Nie tego się spodziewał. Prawdę powiedziawszy, jadąc do Witner, liczył na konkrety. Maniak religijny. Dewiant. Dewot. Spodziewał się usłyszeć przynajmniej jedno z tych określeń. Tymczasem Witner po raz kolejny zbywała go ogólnikami, bezradnie splatając przy tym dłonie.

Komisarz podrapał się po podbródku, lecz w momencie, gdy zamierzał wyartykułować jakąś myśl, przerwał mu dzwonek telefonu. Pośpiesznie wyjął go z kieszeni i zerknął na ekran. Otrzymał właśnie wiadomość obrazkową, na którą czekał. W samą porę.

– Proszę zerknąć. – Wyciągnął komórkę w stronę terapeutki. – Poznaje ich pani?

– Ten starszy i chudszy to Damian Szewski. Zdjęcia nie są najlepszej jakości, ale nie mam wątpliwości. Chyba że ma brata bliźniaka, ale... Swoją drogą, co to za zdjęcia? Skąd je pan ma?

Deryło zbył pytania lekarki gniewnym fuknięciem. Schował telefon i nie pytając o pozwolenie, sięgnął po jeden z leżących na biurku długopisów. Zanotował nim w notesie imię oraz nazwisko pacjenta Witner. Z laboratorium przesłano mu możliwie wyostrzone fotografie obu mężczyzn uwiecznionych na nagraniu umieszczonym na pendrivie. Identyfikacja przynajmniej jednej z osób mogła pchnąć sprawę we właściwym kierunku.

– Na co się leczyl ten człowiek?

– Wie pan, że nie mam prawa....

– Ma pani. – Komisarz natychmiast wszedł w słowo terapeutce. – Tak samo jak miała je pani, gdy opowiadała Tamarze o Lauchu. W przypadku obu tych mężczyzn zachodzi podejrzenie popełnienia ciężkiego przestępstwa oraz zagrożenia dla ich życia i zdrowia.

Deryło nie wchodził w szczegóły, że to właśnie ich zdrowie i życie mogło być zagrożone. To zbędnie skomplikowałoby sytuację, co do której przepisy prawa i tak nie były jednoznaczne. Choć nie był specjalistą, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Zbyt wiele razy w karierze zderzał się z murem tajemnicy lekarskiej.

– Naprawdę nie chcę kontynuować tej rozmowy w komendzie.

– Ale...

– Obiecuję też, że nie będę chciał prowadzonej przez panią dokumentacji medycznej.

Uznajmy, że to całkowicie prywatna rozmowa, o której nikt się nie dowie.

Witner zwołała hamulec wózka i podjechała ku Deryle. Spojrzała na niego zmęczonymi, smutnymi oczami.

– Dlaczego pokazuje mi pan kolejnego pacjenta?

– Też bym chciał to wiedzieć. Może to kwestia odklejenia? Może trafiło na konkretnych czubów? Dość, że nie kojarzy pani tego grubasa.

– Chyba jednak wolalby pan, abym go kojarzyła. Poza tym proszę nie nazywać moich podopiecznych czubami.

Deryło nic nie odpowiedział. Rozparł się w fotelu i wymownym młasknięciem dał lekarce do zrozumienia, żeby się pośpieszyła. Czub dla niego był czubem, i tyle.

– Pan Szewski cierpi na chorobę alkoholową. – Witner powiedziała to z półprzymkniętymi oczami, jakby brzydyla się tej chwili słabości. – Był dobrze rokującym przedsiębiorcą, prowadził własną działalność w branży najnowocześniejszych technologii. Nie znam szczegółów, a policja z pewnością dysponuje właściwymi rejestrami.

– Owszem. Proszę mówić dalej.

– Wiem niewiele więcej. Mieliśmy za sobą trzy wizyty, ale pan Szewski przerwał terapię. Sądzę, że wrócił do nalogu.

– Nie wygląda na rekina biznesu – zauważył komisarz. – Przynajmniej na tych zdjęciach.

– Z tego, co mi wiadomo, wpadł w długi i stracił firmę. Ogłosił upadłość czy coś, nie znam się na tych sprawach. W każdym razie jakoś wygrzebał się z pierwszego dolka, lecz wtedy dopadł go kolejny kryzys.

– I zaczął pić?

– Tak to najczęściej wygląda. Choć sytuacja zazwyczaj jest znacznie bardziej skomplikowana. Zbyt często oceniamy ludzi po pozorach.

– Ja muszę ich oceniać jedynie po zdjęciach. – Deryło krzywo się uśmiechnął. – Czy wie pani coś o konkretnych kłopotach tego człowieka? Czy ktoś mu groził albo czego dotyczyły jego problemy biznesowe?

– Niestety. Nie rozmawialiśmy o tym.

– Nie sprawiał wrażenia przestraszonego? Na pewno pojawił się u pani, chcąc zwalczyć jedynie alkoholizm?

– Alkoholizmu nie można zwalczyć, ale tak, to był jego główny problem. Nie poruszał innych. Jest kawalerem i zdaje się, to właśnie towarzystwo życzliwych przyjaciół sprowadziło go na złą drogę. Wie pan, o kim mówię.

– Tak. Ale może wspomniał jakieś nazwiska?

– Niestety. – Lekarka ponownie przecząco potrząsnęła głową i całą postawą dała do zrozumienia, że nie zamierza mówić już nic więcej. – Przykro mi, komisarzu, że nie mogę pomóc.

Deryło nie zamierzał tracić czasu. Czym prędzej podniósł się z miejsca, pożegnał się i wypadł z gabinetu. Pół minuty później siedział już za kierownicą citroëna. Pośpiesznie opracowywał dalszy plan działania. Miał pewien pomysł.

39

Po powrocie do komendy Deryło wziął z automatu dwie kawy i zaszył się w gabinecie. W pierwszej kolejności przez niemal trzy godziny szukał wszelkich informacji o Damianie Szewskim. Pomagali mu w tym ludzie z działu informatycznego, funkcjonariusze odpowiedzialni za bazy danych oraz wszelkie rejestry. Z uzyskanych informacji powstał obraz podobny do tego, który komisarzowi przedstawiła doktor Witner.

Szewski prowadził firmę zajmującą się tworzeniem wyspecjalizowanego oprogramowania do samochodów elektrycznych. Działał na zlecenie zagranicznych koncernów oraz w ramach polskiej inicjatywy dążącej do stworzenia krajowego auta o napędzie na prąd. Wszystko wskazywało, że w pewnym momencie znacznie przeinwestował. Wydał ogromne kwoty na najnowocześniejszy sprzęt, jednak nie pojawiły się zlecenia, które miałby na nim realizować. Ciosem w plecy było wycofanie się z rynku państwowego inwestora.

Jak to często bywa, zaledwie dwie niespinające się pozycje finansowe sprawiły, że cały budżet szlag trafił. Wzrost inflacji oraz kryzys na rynku samochodowym ostatecznie pograżyły Szewskiego. Wtedy mężczyzna podjął najgorszą możliwą decyzję. Zaciągnął kredyt po to, by spłacić wcześniejsze kredyty. W ten sposób zanurzył się w klasycznej spirali zadłużenia, z której rzadko komu udawało się uciec.

Jednak Szewski najwyraźniej był kuty na cztery nogi. Choć kryzys zajrzał mu w oczy i prawdopodobnie właśnie wtedy po raz pierwszy chwilowo się stoczył, zdołał się podnieść. Z pomocą przyjaciół pozyskał zewnętrzne finansowanie, istotnego inwestora oraz sponsorów. Upadłości oraz zmiany organizacyjne stanowiły cały ciąg przyczynowo-skutkowy, który komisarzowi wydał się mało istotny. Zagadnienia ekonomiczne nie należały do jego zainteresowań. Sednem było to, że Szewski stworzył całkowicie nową firmę, z nowymi hasłami reklamowymi i doskonałym marketingiem. Zdawało się, że znowu wkroczy na salony, a do tego tym razem zostanie w nich na znacznie dłużej.

W tym momencie biogram mężczyzny po raz pierwszy zaczynała tworzyć kartoteka policyjna. Oskarżenia o malwersacje finansowe oraz o przekupstwo urzędnika państwowego stanowiły istotne ciosy wyprowadzone przez prokuraturę. Szewski nie zdołał się przed nimi uchronić. Choć wyrok był jedynie symboliczny, natychmiast odwrócili się od niego wszyscy sponsorzy. Biznesmen po raz kolejny pozostał z ogromnymi aspiracjami, lecz bez możliwości przekucia ich w czyn. Niezaspokojone ambicje musiały boleć.

W ciągu dwóch feralnych miesięcy Szewski dwukrotnie wdawał się w bójkę w podrzędnych spelunach, czterokrotnie trafiał do izby wytrzeźwień, a raz został złapany na prowadzeniu pod wpływem alkoholu. O mały włos nie potracił przechodzącego przez pasy dziecka. Zapewne ten ostatni wybryk skłonił go do udziału w terapii. Pomiedzy nią a nagraniem, na którym Deryło po raz pierwszy mógł spojrzeć mu w oczy, nie istniał żaden konkretny związek. Choć Szewski obracał się w rozmaitym towarzystwie, w jego papierach nie było słowa o kontaktach ze światkiem przestępczym. Nie było informacji o ewentualnych pogrózkach, prośbach o ochronę ani telefonów na sto dwanaście. Nic.

Deryło przetarł oczy i sięgnął po kubek kawy. Chciał upić łyk, lecz okazało się, że ten jest już pusty. Jedynie westchnął i odchylił się w fotelu. W momencie, gdy ponownie przysunął się do biurka, zadzwonił stojący na nim telefon. Stary przewodowy model, którego Deryło nie pozwalał zamienić na nic nowszego, rozbrzmiał charakterystycznym dzwonkiem aparatów z lat dziewięćdziesiątych. Zapalona czerwona diodka informowała, że telefonował numer wewnętrzny. Komisarz nieśpiesznie sięgnął po słuchawkę.

– Halo? Słucham?
– Tu ViSir. – Informatyk nigdy nie przedstawiał się prawdziwym imieniem. – Chyba na coś trafiłem, panie komisarzu.

40

Po godzinie nanoszenia wizerunku drugiego ze skrępowanych mężczyzn na zdjęcia osób figurujących w rejestrze zaginionych system wreszcie wypluł wynik pozytywny. Okazało się, że grubas nazywa się Wiktor Strug, ma trzydzieści trzy lata i o jego zaginięciu rodzina poinformowała przed dwoma dniami. Mężczyzna wyszedł na wieczorny spacer z psem, z którego nie wrócił. Pies dotarł do domu sam, a w jego oczach widać było bezgraniczne przerażenie (tak twierdziła żona zaginionego).

Informacje o Strugu tworzyły jeszcze prostszy obraz niż w przypadku jego towarzysza niedoli. Po ukończeniu technikum gastronomicznego kształcił się u kilku szefów kuchni, wreszcie zatrudnił się w jednej z lubelskich restauracji. Jego kartoteka była czysta, nie było jakichkolwiek informacji o możliwych wrogach, konfliktach ani choćby sąsiedzkich niesnaskach. Strug był ostoją spokoju oraz człowiekiem sympatycznym. Nigdy nie dostał mandatu, nie zaciągnął żadnych długów ani choćby nie wziął pożyczki. Według ViSira nawet klienci restauracji wystawiali mu same pozytywne oceny. Informatyk zwrócił jedynie uwagę na dość specyficzne wycofanie mężczyzny z mediów społecznościowych, bardzo ograniczone grono znajomych oraz niemal całkowitą niechęć do publikacji zdjęć.

– Coś sugerujesz? – dopytał komisarz.

ViSir cicho cmoknął, po czym w słuchawce zapadła cisza.

– Gdy zadaję pytanie, liczę na odpowiedź słowną, a nie odgłosy jak z rezerwatu dla zwierząt.

– Po prostu przekazuję swoje uwagi, ale nie mam żadnych sugestii.

– W takim razie jedynie zawracasz mi nimi głowę.

Deryło nabral powietrza i opanował nagle, niczym nieusprawiedliwione wzburzenie. Zdawał sobie sprawę, że od pewnego czasu jest piekielnie rozdrażniony, ale poczuł ulgę, że udało mu się zawczasu powstrzymać wybuch złości. Każdy psycholog bądź psychiatra powinien za coś takiego wystawiać medal. Dla społeczeństwa byłyby to odznaczenia znacznie bardziej przydatne niż prezydenckie krzyże zasługi.

– Obejrzałeś to nagranie? – zapytał nieco spokojniejszym tonem.

– Owszem. – ViSir najwyraźniej teraz zamierzał odgrywać urażonego. – Kiedy tylko dostałem z laboratorium wyeksportowany plik, zacząłem nad nim pracować.

– I?

– Nic specjalnego. Nagranie stworzono przy użyciu podobnej kamery jak to, na którym uwieczniono tortury.

– Podobnej czy tej samej?

– Nie mogę tego stwierdzić na sto procent.

Deryło oparł się o zagłówek, po czym przymknął oczy. Przytrzymał słuchawkę między uchem i ramieniem, a w dłoni obrócił srebrny sesterce.

– Zastanawiałeś się nad tym licznikiem? – zapytał po chwili. – Co on może odliczać i jakie metrum stosuje?

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Jednak mam jak najgorsze przypuszczenia.

– Że?

– Odmierza czas, jaki pozostał do czyjejs śmierci.

W tym momencie komisarzowi do głowy przyszła nowa myśl. A jeśli licznik wskazywał upływ czasu, jaki samemu sobie wyznaczył morderca? Jeśli, wieszając się, sprawiał, że ten tracił jakiegokolwiek znaczenie? Niemal natychmiast te skojarzenia wydały mu się naciągane. Poza tym nie wierzył, że mógłby mieć tyle szczęścia. On oraz dwóch uwięzionych przez szaleńca ludzi.

Bardziej prawdopodobne było, że kres ich życia jest coraz bliżej. Nie było sensu się ludzić.

41

Deryło niemal przez godzinę kluczył po uliczkach centrum Lublina. O tej porze korki powoli ustępowały ślamazarnemu ruchowi wieczornemu. Zaczęła się mżawka i uliczne latarnie rozbłysły pomarańczowymi refleksami w lśniącym asfalcie oraz kałużach. Przechodnie pootwierali parasole, zarzucili na głowy kaptury i przyśpieszyli kroku. Przed niektórymi lokalami stały zbite grupki ludzi palących papierosy lub zastanawiających się, czy schronić się w środku. Plac Litewski niemal opustoszał, a przygarbiony Piłsudski ponuro spoglądał na wejście do McDonalda.

Tymczasem komisarz usiłował zebrać myśli. Zastanawiał się nad portretem psychologicznym wszystkich osób, z którymi miała związek sprawa. Starał się stworzyć sieć powiązań podobną do tych, które zazwyczaj tworzyła Haler. Rozważał zależności, punkty wspólne oraz możliwe zażyłości.

„Czasem łatwiej jest namalować portret z czyjegoś opisu niż z natury. Natura bywa złudna i zawsze jest zmienna”. Deryło doskonale pamiętał słowa wypowiedziane przez Tamarę przy okazji jednego z wcześniejszych śledztw. Jego podwładna, o której zawsze po prostu myślał jako o partnerce, w doskonały sposób potrafiła przejrzeć ludzkie dusze. Poza tym miała nadzwyczajną zdolność tworzenia portretów psychologicznych sprawców przestępstw na podstawie ich *modus operandi* oraz wszelkich śladów pozostawionych na miejscu zbrodni. On tego nie potrafił. Mógł mieć sobie wiele do zarzucenia, w tym przede wszystkim to, że nie miał dość cierpliwości, by analizować meandry ludzkiej psychiki. Owszem, był niezły w rozszyfrowywaniu dowodów, w podążaniu konkretnym tropem, a przede wszystkim w bezpośrednim starciu, jednak znał swoje ograniczenia. Nigdy wcześniej nie był przy tym ich tak bardzo świadomy.

W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że znalazł się poza centrum i od osiedla, na którym mieszka Tamara, dzieli go ledwie kilkaset metrów. Nie tracąc czasu na wątpliwości, zjechał w boczną uliczkę. Zawieszenie Citroëna źle znosiło pokonywanie śpiących policjantów, dlatego zwolnił niemal do zera. Auto toczyło się z minimalną prędkością, a Deryło zerknął na leżącą na siedzeniu obok komórkę. Może jednak powinien uprzedzić Haler? A może najlepiej zrobiłby, w ogóle zostawiając ją w spokoju? Zależało mu na jej dobru, z pewnością zależało mu na nim znacznie bardziej niż na powodzeniu jakiegokolwiek śledztwa, ale jednocześnie usprawiedliwiał się, że choćby oboczne dopuszczenie Tamary do sprawy pozwoli jej poczuć się lepiej. Stymulacja mózgu oraz dostarczanie rozmaitych bodźców były bardzo istotne. Rozwiązywanie zagadek logicznych pozwalało zachować sprawność umysłu przy rozmaitych chorobach. Dlaczego inaczej miałoby być przy płasawicy? A czym innym niż zagadką było zgłębianie meandrów pokręconego śledztwa?

Deryło parsknął, nie potrafiąc przekonać siebie samego do tego wyводу. Mimo to był już zbyt blisko, by odpuścić. Do głosu dochodził jego uparty charakter pracoholika oraz idealisty. Zaparkował auto i niemal biegiem pokonał kilkadziesiąt metrów dzielące go od klatki schodowej. Gdy dotknął przycisku domofonu, nabrał powietrza. Miał ostatnią szansę, by się wycofać. Bez przekonania jedynie musnął metalowy guzik. Ku jego zaskoczeniu Haler odebrała niemal natychmiast.

– Wiedziałam, że przyjdiesz... – odezwała się na przywitanie. – Wbiegaj na górę. Chwilę później rozległ się dźwięk brzęczyka odblokowującego zamek w drzwiach.

42

– Jak się masz? Wszystko w porządku?

Haler zbyła jego pytania wzruszeniem ramion. Przeszła do kuchni, wiedząc, że nie musi komisarza zapraszać, by podążył za nią. Chwilę później wskazała, by usiadł na jednym z dwóch czerwonych barowych hokerów. Pomieszczenie było urządzone niesamowicie nowocześnie, a kolor stołków stanowił wyłom w biało-czarno-chromowej stylistyce. W środku panowała idealna czystość. Na blatach nie było choćby okrucha, podłoga dosłownie lśniła, a w metalowych

elementach można było się przejrzeć.

- Kawy, herbaty, soku?
- Wódki, i to najlepiej z wkładką ze spirytusu.

Haler wyciągnęła dwie szklanki i nalala do nich soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy. Usiadła przy komisarzu, po czym ponuro na niego zerknęła.

- Aż tak źle?
- Źle? Jest znacznie gorzej niż źle. Ale...

Deryło utkwił wzrok w drżącej dłoni Tamary. Ta natychmiast to spostrzegła i schowała ją do kieszeni spodni. Była blada, miała podkrążone oczy oraz zapadnięte policzki. Sprawiała również wrażenie, jakby w ciągu ostatnich dni sporo schudła, co było fizycznie niewykonalne.

- Najpierw powiedz mi, jak się czujesz. Mogę ci jakoś pomóc?
- Jeśli pytasz mnie, czy możesz mi pomóc, muszę wyglądać jak gówno.
- Nie, wcale nie!

Tamara wyciągnęła dłoń i dotknęła nią ręki Deryły. Uśmiechnęła się.

- Spokojnie. Właśnie tak też się czuję. Jak gówno.
- Jeśli tylko...
- Nie. Nie możesz mi w niczym pomóc, więc proszę, nawet tego nie proponuj. Lepiej opowiedz mi o sprawie i jak najszybciej stąd spływaj.

– Liczyłem, że będziesz miłsza. Chciałem wypić drinka, pogadać, może obejrzeć coś w telewizji.

- Przecież ty nie oglądasz telewizji.
- Sam nie, ale tu mógłbym zacząć. Masz naprawdę przyjemne mieszkanie i tamta kanapa...
- Nie potrzebuję całodobowej ani nawet doraźnej pielęgniarki. A już na pewno nie pielęgniarsza, który ma delikatność słonia w składzie porcelany. Opowiadaj!

Deryło się skrzywił, lecz uznał, że nie ma sensu dłuższe maglowanie tematu. W kilku zdaniach podsumował wydarzenia ostatnich godzin i się zasępił. Duszkiem wypił podsunięty przez Tamarę sok.

– Przychodzi ci coś do głowy? Tak jak rozszyfrowałaś to *sotto piede*, może masz jakieś kolejne pomysły?

Haler przymknęła oczy i przez chwilę wyglądała, jakby zasnęła na siedząco. Komisarz znalazł ten jej stan. Świadczył o bezgranicznej koncentracji, w której nie można było przeszkadzać. Nagle kobieta przygryzła usta i uważnie na niego spojrzała.

– Prześlij mi akta tych mężczyzn z nagrania – odezwała się, założywszy za uszy kosmyki włosów. – I samo nagranie. Skoro mamy kilka ofiar, musimy znaleźć coś dla nich wspólnego.

– Przynajmniej ci z nagrania wydają się całkowicie różni. Jak Flip i Flap, jak Gruby i Chudy.

- Może właśnie w tym tkwi sedno?

Deryło również się zamyślił. Do głowy przyszło mu pewne skojarzenie, lecz na razie było zbyt mętne, by mógł je wyrazić. Przez chwilę starał się je właściwie uchwycić, jednak czuł, że jest na to za wcześnie. Czegoś w tej układance wciąż brakowało.

– No dobrze, a teraz porozmawiajmy o czymś luźniejszym – zaproponował, wznosząc szklankę z sokiem jak do toastu. – Może po tej sprawie wezmę urlop i wyjedziesz ze mną, jak z tatuśkiem, na ryby.

– Wyszłabyś na rybach? – Haler niemal zadławiła się sokiem. – Już ja sobie ciebie wyobrażam w przeciwdeszczowej kapocie, siedzącego na płóciennym krzeselku i z wędką w ręku. Po kwadransie wściekłyś się tak bardzo, że albo byś się utopił, albo zaczął łowić przy użyciu łasek dynamitu.

– Pochopnie mnie oceniasz. Nie podoba mi się, jak bardzo nieprawdziwe masz o mnie zdanie.

- Całkowicie zgodne z rzeczywistością.
- Nieprawda!

Deryło zmiął leżącą na blacie ulotkę i rzucił nią w Haler. Ta się uchyliła, po czym cisnęła w niego opakowaniem zapalek. Zapalki plasnęły o czoło komisarza i rozsypały się po całej kuchni. Wtedy Deryło chwycił stertę ulotek.

Przez kolejnych kilka minut, bawiąc się jak dzieci, zapomnieli o wszelkim okrucieństwie świata. Ich beztroskę przerwał dzwonek telefonu komisarza. Kiedy tylko odebrał, usłyszał podekscytowany ton ViSira.

– Komisarzu, znowu dzwonię z konkretnymi wieściami...

43

Przygarbiona postać rozłożyła parasol. Mżawka zamieniła się w deszcz, który bębnił o płócienny materiał. W zasięgu wzroku nie było nikogo poza chłopczykiem ubranym w czerwoną kurtkę i kalosze. Malec trzymał na smyczy małego, kudłatego psa. Poza tym okolica zdawała się pogrążyć w nocnej ciszy.

Postać odwróciła się w stronę wieżowca z lat siedemdziesiątych. Kilkanaście klatek pięcioletniego bloku. Mogło w nim mieszkać nawet tysiąc osób. Tymczasem w jedynie kilkunastu oknach paliło się światło. Ilu ludzi umarło w swoich mieszkaniach w tym wielkim budynku? Ilu przyszło na świat? Czasy się zmieniały i obecnie więcej osób rodziło się i umierało w szpitalach niż we własnych łóżkach, w których spędzało większą część życia. A może wcale nie?

Postać nabrała głęboko powietrza. Unosił się w nim aromat mokrej ziemi oraz gnijącej, niedawno skoszonej trawy. W trakcie deszczu świat zdawał się dziewiczo czysty. Nagle zniknął zapach spalin oraz towarzyszący ludzkości swąd stanowiący miksturę perfum, wyziewów kuchennych oraz kanalizacyjnych.

Postać się uśmiechnęła. Opuściła parasol i spojrzała wprost w ciemne, zasnutte szarymi miazgami chmur niebo. Pozwalała, by krople deszczu spływały jej po włosach oraz po twarzy. Cieszyła się nimi. Dotknęła mokrego policzka, po czym przeczesala palcami wilgotne włosy. To wszystko świadczyło, że wciąż żyje. Nie mogło być na to wspanialszego dowodu.

Gdzieś zza pleców widma dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Postać natychmiast podniosła parasol i powoli się odwróciła. Spuściła głowę, choć i tak jej twarz pozostawała całkowicie niewidoczna.

Z klatki trzypiętrowego bloku dziarskim krokiem wyszedł komisarz Deryło. Potrząsnął trzymanymi w dłoni kluczykami, po czym skierował się w stronę parkingu. Jego zwalista sylwetka w świetle latarni rzucała na mokry chodnik długi cień.

W jednym z okien bloku podniesiono roletę. Pojawiła się w nim zatroskana, zmęczona twarz Tamary Haler. Kobieta z ponurą miną obserwowała, jak komisarz pośpiesznie się oddala. Gdyby Deryło się odwrócił, zapewne również by ją dostrzegł, ale nie zrobił tego. Pochłonięty myślami szybko kierował się do samochodu. Jednak schowana pod parasolem postać dokładnie widziała Tamarę. Nawet się do niej uśmiechnęła, choć Haler nie mogła tego zobaczyć.

44

Deryło oznajmił ViSirowi, że niebawem do niego oddzwoni. Pożegnał się z Haler i obiecał jej przekazać wszelkie nowości w swoim czasie. W pierwszym odruchu, zapominając w ogóle o powodzie swojej wizyty, uznał, że nie będzie jej obciążał kolejnymi rewelacjami. Niemal wybiegł z jej mieszkania i skierował się prosto do samochodu. Kątem oka zarejestrował postać stojącą pod parasolem, lecz nie zwrócił na nią głębszej uwagi.

Wreszcie, gdy znalazł się w aucie, ponownie wybrał numer ViSira. Jeszcze niedawno nawet by nie przypuszczał, że ten o tej porze jest jeszcze w pracy, więc jego odkrycie musiało być naprawdę istotne. Będąc na jego tropie, musiał spędzić zapewne ostatnie kilka godzin przed ekranem komputera.

– Mów – odezwał się, uruchamiając silnik. – Co to za niezwykle wieści chcesz mi przekazać? ViSir odchrząknął. Przelknął coś i cicho beknął.

– Przepraszam, komisarzu, cały dzień nic nie jadłem i dopiero teraz zabrałem się za solidną

porcję hamburgerów.

– Mów – powtórzył Deryło.

– Tak, już, już. Tylko przelknę... Przez ostatnie godziny pracowałem nad wyostrzeniem nagrania. Dzięki Bogu trafiło na pendrive w niezmiennym formacie i można było sporo przy nim podlubać. Gdyby przesyłano je przez inny nośnik albo zgrano na przykład z maila, jakość byłaby nie do naprawienia. Jednak w tym przypadku...

– Zrozumiałem. Jakość była na tyle dobra, że jeszcze mogliście ją poprawić.

– Zgadza się.

– I?

ViSir po raz kolejny mlasnął, co niemal wprawiło komisarza w furję. Jednak całą siłą woli powstrzymał się przed zruganiem informatyka. Gdyby to zrobił, jedynie straciliby kolejne sekundy.

– W rogu pomieszczenia zauważyłem jakiś cień. Od początku zwrócił moją uwagę, ale najpierw uznałem, że to nic istotnego. – ViSir tym razem głośno przelknął. – Jednak coś nie pozwalało mi przejść nad tym obojętnie. W końcu wydzieliłem część nagrania i skupiłem się na obróbce tylko tego fragmentu. To pozwoliło mi zaoszczędzić sporo czasu.

– Świetnie. Naprawdę jestem dumny.

– Proszę nie drwić, komisarzu. Już przechodzę do rzeczy.

– W takim razie zrób to, na litość boską.

ViSir wypuścił w głośnik powietrze.

– Tam są liczniki – stwierdził po chwili. – Rozumie pan, liczniki.

– Liczniki? Takie gazowe lub elektryczne?

– Elektryczne, ale to nie są zwykle liczniki. To właściwie licznikowa rozdzielnia, złożona z kilku oddzielnych systemów.

Deryło zabębnił palcami w kierownicę i zagryzł zęby.

– Mówisz do mnie po chińsku – wycedził. – Możesz wyrazić się choć krztynę jaśniej?

– Jakość nagrania nie pozwala na cuda, ale zrobiłem, co w mojej mocy. Liczniki umieszcza się w okrągłych zegarach i w określonej systematyce. Jednak tu tych zegarów było znacznie więcej, a do tego znajdowały się na rozmaitych wysokościach i jakby w kilku pionach. Do tego niektóre były kwadratowe.

– Dalej mi to nic nie mówi.

ViSir tryumfalnie zagwizdał, lecz zaraz się pomiarkował i ciągnął coraz bardziej podekscytowanym tonem.

– Zaprząłem do pracy znajomego i przez ostatnie trzy godziny analizowaliśmy każdy szczegół tej instalacji. W końcu nas olśniło. A właściwie nie olśniło, tylko pomocne okazały się internetowe bazy danych z grafiką, w których odszukaliśmy coś bardzo podobnego.

– Co takiego?

– Instalacje elektryczne w obiektach wojskowych z lat osiemdziesiątych. Zegary oraz całe rozdzielnie miały służyć monitorowaniu sytuacji w rozmaitych fragmentach takich bunkrów lub schronów. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że każdy z nich miał własne generatory bądź agregaty, bo to nie to samo... Stąd liczniki okrągłe i kwadratowe.

– Nie zagłębiaj się w techniczne szczegóły. – Deryło wcisnął gaz do dechy, co spowodowało, że silnik citroëna wzbil się na niemal piskliwe tony, lecz prędkość niezmiennie wzrastała w żółwym tempie. Już dawno obiecywał sobie, że w trakcie śledztw będzie się poruszał czymś szybszym, ale wciąż nie potrafił tej obietnicy dotrzymać. – Mamy jakikolwiek sposób na wytypowanie, gdzie dokładnie takie liczniki mogą się znajdować?

Tym razem ViSir odpowiedział niemal natychmiast.

– Wszystko czeka na pana w komendzie, komisarzu. Od kwadransa staramy się zebrać wszelkie dane i zdaje się, że właśnie dostałem mail z pełnym wyciągiem obiektów. Tak, to właśnie on. Przyjedzie pan na gotowe.

Deryło nie zdradził najmniejszego zadowolenia. Wyciskając siódme poty z silnika starego

auta, pędził ku komendzie.

– No dalej, dorwijmy tego sukinsyna – wycedził, raz po raz dociskając pedał gazu. Zachowywał się przy tym jak dawny rycerz bodący swojego konia ostrogą. Wpadł w furję.

45

Gdy Deryło wpadł do komendy, natychmiast zjawiała się przy nim posterunkowa Nowak. Szybkim żołnierskim krokiem przeszła do drzwi i wyprężyła się, stając w progu.

– Takie fanfary proszę na pogrzebie, teraz sobie darujcie. – Komisarz spojrział na nią spode łba. – Czy wszyscy wpadli w jakiś amok? Zdaje się, że powinnaś być w domu.

Posterunkowa Nowak jedynie minimalnie złuzowała pozycję, wypuściła powietrze i przestąpiła z nogi na nogę.

– Aspirant Brzeski prosił do pomieszczenia konferencyjnego.

– To on też pracuje?

– Chyba wszyscy uznali, że pan komisarz się zbyt przepracowuje. I że zapomniał o tym, że ma do pomocy właściwych ludzi.

W pierwszym odruchu Deryło chciał zrugać Nowak za sugerowanie, że mógł czegokolwiek zapomnieć, i za jakąkolwiek próbę ingerowania w jego metody prowadzenia śledztwa. Momentalnie jednak uznał, że po pierwsze, posterunkowa jest jedynie niewinnym posłańcem, a po drugie, nikt nie zamierzał kwestionować jego decyzji. Chodziło o coś całkowicie innego. Przed laty zapewne właśnie miotałby ognie piekielne, lecz teraz po prostu bez słowa ruszył ku sali konferencyjnej. Nie wiedział tylko, czy powinien być zadowolony z własnego opanowania. Mogło ono oznaczać, że w salomonowym wieku albo dojrzał, albo się znacznie zestarzał, a choć oba pojęcia ze sobą graniczyły, być może nawet miały zbiór wspólny, starość stanowiła dla niego zbiór, do którego przynależności nie byłby w stanie zaakceptować. Ta teoria wymagała istotnego rozwinięcia. Tymczasem ostro fuknął, po czym pchnął drzwi.

Spore, przestronne pomieszczenie rozjaśniało przyjemne światło kilkudziesięciu reflektorów. Idealna akustyka, miękka wyściółka na podłodze oraz dźwiękoszczelny materiał pokrywający okna natychmiast napawały spokojem. Klimatyzacja oraz zapach czystości dopełniały dzieła. Deryło natychmiast się rozluźnił. To tu odbył wiele konferencji i pojedynków z dziennikarzami, lecz teraz w pomieszczeniu wrzała atmosfera produktywnej pracy.

Pośrodku połączono kilka stołów i rozłożono na nich trzy ogromne mapy. Przedstawiały Lublin, powiat lubelski oraz całe województwo. Zakreślono na nich rozmaite kółka, powbijano pinezki oraz ponanoszono symbole. Nad mapami pochylali się aspirant Brzeski, ViSir oraz sierżant Walemba. Cała trójka na widok komisarza się wyprostowała i skierowała ku niemu wyczekujące spojrzenia. Najwyraźniej nie wiedzieli, czego mogą spodziewać się po przelożonym.

– Powiniennem was rozstrzelać za samowolkę – wymamrotał Deryło – ale w zasadzie dziękuję za zaangażowanie i gotowość do pracy. Zapamiętam to i wspomnę o tym w raporcie, choć jak wiecie, zapewne raporty ode mnie kończą gorzej niż kartki, które sam przerabiam na origami.

Zebrani odetchnęli. Aspirant Brzeski, wysoki blondyn, pozostający w najbardziej zażyłych stosunkach z komisarzem, zastukał palcem w jedną z map.

– Sytuacja przedstawia się następująco – rozpoczął z nieco przesadną emfazą. Momentalnie się opanował, zaczesał opadającą na czoło grzywkę i ciągnął całkowicie naturalnym tonem. – ViSir wytypował wszystkie budowle, które mogą być wyposażone w ustrojstwo, jakie znalazł na nagraniu. Ograniczyliśmy wyniki do tych znajdujących się w promieniu dwudziestu kilometrów od Lublina. Po pierwsze, ze względów technicznych, po drugie, mając na uwadze, że sprawca musiał transportować wprowadzonych.

– Dwadzieścia kilometrów to właściwy promień – zgodził się Deryło. – Statystyka dowodzi, że zabójcy działają najdalej w odległości trzydziestu minut jazdy. Chyba że to typ wędrowny, ale z takim raczej nie mamy teraz do czynienia.

Tym razem nie dodał, że statystyka to również rzeczywistość naginana do własnych nadziei, ale to było nieważne. Liczył się punkt wyjścia, a ten okazał się zdumiewająco intrygujący.

- Co ustaliliście?
- W analizowanym obszarze mamy trzy takie obiekty – odezwał się ViSir. Jego pucłowata twarz skrzyła się od potu, a pod nosem miał rozmazany keczup. – Jeden z nich należy odrzucić, gdyż nadal jest strzeżony przez wojsko.
- Zostają dwa. Daleko od siebie? Jeśli mamy...
- Zostaje jeden. – Informatyk wszedł komisarzowi w słowo. – W trzecim okazuje się, że sześć lat temu zgłoszono kradzież. Usunięto wszystkie elementy, które można było przewieźć na skup złomu. Zapewne nie oszczędzono nawet liczników.
- Zapewne? To spora różnica między na pewno.
- Czekamy na wyciąg z dowodów sprawy wszczętej przez prokuraturę – wtrącił Walemba.
- Jednak chłopaki wciąż się nie odezwali. Mimo to, znając polskich złomiarzy szabrowników, nie mam wątpliwości co do skuteczności ich działań.
- Deryło nie potrzebował wiele czasu na kalkulację. Cicho mlasnął, obrócił między palcami rzymskiego sesterca i zawrócił ku drzwiom.
- Ściągajcie ekipę uderzeniową – zakomenderował. – Natychmiast jedziemy na miejsce.

46

Dwa wielkie pojazdy z antyterrorystami mknęły przed nieoznakowanym oplem, w którym usadowili się Deryło oraz Brzeski. Przynajmniej ruch o tej porze były znikomy i kolumna mogła poruszać się bez problemu, do tego najkrótszą trasą. Od celu dzieliły ich już ledwie trzy kilometry. Wytypowany bunkier znajdował się w niewielkim lesie na granicy Lublina i jedynie ostatnie kilkaset metrów należało pokonać drogą nieutwardzoną.

- Jak się czuje Tamara? – Brzeski odezwał się, by przerwać panującą w samochodzie ciszę.
- Zastanawiałem się, czy do niej nie zadzwonić.

– Lepiej nie.

– Po prostu? Lepiej nie?

– Każdy telefon odbierze jako wyraz zamartwiania się o nią.

– Bo tak właśnie jest.

Deryło westchnął. Brzeski najwyraźniej nie do końca rozumiał sposób, w jaki swoją chorobę postrzegala Haler.

- Ona nie chce ani zamartwiania się, ani jakiegokolwiek pomocy. Wręcz przeciwnie, jedno i drugie zwyczajnie ją wkurwia.

– Chcieliśmy z całym wydziałem zrzucić się na jakiś prezent.

– Potraktowały to jak przedwczesny wieniec pogrzebowy. Dajcie spokój.

Aspirant zerknął z ukosa na Deryło, lecz ten pozostał całkowicie niewzruszony. Utrzymywał równomierny dystans za drugim z wielkich wozów i jego wszelkie myśli krążyły wokół akcji.

- Ten dewiant musi tam być – wycedził, gdy wreszcie zjechali na drogę nieutwardzoną. – ViSir odwalil kawał dobrej roboty. Należy mu się elegancki dyplomik.

Brzeski odgarnął niesforną grzywkę i pokiwał głową. Najwyraźniej nie była mu w smak zmiana tematu, ale nie śmiał obstawać przy swoim.

- Mam jedynie nadzieję, że ten czub nie przystosował bunkra do działań wojennych – bąknął. – Magdalenkę pamiętam tylko z telewizji, ale mam wrażenie, że procedury niewiele się zmieniły.

– Procedury zmieniły się o lata świetlne – zaprotestował Deryło. – Choćby właśnie dlatego jadę teraz za tymi czołgami.

– Ale działamy na żywioł. Nie mamy rozpoznania ani...

Komisarz gniewnie wszedł mu w zdanie.

- Owszem. My musimy się śpieszyć i każda sekunda może mieć diabelne znaczenie. Ale gdybyśmy otaczali willę gangstera, moglibyśmy sobie pozwolić na badanie każdego centymetra kwadratowego.

– A jeśli to pułapka?

- Modłę się, aby tak nie było. Poza tym te cyborgi przed nami to wyszkoleni, świetni ludzie.
- Możemy mieć stare plany bunkra. Od dekady nikt nie wchodził do środka.

Opel zabujał się na nierównościach i Deryło nieco zwolnił. Jednocześnie mocniej chwycił kierownicę. Po chwili ponownie spojrzął na aspiranta.

– Obleciał cię strach czy co? Możesz czekać na zewnątrz, nikt cię nie zmusi do... – Nagle przygryzł wargę i cicho parsknął. – Nie mów mi, że panikujesz, bo masz zostać ojcem. To o to chodzi? Alicja jest w ciąży?

Brzeski splótł ręce na piersi i przymknął oczy.

– Nic nie powiem, bo to mogłoby zapeszyć.

– Więc wszystko jasne. Niewiele trzeba, żeby facet zyskał dodatkową porcję rozumu, no nie? – Deryło uśmiechnął się blade. – Sam tego nie doznałem, wtedy gdy iluminacja była mi najbardziej potrzebna. Swoją drogą... Gratulacje.

Ostatnie słowo komisarz wypowiedział, zatrzymując samochód. Znaleźli się na skraju leśnej przecinki, w kompletnej ciemności pociętej jedynie światłem reflektorów.

– To budynek na terenie po prawej – dobiegło z krótkofalówki. – Ogrodzenie jest dziurawe. Będziemy przechodzili.

– Idę z wami, zgodnie z planem – rzucił komisarz. Następnie odwrócił się do Brzeskiego i wycelował w niego palcem. – Ty zostajesz. Ani mi się waż przychodzić z odsieczą. Nie potrzebujemy na pokładzie trzęsących portkami świeżo upieczonych tatuśków. Ci emerytowani wystarczą.

47

Dowódca grupy uderzeniowej zerknął na ekran tabletu. Miał na nim satelitarną mapę całej okolicy oraz naniesione pozycje każdego ze swoich dwunastu ludzi. Wraz z Deryłą stali obok jednego z potężnych wozów.

– Zabawę czas zacząć – wycedził. – Szykuj fajerwerki.

– Lepiej niech twoi ludzie na mnie zaczekają. Dołączę do grupy wchodzącej od frontu.

– Nie masz nawet pieprzonej kamizelki kuloodpornej.

– Będę poruszał się z tyłu.

– A twój trup w razie czego obciąży moją cholerną kartotekę.

– Lepsza kartoteka niż sumienie, prawda?

Deryło nie czekał na odpowiedź. Z pistoletem w ręce pobiegł w stronę ledwie odcinającego się od ciemności nocy bunkru. Był to właściwie gigantyczny magazyn wzniesiony ze zbrojonego betonu, mający kilka pomieszczeń nadziemnych oraz dwa podziemne. Tyle przynajmniej mówiły dawne plany. Od czasów wyprowadzki wojsk radzieckich z Polski obiekt pozostawał pusty i nie wiadomo, co działo się w środku.

– Do trzech... – Komisarz usłyszał komendę rzuconą ostrym tonem.

Następnie nastąpiło ciche odliczanie i w momencie, gdy Deryło zbliżył się do ustawionych gęsiego potężnie uzbrojonych mężczyzn, eksplodowały dwa granaty hukowo-błyskowe. Ułamek sekundy później mrok nocy rozświetliły czerwone flary.

– Ruchy, ruchy!

Jedna grupa ruszyła głównym wejściem, tymczasem druga z loskotem wybiła taranem zardzewiałe drzwi od tyłu. Gdy komisarz znalazł się w środku bunkra, wokół znajdowało się już dziesięciu innych funkcjonariuszy. Kolejne flary oraz granaty błyskowe oświetlały teren. Na ogromnej przestrzeni nie znajdowały się żadne sprzęty, lecz betonowa podłoga była zavalona różnymi śmieciami oraz kawałkami stropu. Bunkier sprawiał wrażenie, jakby się miał zaraz zawalić.

– Na dół. Szybko, szybko!

– Policja!

Wykrzykiwane komendy poniosły się echem. Jedna grupa policjantów obstawiła halę, tymczasem druga błyskawicznie skierowała się w głąb budynku. Deryło podążył za nią.

– Tam jest właz.

Granat gazowy eksplodował gdzieś poniżej i pod stopami komisarza zadrżała podłoga. Zgodnie ze schematem do schronu podziemnego prowadziła maleńka klatka schodowa. Okazało się, że była ona ukryta pod niedbale nasuniętymi na siebie dyktami. Policjanci odrzucili je na bok i oświetlając teren latarkami oraz kolejnymi granatami, skierowali się na dół.

– Czysto!

– Czysto!

Kolejne meldunki sprawiały, że serce komisarza biło coraz mocniej. Czyżby się pomylili? Oczywiście, istniała taka możliwość i oznaczałaby ona, że zmarnowali mnóstwo czasu.

– Cholera...

Komisarz pośpiesznie naciągnął maskę gazową. Zbiegł po metalowej drabinie i podążył za światłem latarek. Trzymał pistolet w obu dłoniach, z lufą skierowaną w sufit. Był gotów na odparcie jakiegokolwiek ataku.

Tupot ciężkich butów niósł się po wąskich korytarzach. Łączyły one kolejne salki, dokładnie tak, jak było to zaznaczone na planie. Za kolejnym załomem powinno rozciągać się główne pomieszczenie.

– Świeć tu!

Nagły krzyk dowódcy grupy zagruchotał głośniejsz niż granat. Komisarz wysforował się na przód w momencie, gdy rozległa, podziemną salę rozświetliła czerwona raca. To, co zobaczył w jej blasku, było upiorne.

48

– Wiktor chciał, żeby nigdy nie było tu nas więcej niż dwie. A trzy to o jedną więcej niż dwie. Choć pewnie tego nie rozumiesz.

Rusłana hardo spojrzała w oczy Czarnej Marty i wzruszyła ramionami. Nie obchodziły jej te tępe docinki, gdyż Wiktor wyraźnie ją faworyzował. Przynajmniej w ostatnim czasie. Gdyby chciał kogokolwiek pozbyć się z tego odcinka, z pewnością nie byłaby to ona. Skoro pojawiła się tu niedawno, wielokrotnie powtarzał jej, że musi mieć szansę dorobić. „Poza tym – dodawał, trzymając w ustach papierosa – świeża krew zawsze zarabia najlepiej”. Z tym nie można było polemizować. Gdyby Rusłana miała jakiegokolwiek doświadczenie, może doszłaby do wniosku, że staż się nie liczy, gdyż większość klientów jest w tej okolicy po raz pierwszy i nigdy tu nie wróci, ale ona była niemal amatorką. Przed dwoma miesiącami przybyła z zagrożonej wojną wschodniej Ukrainy i musiała spłacić pomoc w wyrobieniu dokumentów.

– Co się gapisz, Azjatko? – Obok Czarnej Marty stanęła Sandra i wyzywająco splunęła pod nogi Rusłany. – Wracaj na swoje stopy.

– Odczepcie się.

– Myślisz, że faceci lecą na twój akcent? Przecież połowa z nich to chłopaki zza wschodniej granicy.

– Ciągnie swój do swego – dodała Czarna Marta. – Nie ma co. I ciągnie swój swego.

– Dacie mi spokój! Nie chcę żadnych utarczek.

– Utraczek? Kto cię nauczył takich słów? Myślałam, że na Ukrainie umiecie jedynie rzezać albo rznąć.

Sandra zaśmiała się głupawo. Chciała coś dodać, lecz jej uwagę zwrócił szum nadjeżdżającego auta. Po chwili zza zakrętu ukazało się światło reflektorów. Kobiety znajdowały się na prześwietleniu obwodnicy na granicy Lublina. Mimo rozmaitych nowych inwestycji drogowych oraz objazdów kierowcy szukający przygód wciąż poruszali się tą trasą. Poza tym niemal nigdy nie gościła tu policja.

Po kilku sekundach na pobocze zjechała duża, biała furgonetka. Kierowca opuścił szybę i przyjrzał się dziewczynom, które, nauczone doświadczeniem, ustawiły się w świetle reflektorów.

– Ty – wskazał.

– Ja? – Czarna Marta powoli ruszyła w stronę kabiny, ale kierowca wychylił się i machnął

dłonią.

– Ona. Ta blondynka.

– Rusłana... – wycodziła Sandra. – No, leć do swojego pana.

Rusłana nerwowo pomyślała o wszelkich wskazówkach dotyczących bezpieczeństwa udzielonych jej przez Wiktora. Gdy tylko weszła do kabiny furgonetki, przymilnie się uśmiechnęła.

– Nasz teren to tamten zjazd – odezwała się, patrząc wprost w oczy mężczyzny. – Jeśli go opuścimy...

– Spokojnie, znam zasady.

Mężczyzna wrzucił bieg i z minimalną prędkością skierował się ku niewielkiej ścieżce prowadzącej w głąb lasu. Rusłana domyślała się, że chłopcy Wiktora obserwują teren od strony obwodnicy. Mieli zresztą swoje sposoby. W chwili, gdy furgonetka się zatrzymała, dostrzegła błysk reflektora lub latarki w głębi, między drzewami. Od razu poczuła się raźniej. Zapewniano ją, że żadnej z dziewczyn pod opieką tutejszych chłopaków nie stała się krzywda.

– Co robimy? – zapytała, nachylając się ku kierowcy. Dotknęła jego krocza i rozpięła guzik jego jeansów. – Zabawa na całego?

Mężczyzna dotknął jej włosów i cicho zaczerpnął powietrza. Wydał z siebie przeciągły jęk. Lewą dłoń położył na jej piersi, po czym zacisnął palce.

– Auć! – Rusłana gwałtownie się cofnęła. – Bez takich!

– Coś się nie podoba?

– Ma być bez bólu.

Mężczyzna zaśmiał się i tym razem wsunął obie dłonie pod jej bluzeczkę. Dotknął jej piersi, lecz nie chwycił ich zbyt mocno. Przez chwilę je gładził, przepuszczając sutki między palcami.

– Będziesz mi posłuszna – wyszeptał. – Nawet gdyby miało boleć, dobrze?

– Żadnego bólu – odparła Rusłana.

Zaczęła czuć się nieswojo i nieco odsunęła się od mężczyzny. Tymczasem ten stawał się coraz bardziej napalony. W pewnym momencie chwycił ją za głowę i z całej siły przyciągnął ku swojemu kroczu.

– Jest cały twój – wymamrotał, ciągnąc ją za włosy. – Pokaż, co umiesz.

– Nie szarp!

Rusłana wywinęła się z jego uścisku i gwałtownie wyprostowała. Była gotowa rzucić się do ucieczki. Facet był kompletnym świrem. W chwili, gdy kątem oka rozglądała się za kłamką, ktoś szarpnął drzwi po drugiej stronie. Kierowca, który się o nie opierał, stracił równowagę. Czyjeś silne ręce wyciągnęły go z kabiny i rzuciły na ścieżkę. Rusłana usłyszała kilka stłumionych uderzeń. Chłopcy Wiktora musieli wykryć zagrożenie i właśnie je neutralizowali. Nieco się rozluźniła.

– W ostatniej chwili... – Usłyszała po swojej prawej stronie. – Wylaź, facet musi się przespać.

Ktoś otworzył drzwi obok niej i pośpieszył ją ruchem dłoni. Gdy nieco oszołomiona zeskoczyła na ścieżkę, poczuła delikatne uklucie.

– To, żebyś była spokojna... – wyszeptał jej prosto do ucha cichy głos. – A na prawdziwy ból dopiero przyjdzie czas.

49

Deryło nie zwrócił uwagi na funkcjonariusza, który trzymając szyk i mierząc w rozjaśniony flarą półmrok, walczył z torsjami. Światło latarek jego trzech kolegów ukazywało przerażający widok.

– Ja pieprzę... – Dowódca ekipy uderzeniowej uniósł dłoń, nakazując Deryle, by pozostał w szeregu. Następnie nachylił usta ku wystającemu z kołnierzyka munduru mikrofonowi. – Czysto.

– Beta czysto, Gamma czysto... – odpowiedziały kolejne głosy. – Żadnego ruchu.

– Zachować czujność i zabezpieczyć teren.

Dowódca odchylił czarny hełm, po czym wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Następnie zdjął

maskę przeciwgazową. Z zaciśniętymi ustami i stężałą twarzą zwrócił się ku Deryle:

– Liczyłem, że rozbijamy skład narkotykowy, a nie plac zabaw bohatera *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*.

– Mówilem, żeby zachować najwyższy priorytet bezpieczeństwa. Poza tym już gdzieś słyszałem to porównanie.

Deryło przeszedł obok dwóch funkcjonariuszy i podał jednemu z nich listek gumy do żucia. Powoli zbliżył się do metalowego stelażu, z którego zwisały grube łańcuchy. Bez wątplenia znajdowali się w miejscu uwiecznionym na nagraniu umieszczonym na pendrivie. W przeciwległym kącie była rozdzielnia, dzięki której ViSir zdołał je zidentyfikować. Jednak komisarz nie potrafił dłużej odwracać wzroku od najgorszego.

Opuścił spojrzenie i powiódł nim po dwóch makabrycznie okaleczonych ciałach. Jedno z nich zdawało się monstrualnie rozdęte, a tors wiszącego mężczyzny pokrywała jakaś szara substancja. Jego oczy były wytrzeszczone, lecz w przeciwieństwie do wisielca miał szczelnie zamknięte usta. Wydawało się nawet, że coś jest z nimi nie w porządku. Nienaturalnie wydęte policzki sprawiały wrażenie, jakby w środku upchnięto papier.

Drugi z mężczyzn miał ciało przypominające skórę przysmażonego kurczaka. W niektórych miejscach wybijały ponad ciemne punkty jasne fragmenty ścięgien oraz kości. Z piersi skóra zeszała niemal całymi płatami, a niewielka tkanka tłuszczowa na brzuchu dosłownie się wytopiła i skapnęła na ziemię. Najprawdopodobniej mężczyzna został obłany jakąś łatwopalną substancją, po czym go podpalono. Dopiero teraz komisarz uświadomił sobie, że obrzydliwy odór unoszący się w pomieszczeniu to woń spalenizny, i to spalenizny w najgorszym wydaniu – strawionych ogniem włosów, skóry oraz tłuszczu. To właśnie ona przyprawiała o mdłości znacznie bardziej od jakiegokolwiek makabrycznego widoku.

Deryło doskonale wiedział, że ten odór może utrzymywać się w zamkniętym, niezbyt mocno wentylowanym pomieszczeniu całymi tygodniami. Podeszedł do zawieszonych na łańcuchach zwłok i przyjrzał się im z najbliższej odległości. Po raz kolejny żałował, że nie ma przy nim Haler. W takich sytuacjach jej wiedza medyczna oraz spostrzegawczość były nie do przecenienia.

– Jak myślisz, jak długo nie żyją? – zapytał komisarz, nie oglądając się za siebie. Doskonale wiedział, że szef operacji stoi tuż za nim. – Dzień, dwa, a może dłużej?

– W przypadku murzynków strasznie trudno to ocenić.

Deryło skrzywił się, słysząc to określenie. W slangu służb właśnie tak mówiono o osobach, które zginęły w pożarach i ogólnie na skutek działania ognia.

– Ale patrząc na tego drugiego... Plamy opadowe, wybroczyny i stężenie pośmiertne zdają się wskazywać, że minęła co najmniej doba. A pewnie lepiej.

– Właśnie. Pomyślałem tak samo.

– To dobrze czy źle?

– Niby dobrze. To wskazywałoby, że człowiek, który się powiesił, rzeczywiście był mordercą. – Deryło przysłonił nos dłonią i wciągnął powietrze. Powoli się obrócił, po czym wskazał na przedmiot stojący kilka metrów dalej. – Jednak biorąc pod uwagę to ustrojstwo, mam co do tego spore wątpliwości. Sytuacja być może właśnie cholernie się skomplikowała.

50

– O czym mówisz?

Dowódca grupy uderzeniowej rozpiął wiązanie hełmu i powiódł spojrzeniem za wzrokiem Deryły. Komisarz zrobił kilka kroków ku ścianie. Zatrzymał się przy metalowym trójnogu, na którym umieszczony był jakiś przedmiot.

– Co to? – dopytał uderzeniowiec.

– Kamera. Do tego kamera, która wciąż jest włączona. Bateria jeszcze działa i dioda miga w trybie gotowości.

– Cholera. On naprawdę to wszystko nagrywał? Nagrywał, jak ich zabija?

– Nie wiem. Na pewno stworzył przynajmniej jeden film, gdy jeszcze żyli.

– A potem?

Deryło wzruszył ramionami. Wyciągnął telefon i odruchowo zerknął na wskaźnik baterii. Pokazywał jedną kreskę, choć ładował go przed kilkoma godzinami. Odszedł na bok i wybrał numer ViSira. Obawiał się, że w podziemiach bunkru komórka nie będzie miała zasięgu, lecz po chwili rozległ się odgłos nawiązywanego połączenia.

– Halo? Komisarzu?

– Dobrze wytypowałeś. Moje cholerne gratulacje.

– Na co trafiliście? Macie tych skrępowanych gostków?

– Można tak powiedzieć. Aby być konkretnym, należałoby dodać, że właściwie mamy ich zwłoki.

– Niech to...

– Ale dzwonię w zupełnie innej sprawie. – Deryło jeszcze raz zerknął na nadpalone ciało chudsze z mężczyzn i nachylił się nad kamerą. Zmrużył oczy, starając się w półmroku odczytać oznaczenie sprzętu. – Posłuchaj, mam tu kamerę z dość długim numerem fabrycznym. Ten łamaniec przypomina moje hasło na stronę banku.

– Proszę dyktować, zaraz sprawdzę.

Komisarz powoli odczytał całą nazwę, na którą składały się litery oraz cyfry. Gdy skończył, ViSir niemal od razu mruknął z zadowoleniem.

– Mógł jej używać do nagrania tamtego filmu. Bez dwóch zdań.

– Chodzi mi o coś innego.

– Tak, panie komisarzu?

Deryło obrócił się i spojrział w oczy dowódcy grupy uderzeniowej.

– Jak długo ten sprzęt wytrzyma w trybie rejestrowania? To znaczy jego bateria?

– Niech zerknę na jej oznaczenia. – ViSir mlasnął i komisarz słyszał, jak wstukuje kolejne hasła na klawiaturze. – To zwykły, dość nędzny akumulator. Bez ładowania da się nagrać maksymalnie dwugodzinny film.

– A tryb czuwania? Chodzi mi o gotowość do rejestrowania, gdy kamera jest na statywie.

– Hm... Zapewne około trzydziestu sześciu do czterdziestu ośmiu godzin. Raczej nie dłużej.

– ViSir znacząco odchrząknął. – Panie komisarzu, czy on nagrywał, jak ci ludzie umierają?

– To jeden z wniosków. – Deryło sapnął. – Drugi, niosący znacznie poważniejsze konsekwencje jest taki, że morderca wciąż żyje. Ci ludzie zmarli po śmierci Feliksa Laucha. Chyba że sukinsyn wiedział, jak ich dopaść zza grobu.

51

Doktor Gawiński zjawił się w zakładzie medycyny już po dziewiętnastej, ale zaszył się w swoim gabinecie i zajął papierologią. Zakazał sobie przerywać, cokolwiek by się działo. Obu technikom pozwolił wracać do domów po tym, jak przygotowują salę sekcijną na wszelkie niespodziewane wydarzenia. Natomiast spodziewanych autopsji tej nocy nie przewidywano. O dziwo, cała robota została wykonana, wszystkie śmierci były jasne i można było nadrobić zaległości w dokumentacji. Jedynie worek kości przywieziony z któregoś z lasów przez policję czekał na przekazanie do laboratorium. Gawiński już na pierwszy rzut oka ocenił, że te mają co najmniej sto lat, więc z pewnością nie była to jego sprawa.

O dwudziestej pierwszej patolog odprężył się i włączył transmisję meczu w radiu. Nie był przesadnym fanem sportu, ale doceniał kunszt radiowych komentatorów, którzy musieli nie tylko relacjonować wydarzenia z boiska, lecz nadać im niemal telewizyjny wymiar.

W trakcie pierwszej połowy Gawiński skończył dwa raporty, po czym zabrał się za wypełnianie ankiety pracy jednego z praktykantów. Widział go co prawda tylko raz, właściwie gdy tylko usłyszał, że przydzielono mu go do pomocy, zapytał, co ma podpisać, aby nie zawracał więcej dupy. Użył dokładnie tego sformułowania. Nie cierpiał, gdy ktokolwiek plątał mu się po zakładzie. Władzał w nim jak udzielny władca, lecz czasem musiał ustąpić przed żądaniami dyrekcji lub różnych grup wpływów. Znajomkowie oraz rodziny rozmaitych ordynatorów byli jedną z nich.

Tuż po północy, w momencie, gdy Gawiński mieszał świeżo przyrządzoną kawę, poinformowano go, że trafiają do niego dwa ciała. Informacja wzbudziła jego większe zainteresowanie dopiero, gdy dodano, że komisarz Deryło jak zwykle prosi o pośpiech.

Wypiwszy kawę, patolog przyszedł z teczką dokumentów do sali sekcyjnej, w której przygotowano zwłoki. Nie interesowało go, czy zajął się tym jeden ze zwolnionych do domu techników, czy ktokolwiek inny. Sednem było, że miał przygotowane do pracy stanowisko, papiery oraz narzędzia.

– No dobrze, co my tutaj mamy...

Zwolnił blokadę pierwszego z łóżek i przetoczył je pod lampy przypominające te znane ze starych traktów operacyjnych. Właściwie chyba nawet z jednego z nich pochodziły. Chwycił plik kartek, po czym, nie odczytawszy ich, przelożył je na stalowy blat. Wolął posiąść ogląd sprawy niezmacony przez czyjekolwiek uwagi. Lada moment sam miał się zapoznać ze zwłokami, ich stanem oraz rozpocząć poszukiwania przyczyny śmierci denatów. A może sednem było coś zupełnie innego?

Patolog poprawił kitel oraz maseczkę. Jednym ruchem ściągnął specjalne prześcieradło, którego materiał był tak stworzony, by nie pozostawić na zwłokach choćby najdrobniejszego włókna.

– U, la, la. A to ciekawe.

Gawiński spojrzał na okrągłą, obrzmiałą twarz grubasa. Powoli przeniósł wzrok niżej, po jego szyi oraz piersi. Zdawało się, jakby aż po brzuch zwłoki pokrywał jakiś pył lub substancja przypominająca cement. Czasem w podobnym stanie znajdowały się ofiary zawaleń budynków, na które spadły elementy konstrukcyjne. Jednak ten denat nie miał żadnych zmięddeń ani śladów uderzenia ciężkimi przedmiotami. Uwagę zwracały jego nienaturalnie wypukłe policzki oraz lekko rozchylone wargi, spomiędzy których coś wystawało.

– Co to, u licha?

Patolog sięgnął po rynienkę z narzędziami i wyjął z niej skalpel oraz przyrząd przypominający łyżkę do butów. Delikatnie unióśł górną wargę zmarłego. Wsunął palec, by rozewrzeć mu usta, lecz zastygł w pół ruchu.

– Ja pierniczę... – wycedził, z zapalem zabierając się do pracy.

52

Deryło wrócił do mieszkania, gdy niebo na wschodzie zaczynało się już przecierać i przybrało fioletowawy kolor. Wziął szybki prysznic, wiedząc, że i tak nie uda mu się zabić odoru spalenizny, który załęgł się w jego nozdrzach. Ten mógł zostać wywiany jedynie przez czas.

Czuł nieprzyjemny ucisk żołądka, który stanowił jednocześnie wyraz mdłości, jak i głodu. Nie wykazując entuzjazmu, podszedł do lodówki. Wypił prosto z butelki sok pomarańczowy i rozejrzał się po niemal pustych półkach. Bez przekonania wyciągnął lubiankę z jajami. Uznał, że jeśli teraz coś przekąsi, zaoszczędzi rano trochę czasu. Przyrządził wielką porcję jajecznicy na maśle, zmieszanej z resztką szczypiorku oraz pokrojonym starym pomidorem. Zdecydowanie powinien zrobić zakupy.

Kwadrans później, gdy oplukał naczynia i umył zęby, położył się do łóżka. Miał wrażenie, że zapada się w materac, a cały świat wiruje. Był wyczerpany. Nie potrafił się nawet zmusić do codziennego przedsennego porządkowania wydarzeń.

Wydawało mu się, że spał ledwie kilka sekund, gdy obudził go dzwonek telefonu. Niemal po omacku odszukał aparat i przyłożył go do ucha.

– Halo?

– Śpisz? – Gawiński gwizdnał z niedowierzaniem. – O tej porze!

Deryło otworzył oczy i zerknął na zegarek, którego niemal nigdy nie zdejmował z nadgarstka. Stary tissot wskazywał siódmą dwadzieścia.

– Szlag. – Komisarz zerwał się na równe nogi. – Od lat nie nastawiam budzika, bo wstaję z kurami. Kompletnie padłem. Czyżbyś się zajął moimi nocnymi zleceniami?

- Kiedy jedni zapadają w sen, inni grzęzną w mrokach roboty – odparł filozoficznie patolog.
- Lepiej szybko do mnie przyjeżdżaj.
- Mamy coś istotnego? Kolejny pendrive?
- Gorzej.
- Naprawdę może być gorzej? – Deryło błyskawicznie się ubierał. Senne otępienie natychmiast zniknęło. – Już się zbieram, będę u ciebie za kwadrans.

53

Tym razem Gawiński czekał w sali sekcyjnej. Znajomy portier wpuścił Deryło do podziemi zakładu medycyny, a ten zapewnił, że zna dalszą drogę. Był tu stanowczo zbyt wiele razy. Mógłby poruszać się z zamkniętymi oczami, a trafiłby do każdego zakamarka. Pamiętał wszystkie płyty oblażonej farby olejnej, każdy zaciek na suficie oraz każdą nierówność podłogi. Rzędy tabliczek na starych drzwiach, mrugające lampy, wiszący w połowie korytarza okrągły zegar, któremu brakowało jedynie kartusza z napisem: Tempus fugit. Do tego charakterystyczny zapach środków dezynfekujących zmieszanych z odorem śmierci. Choć technicznie było to niemożliwe, komisarz naprawdę go tu wyczuwał. Słodkawy, nieco mdły aromat pojawiający się wszędzie tam, gdzie były zwłoki. Można go było się doszukiwać nawet w najgorszym fetorze padliny.

Deryło bez pukania otworzył drzwi i wszedł do sali sekcyjnej. Doktor Gawiński, stojąc, pochylał się nad jednym z blatów. Szybko coś zapisywał, podkreślał, wreszcie odłożył długopis i spojrzał na komisarza.

- Rzeczywiście udało ci się wyrobić w kwadrans.
- Mów, o co chodzi tym razem.

Patolog nie zamierzał daremnie strzępić języka. Skinieniem głowy dał znać, by Deryło podążył za nim, po czym skierował się do jednego ze stołów. Powoli rozchylił worek, do którego już przelożono zwłoki. Na wydatnej klatce piersiowej widniały ogromne ślady po cięciach oraz szwach, kolejne komisarz dostrzegł na boku czaszki. W nienaturalnie rozchylnych nozdrzach ujrzał zaschniętą krew. Jednak tym razem nie to zwróciło jego uwagę.

- Oczyszcilesz jego pierś. To był jakiś pył?
- Pobrałem do badań i wysłałem do laboratorium. Ale raczej niczym mnie nie zaskoczą.
- To znaczy?

Deryło zerknął na patologa, a ten nachylił się nad zwłokami. Za pomocą metalowej szpatułki rozwarł usta zamordowanego i zastukał w żęby.

- Widzisz?
- Wyglądają jak nędzna sztuczna szczeka z kamienia.
- Właśnie. – Gawiński odłożył szpatułkę i odwrócił się w stronę komisarza. – Choć to nie kamień, a cement.
- Co takiego?
- To, co słyszałeś.
- Ale... – Deryło mlasnął i przeciągnął dłońmi po twarzy. Choć senność całkowicie z niego uleciała, czuł nieprzyjemne napięcie zmęczonego ciała. – Nie mów, że on...

Gawiński ponuro pokiwał głową.

– Jakiś świr nakarmił go cementem. Rozumiesz? Zmusił go do zjedzenia cementu, który zakleił mu cały przewód pokarmowy, włącznie z jamą ustną. Zrobił z niego od środka niemal rzeźbę. Wyobrażasz sobie, jak to musiało boleć? Do tego świadomość, że właśnie pożerasz coś, co zamienia cię w trupa... Okropne.

- Ja pieprzę. Woląłem jakąkolwiek inną historię.
- Ten drugi dla odmiany został po prostu polany jakąś substancją łatwopalną i podpalony.
- Gawiński rozłożył ręce, jakby nie było nic więcej do opowiadania. – Wcześniej nieco go poobijano jakimś pejcem lub czymś podobnym, ale rany były niegroźne.

Deryło głęboko wciągnął powietrze i się wyprostował. Zamrugał, jakby w ten sposób mógł pozbyć się nieprzyjemnych obrazów, które całą serią przewijały się przez jego umysł.

– Kiedy umierali, morderca ich nagrywał przenośną kamerą. Rozumiesz?

Gawiński natychmiast uniósł dłoń i pogroził mu palcem.

– Nie chcę o tym słyszeć. Znasz zasady, śledztwa to twoja sprawa, a mnie nic nie obchodzi.

Wystarczy mi to, co opowiadają mi zmarli. A akurat ci byli nadzwyczaj gadatliwi.

54

Deryło od kwadransa kluczył Citroënem po centrum. Dochodziła dziewiąta i wciąż trwał poranny szczyt. Ostatnie przebudowy oraz zajęcie połowy niektórych ulic przez buspasy spowodowały jeszcze większe korki. Oczywiście wszyscy je przewidywali, przewidywały je nawet operaty urzędników, ale fundusze unijne mogły zostać przyznane jedynie pod warunkiem utworzenia oddzielnych pasów dla komunikacji zbiorowej, więc te musiały powstać. Nie było rady. Na szczęście zastrzeżono, że po pięciu latach będzie można je zlikwidować, tak jak likwidowano je sukcesywnie z dawniej przebudowywanych ulic. Ot, absurdy współczesnej rzeczywistości.

Komisarz usiłował zebrać myśli. Starał się nadrobić to, czego nie udało mu się dokonać w nocy. Powoli, sukcesywnie porządkował wydarzenia poprzedniego dnia oraz poranka. Mimo to jego myśli raz po raz skupiały się na człowieku, którego wypełniono cementem. Gawiński twierdził, że do jego przewodu pokarmowego wepchnięto coś przypominającego medyczną sondę, wobec czego w chwili „karmienia” ofiara musiała być w jakiś sposób zwiotczala. Nie stanowiło to jednak żadnej pocięchy.

Wszystko wskazywało, że Feliks Lauch nie był w stanie zamordować tych osób, lecz nie zostało to jeszcze jednoznacznie przesądzone. Po pierwsze, mógł zastosować niestandardową baterię w kamerze, po drugie, nie określono jednoznacznie daty zgonu mężczyzn, po trzecie, mogło istnieć mnóstwo innych scenariuszy. Na razie Deryło postanowił się nimi nie przejmować. Tworzenie zbędnych rozwiązań przynosiło satysfakcję, lecz jednocześnie rzadko kiedy pchało śledztwa do przodu. Co z tego, że udałoby się mu wymyślić sto sposobów, na jakie Lauch mógł stać za tymi zbrodniami? Lauch nie żył. Należało zastanowić się, czy istnieją jakiegokolwiek inne ofiary bądź inni zbrodniarze mający coś wspólnego z tą sprawą.

Następnie Deryło skupił się na kamerze. Nie liczyło się, kto ją ustawił, ale w jakim celu to zrobił. Po odrzuceniu wszelkich dywagacji nad możliwymi scenariuszami nagrania stanowiły bezpośrednie powiązanie między sprawcą a ofiarami. A co więcej, poprzez pendrive wydobyty z treści żołądkowej Laucha łączyły się także ze śledczymi. Nie istniał żaden inny element śledztwa, który dotykałby tych trzech kluczowych płaszczyzn.

– Nagranie... – wycedził komisarz. – A jeśli...

Do głowy przyszła mu pewna dość szalona myśl. Jednak biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, szaleństwo stanowiło prawidłową drogę dedukcji.

– Niech go szlag.

Deryło wcisnął gaz i zaczął wściekle trąbić. Po raz kolejny żałował, że porusza się starym Citroënem, nie mogąc włączyć stroboskopów. Musiał ćwiczyć cierpliwość, tkwiąc w korku.

55

– Takiej ekipy powitalnej się nie spodziewałem.

Deryło zamknął za sobą drzwi do gabinetu i spojrzał na inspektora Bickiego oraz aspiranta Brzeskiego. Aspirant na migi dawał mu do zrozumienia, że został tu sprowadzony siłą i prosi, aby go o nic nie obwiniać.

– Czekał na pana, komisarzu – zaczął Bicki służbowym tonem. Był młodszy od Deryły, ale swoim lizodupstwem oraz kumoterstwem robił błyskawiczną karierę. Przypominał wielki kłoc drewna, wyciosany w zarys ludzkiej postaci i starannie oheblowany. Miał świeżą, pomarańczową opaleniznę oraz zwieszony na łańcuszku okulary.

– Wykonywałem obowiązki. Byłem w zakładzie medycyny.

– Tak, wyszedł pan z niego prawie godzinę temu.

– Prowadziłem rozmaite czynności, z których z pewnością napiszę raport.

– Och, nie omieszkać go przeczytać.

Deryło wymienił z Bickim wrogię spojrzenia. Popis animozji przerwała dopiero interwencja Brzeskiego.

– Panowie, zebraliśmy się tutaj, by przedyskutować istotną sprawę. Inspektor uznał, że najwyższy czas na naradę, a zdaje się, że poza panem, komisarzu, to ja mam najlepsze rozeznanie w sprawie. – Aspirant westchnął. – ViSir zaszył się w swojej norze, zaklinając się, że musi coś przeanalizować.

– I o czym mielibyśmy dyskutować? – Deryło siadł na fotelu i ręką zmiotł na podłogę kilka żurawi origami. – Śledztwo jest w toku. Robimy postępy.

– Tak, jasne – parsknął Bicki. – A prasa odnotowuje kolejne dwa trupy.

– Niestety.

– Mamy przynajmniej podejrzanych?

– Nikogo – odparł zgodnie z prawdą komisarz. – Przynajmniej nikogo żywego. Właśnie zamierzałem ustalić kilka szczegółów.

– Szczegółów? To, czy morderca żyje, to szczegół? Chyba będzie pan musiał o tym opowiedzieć przed kamerami.

– Od tego jest rzecznik. Róża Burza zrobi to z pewnością lepiej ode mnie.

Bicki uśmiechnął się sarkastycznie.

– Czyżby? Wydawało mi się, że lubi pan przedstawiać raporty postępów w swoich sprawach. A raczej raporty braku jakiegokolwiek postępu.

– Żeby chronić dupę inspektora?

– Coś powiedział?

Deryło wzruszył ramionami i splótł ręce na piersi.

– Pewien postęp dokonuje się nieustannie – odezwał się, patrząc za okno. Blaszyński skrzący się w przedpołudniowym słońcu. – Poza tym, jak wspomniałem, chciałem teraz ustalić kilka szczegółów.

– Niby co takiego?

– Naprawdę wolałbym je ustalić, zanim zacznę o nich mówić.

Bicki spurpurowiał ze złości. Oparł się dłonią o biurko komisarza i pochylił się w jego stronę.

– Gadaj. To rozkaz.

Deryło z pełną satysfakcją tłumił irytację. Uśmiechnął się, po czym spojrzał prosto w oczy inspektora.

– Skoro to rozkaz... Proszę jednak pamiętać, że ta teoria, choć jest kompletnie makabryczna, bazuje na pewnych istotnych przesłankach.

56

– Najpierw wezmę kawę. Bez niej nie będę w stanie powiedzieć choćby zdania. Po dzisiejszej nocy autentycznie padam z nóg. – Deryło skierował się do wyjścia i wyzywająco spojrzał na Bickiego. – Ktoś jeszcze reflektuje na porcję kofeiny? Nie? Andrzej?

Brzeski pokręcił głową. Spodziewał się, że lada moment wybuchnie awantura i mimo swoich niemal dwóch metrów wzrostu skulił się, jakby go wcale nie było.

– No dobrze, pan, inspektorze, nie pija kawy. Może herbatki albo wody? Nie? W takim razie proszę na mnie poczekać, zaraz wracam. Możecie się rozgościć... A nie, przepraszam, przecież to zrobiliście, zanim przyszedłem.

Deryło wyszedł na korytarz i trzasnął drzwiami. Nie śpiesząc się, podszedł do automatu z napojami. Wybrał podwójne espresso, które smakowało jak zwykła americana, lecz z tego urządzenia americana smakowała znowuż jak najgorsze pomyje. Na tym polegała gradacja jakości masowych produktów.

– Niewielkie poświęcenie, by zrobić na złość durniowi – mruknął, wrzucając do automatu wydobyte z portfela dziesięć- oraz dwudziestogroszówki.

Wreszcie z kubkiem kawy w ręce skierował się do gabinetu. Gdy wszedł do środka, Bicki stał z rękoma założonymi na piersi, czerwoną twarzą i potem zebrany nad górną wargą. Sprawiał wrażenie, jakby był bliski zawału. Najwyraźniej musiał się wyladować na Brzeskim, gdyż ten niczym pies z podwiniętym ogonem cały skulony stał przy oknie.

– Świr, który zamordował te dwie ostatnie osoby, nagrywał ich agonię – odezwał się komisarz, upiwszy łyk kawy. – Ale zapewne o tym już poinformowano drogiego pana inspektora?

Bicki z zaciśniętymi ustami skinął głową.

– Z tego faktu można wyciągnąć pewne wnioski. Albo przynajmniej postawić pewne tezy, żeby być bardziej precyzyjnym.

– Do sedna, komisarzu.

– Myślałem, że skoro tu jesteśmy, przeprowadzimy chociaż burzę mózgów. Moglibyśmy stworzyć mapę myśli albo coś. Może wnioski, jakie wy wyciągniecie, będą całkowicie inne od moich.

– Chciałbym jednak wysłuchać właśnie ich.

Deryło odstavil kubek kawy i wsunął dłonie do kieszeni. Uznał, że lepiej nie przedłużać tej sceny ani o sekundę dłużej. Wściekły Bicki, mimo całej swojej głupkowatości, mógł narobić mu problemów. A nie istniał między nimi bufor bezpieczeństwa w postaci Tamary. Brzeski nadawał się na rozjemcę ledwie tłących się konfliktów, ale nie otwartej wojny atomowej.

– Opcja pierwsza jest taka, że nagranie było w jakiś sposób emitowane dla zewnętrznych odbiorców.

– Kogo ma pan na myśli?

– A bo ja wiem? Może jakichś degeneratów? Może zleceniodawców? To należałoby ustalić. Jak to mówią mądrzy ludzie, po nitce do kłębka i dotarlibyśmy do zleceniobiorców.

– A opcja druga? – Bicki nerwowo mlasnął i wyciągnął z kieszeni opakowanie gum do żucia. Wsunął listek do ust, po czym zaczął energicznie żuć. – Niech pan nie będzie taki dramatyczny, komisarzu.

Deryło machnął ręką, jakby chodziło o coś zupełnie innego. Uśmiechnął się niewinnie.

– Morderca mógł to transmitować kolejnym ofiarom. Albo właśnie dla nich stworzyć to nagranie.

– Niby po jasną cholerę?

– By pokazać im, co się z nimi niebawem stanie.

57

– Powinieneś już mieć na biurku całą dokumentację. Laboratorium obiecało, że się pośpieszy.

ViSir przeciągnął się i głośno ziewnął. Obrócił się od ekranu w stronę komisarza. Miał zaczerwienione, zmęczone oczy oraz mokre plamy pod pachami. W pomieszczeniu cuchnęło potem jeszcze bardziej intensywnie niż zwykle. Do tego na biurku stał cały rząd kubków po kawie.

– Już wszystko przejrzałem. – Informatyk po raz kolejny ziewnął. – Co chciał pan wiedzieć?

– Czy psychol, który nagrywał tą kamerą swoje ofiary, mógł emitować obraz na przykład przez internet.

– Mógł – natychmiast odparł ViSir.

– Ale?

– Ale równie dobrze mógł tego nie robić.

– Więc jesteśmy w stanie to sprawdzić?

– Niestety nie.

– Nie?

Deryło westchnął. Usiadł na fotelu obok informatyka i obrócił między palcami sesterca. Nagle się wyprostował i przetarł dłońmi zmęczoną twarz.

– Liczyłem na jakiegokolwiek dobre wieści. Cokolwiek. A ty mi mówisz, że nie da się nawet ustalić, do czego służyła ta kamera.

– Ten sprzęt ma wejście na kartę SIM, ale jej nie znaleziono. Nie posiada własnego portu

ani nie zostawia śladów.

– I tyle? Żadnej pociechy? Marność i tylko marność?

ViSir ze współczuciem spojrział na komisarza. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał wstać i poklepać go po ramieniu, jednak się opanował i ponownie odwrócił do ekranu komputera. Pośpiesznie przewinął kilka wyświetlonych na nim dokumentów.

– Dzwoniłem do laboratorium i prosiłem o przesłanie kamery – wyjaśnił. – Gdyby okazało się to niemożliwe, napisałem, co powinni zrobić. Jest szansa, że wszelkie filmiki zostawiły ślad na karcie pamięci.

– Mówiłeś, że jej nie ma.

– Nie ma karty SIM, a karta pamięci owszem, jest. Jednak została sformatowana. Chyba że zapisywano nagranie na pamięci wewnętrznej, wtedy karta mogła być zupełnie nieużywana. Poprosiłem między innymi o sprawdzenie ustawień.

– Dostałeś jakąś odpowiedź?

– Jeszcze nie. Poza tym przez całą noc ponownie analizowałem tamto nagranie, ale już nic więcej nie udało mi się wyluskać. – ViSir kompletnie zmarkotniał. – Przykro mi, panie komisarzu. Na razie nie mogę zrobić nic więcej. Nie mam żadnych pomysłów.

58

Deryło ciężko opadł na fotel i wskazał, by Brzeski zrobił to samo. Aspirant po chwili wahania usadowił się na miejscu, gdzie zazwyczaj siadała Tamara.

– Pusto bez niej, prawda? – zagadnął.

– Obecnie czuję dotkliwą, ale przyjemną pustkę po inspektorze Bickim. Bardzo mi z tym dobrze.

Komisarz sięgnął po kwadratową kartkę i odruchowo zaczął składać żurawia origami. Przelknął ślinę. Na myśl o Haler poczuł ukłucie w sercu, czego nie chciał po sobie pokazać. Cholernie mu jej brakowało. Momentalnie zganil się, że zachowuje się, jakby Tamara umarła albo stało się jej coś jeszcze gorszego. Nie chciał jednak artykułować tego, co jest jeszcze gorsze od śmierci. Ciężko sapnął i spojrział na Brzeskiego.

– Musimy zabrać się do roboty, inaczej Bicki naprawdę każe mi prowadzić konferencję prasową, dziennikarze mnie zgrillują i skończę służbę jako nieudacznik.

– Zbyt surowo pan się ocenia.

– Swoją drogą, jeśli będziemy nadal czasem zwracać się do siebie służbowo, a czasem per „ty”, dostanę rozdwojenia jaźni.

– Ja się już do tego przyzwyczaiłem. Miałem na to kilkanaście lat.

Komisarz zmiął żurawia i podniósł się od biurka. Podszedł do rozwieszanej na tablicy mapy Lublina oraz okolicy, a następnie sięgnął do rynienki po czerwone pinezki. Wbijał je w kolejne punkty.

– Tu znaleźliśmy zwłoki Laucha, tu jest wynajmowany przez niego dom, a tutaj opuszczony bunkier. Trzy różne miejsca, wszystkie jednak związane ze sprawą.

– Są w niemal równych odstępach od siebie – zauważył Brzeski. – Mieszkanie Laucha stanowiło punkt centralny, z którego do obu lokalizacji było około kwadransa drogi.

– Słusznie. Nie mam pojęcia, czy to istotne, ale brakowało mi kogoś, kto zacznie myśleć za mnie.

Brzeski przeczesał palcami doskonale ułożone włosy i założył nogę na nogę. Mrużąc oczy, przyglądał się mapie.

– Te punkty nie tworzą ani trójkąta równobocznego, ani nie układają się w żaden wzór. Przynajmniej ja tego nie widzę. Nie zakreśli się dzięki nim pentagramu ani swastyki.

– Obawiam się, że do tego jest ich zbyt mało.

– Powinniśmy spodziewać się następnych?

Deryło mlasnęła i wrzucił kilka pinezek z powrotem do rynienki.

– Bardzo niewielu seryjnych morderców dokonuje zabójstw jednego po drugim. Mają

okresy wyciszenia, a potem ponownie się uaktywniają. Klasycznie ich działalność można pogrupować w oddzielne serie złożone przeciętnie z maksymalnie trzech zbrodni. Biorąc jednak pod uwagę mnogość ofiar, należy to pomnożyć na przykład razy dwa. Różni to ich od morderców masowych, którzy...

Komisarz przeprasząco machnął ręką. Odwrócił się do tablicy i oparł się o nią dłonią.

– Wybacz, czasem najlepiej uporządkować myśli od podstaw. Wiem, że to banały.

– Wcale nie – zaprotestował Brzeski. – Jeżeli to klasyczny seryjny morderca, może się teraz zapaść jak kamień w wodę.

– Właśnie tego nie chciałem wyrażać na głos.

– Choć w tym wypadku możemy spodziewać się gorszego scenariusza. Szczególnie biorąc pod uwagę wiadomość o tym, że rozpoczął z nami grę.

– Nie wiemy, czy rozpoczął ją z nami – zauważył Deryło. – Gra miała się po prostu rozpocząć, a to też osobliwe. Nie wiadomo jaka, z kim ani o jaką stawkę. To trochę jak amerykański Zodiak, nasz Fotograf albo Cztery Iks.

Brzeski pstryknął palcami. Założył ręce za głowę i przyknuł oczy, jakby starał się uchwycić jakiś nagły pomysł. Deryło zerknął na niego z zaciekawieniem. Nim zdążył odpowiedzieć, odezwał się dzwonek jego telefonu. Ociągając się, wyjął go z kieszeni i zerknął na ekran.

– Tamara – rzucił zafrasowany. Odebrał i przyłożył aparat do ucha. – Dzieńdoberek, moja droga.

– Nie udawaj takiego dobrego humoru – rzuciła na przywitanie Haler. – Już widzę te wisielcze nastroje. Do tego sama właśnie odkryłam coś kompletnie pochrzanionego...

59

Deryło przełączył komórkę w tryb głośnomówiący i położył ją na biurku.

– Siedzimy tu z Brzeskim – wyjaśnił. – Mów wszystko, co przyszło ci do głowy, i może wreszcie przeprowadzimy konstruktywną burzę mózgów.

– Cześć, Andrzej.

– Cześć, Tamaro, jak się masz?

Haler odchrząknęła. Wypuściła powietrze w słuchawkę i milczała przez kilka sekund.

– Czy nikt ci nie powiedział, że to pytanie działa na mnie gorzej niż płachta na byka? A chyba nie chcesz mnie teraz wkurzyć i sprawić, żebym się rozłączyła? Albo żebym rzuciła telefonem o ścianę?

– Nie, jasne, że nie.

Brzeski wymienił z Deryłą porozumiewawcze spojrzenia. Rozłożył ręce, pokazując, że całkowicie nie spodziewał się takiej reakcji.

– Przepraszam, ja po prostu...

– Przestań. Zacznijmy jeszcze raz. – Haler kilkakrotnie cmoknęła w słuchawkę. – Miło was słyszeć, chłopaki, a teraz skupcie się na tym, co mam do powiedzenia.

– Słuchamy – jednocześnie odezwali się Brzeski oraz Deryło.

– Słowem wyjaśnienia muszę zdradzić, że ViSir jest źródłem wycieku, ale wszystko, co mi przekazał, zrobił w dobrej wierze. Nie każcie go za to.

– Traktujemy cię, jakbyś była na miejscu – wtrącił się komisarz. – Nie musisz go usprawiedliwiać, choćby przesłał ci wszystkie dokumenty oraz nagrania.

– Mniej więcej tak zrobił.

Deryło założył nogę na nogę i odchylił się w fotelu. Poczul nieuzasadnioną złość, że Haler zdecydowała się kontaktować właśnie z informatykiem, a nie z nim. Choć mógł się domyślać tego przyczyny, nie potrafił sobie tego właściwie wytłumaczyć. Mimo to nie odezwał się ani słowem.

– Co więcej – ciągnęła Haler – chyba jako pierwsza dostałam raport z zakładu medycyny. Ale to już inna bajka. Doktor Gawiński nie wiedział, że jestem na zwolnieniu.

– Jemu też będzie wybaczone – miłosiernie rzucił Deryło. – Możesz pominąć tę preambułę.

– Jasne, jasne. Już się tak bardzo nie niecierpliw, tatuśku. – Haler, jakby przejrząwszy jego

myśli, natychmiast dodała: – Nie chciałam ci zawracać głowy ani wprowadzać dalszego zamieszania...

– Wiesz, że możesz dzwonić, kiedy ci się tylko zamarzy.

Komisarz po raz kolejny wymienił spojrzenie z Brzeskim. Nie chciał, żeby Tamara się wściekła za tę potencjalną nadopiekuńczość, ale Haler jedynie niewyraźnie podziękowała.

– No więc poza człowiekiem zalanym betonem – podjęła po chwili – mamy dwie nowe ofiary, Damiana Szewskiego oraz Wiktora Struga, o ile programy identyfikujące nie popełniły błędu, a pani doktor właściwie zapamiętała twarz pacjenta. Musimy jej zaufać. Historia Szewskiego nadaje się na całkiem niezłą ekranizację. Biznesy, upadłości, powstania niczym Feniksa z popiołów, potem kolejne upadłości oraz, jak sądzę, powiązania z szarą strefą.

– Nie mamy na to żadnych dowodów – mruknął Deryło.

– Owszem, ale czy znasz biznesmena, który prowadzi działalność na szeroką skalę i nie ma kontaktu z różnymi malwersantami albo oszustami?

– Nie mam znajomości w ani jednej, ani drugiej grupie zawodowej.

– Uwierz mi, że to niemal pewne. Zresztą wydaje mi się, że historie życia Szewskiego oraz Struga są mniej ważne. Należy się skupić na historii ich chorób.

Komisarz przysunął telefon bliżej siebie i poprawił się w fotelu. Wziął kawałek papieru, ale zaraz z powrotem odłożył go na biurko.

– Co masz na myśli?

– Ano to, że punktem wyjścia są dla mnie litery *S* oraz *P. Sotto piede*. – Haler głośno coś siorbnęła. – Nasza interpretacja okazała się prawidłowa, więc możemy uznać, że trafiliśmy na właściwy punkt podążania za tokiem myślenia sprawy.

– Chyba się pogubiłem.

– Nie, wybaczcie, to ja plotę jak potłuczona, ale mam gonitwę myśli. Coraz trudniej mi nad tym zapanować.

– Wspomniałaś o historii chorobowej – nieśmiało wtrącił się Brzeski. – Może wróćmy do niej.

Haler nerwowo się zaśmiała.

– Okej, może to właściwa kolejność. Zastanawiałam się nad profilem typowej ofiary naszego zabójcy. – Na moment zawiesiła głos, po czym słysząc, że ani Deryło, ani Brzeski nie kwapią się do podjęcia tematu, mówiła dalej: – Spójrzcie na Szewskiego. To wychudzony alkoholik, zniszczony przez picie oraz miesiące uzalania się nad sobą.

– Ma niewiele wspólnego z tym drugim – bąknął Deryło.

– Właśnie, więc możemy przyjąć, że nie chodzi o wychudzonych degeneratów. Strug był chorobliwie otyły i sprawca dodatkowo nakarmił go cementem. A jak zginął Szewski?

– Oblano go czymś i podpalono.

– Jesteś mało precyzyjny, tatuśku. – Haler najwyraźniej zmierziała do sedna i zrobiła kolejną wymowną pauzę. – Sądzę, że oblano go spirytusem lub innym łatwopalnym alkoholem. Co więc mamy?

Deryło wreszcie zrozumiał, do czego zmierza Tamara.

– Opilstwo i pijaństwo oraz nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu. Grzechy główne! Możemy więc mówić o motywie religijnym...

– A ten ze zmasakrowanymi rękoma? Masz raport na jego temat?

Komisarz dopiero sobie przypomniał, że wściekły z powodu wizyty Bickiego przesunął na skraj biurka leżące na nim od rana dokumenty. Natychmiast rzucił się ku spiętemu agrałką plikowi kartek.

Laboratorium już potwierdziło identyfikację materiału biologicznego. DNA bez wątpienia należało do Borysa Semena, zameldowanego w Polsce przedsiębiorcy pochodzącego z Ukrainy. Semen prowadził firmę zajmującą się budową domów oraz zagospodarowywaniem rozmaitych terenów. Rozpoczął jako zwykły budowlaniec, lecz dzięki pracowitości oraz zdolnościom (a także zapewne dzięki nieustalonym powiązaniom oraz tajemniczemu zastrzykowi kapitału) zainwestował w grunty położone na obrzeżach kilku dużych miast. W ciągu ostatnich pięciu lat jego nieruchomości z wielokrotnością wartości, lecz mężczyzna sprzedał tylko dwie z wielu należących do siebie działek. Za uzyskane pieniądze wznosił osiedle domów jednorodzinnych oraz szeregowców. Stał się naprawdę zamożnym człowiekiem.

Zebrane dane pochodziły z rozmaitych rejestrów, artykułów prasowych oraz wydruków z internetu, więc Deryło starał się pośpiesznie scalać je w jedną historię.

W kilku tekstach dziennikarze oskarżali Semena o pozbawione skrupułów działania w celu wykupienia rozmaitych terenów mających walory przyrodnicze i agroturystyczne. Mężczyzna ponoć posiadał swoich ludzi od zastraszania, nie wahał się uprzykrzać życia wznoszeniem rozmaitych instalacji balansujących na progu zgodności z prawem, a nawet rozpuszczał fałszywe wieści o rzekomych inwestycjach w krematoria, kurze fermy lub cementarze. Wszystko po to, by doprowadzić ludzi do desperacji i nakłonić ich do sprzedaży nieruchomości po zaniżonych cenach.

Nawet jeśli jakiegokolwiek zarzuty się potwierdziły, Semenowi udawało się uniknąć kary. Jego prawnicy bez trudu udowadniali, że albo jego postępowanie nie stanowi przestępstwa, albo że nie ma z nim nic wspólnego. Na wszystko znajdowali się rozmaici świadkowie, w znacznej części obywatele Ukrainy i Białorusi. Jednym z nich był Leopold Mikołajew, ceniony podlaski pisarz, filozof oraz performer. To on tam i siam ręczył za pryncypała słowem człowieka, który zdobył wiele nagród i był poważany w świecie nowoczesnych elit. Co więcej, Mikołajew pomagał w pozyskiwaniu funduszy na cele propagowania kultury. Nikogo nie interesowało, że kultura ta polegała na wzniesieniu osiedla betonowych domów, pośrodku którego wyrosnie drewniana altana służąca rzekomo za teatr. Wystarczyło, że Mikołajew zorganizował w nim pokaz lub jedną ze swoich popapranych instalacji artystycznych.

Mimo to ciągle problemy z prawem oraz rzekome zarzuty ciężące ze strony rodzimej prokuratury sprawiły, że Semen wycofał się z większości biznesów. Sprzedał udziały w firmach, odciał się od ludzi, a nawet rzekomo zasponsorował odbudowę grekokatolickiej cerkwi w Bieszczadach. Jego historia urywała się zupełnie nagle, choć brakowało dokumentów o zgłoszeniu zaginięcia lub poszukiwaniach. Zdawało się, że mężczyzna nie miał nikogo bliskiego i ostatnie miesiące spędzał jako samotnik.

Deryło skończył referować i odłożył dokumenty na biurko. Przetarł oczy, po czym sięgnął do telefonu. Przez ostatnie minuty Haler nie odezwała się ani słowem.

– Jesteś tam?

– Tak, usiłowałam się skupić na twoim belkocie.

– Czytałem całkiem wyraźnie! Staralem się opuścić to, co mało istotne. Poza tym wszystko wskazuje, że ten człowiek to przedsiębiorca z historią podobną do Szewskiego.

– O nie, nie – zaprzeczyła Haler. – W jego przypadku sednem biografii jest coś całkowicie innego.

– Niby co?

– Chciwość. Kolejny z grzechów. Właśnie dlatego facet stracił ręce, którymi sięgał po forszę bez względu na nieszczęście, jakie czynił innym.

– A oczy?

– Chciwość wiąże się z tym, co widzimy. Pragniemy tego i chcemy to zagarnąć. Spoglądamy na to, czego pożądamy, a dopiero później wyciągamy po to dłonie.

Deryło podciągnął mankiety koszuli i poprawił się w fotelu.

– Uważasz, że to maniak religijny? Klasyczny typ mesjasza pragnącego wybawić świat od grzesznych osób?

– Wydaje mi się to całkiem sensowną koncepcją. A to już coś, prawda?

Komisarz kątem oka dostrzegł, że mruga czerwona dioda na jego stacjonarnym telefonie. Stanowczo zakazał sobie przeszkadzać, więc albo dzwonił sam Bicki, albo zdarzyło się coś nadzwyczaj ważnego. Pochylił się w stronę aparatu i zdał sobie sprawę, że mruga dioda przypisana do dyżurki.

– Mam drugie połączenie, zadzwonię do ciebie niedługo, dobrze? Naprawdę jestem ci diabelnie wdzięczny za te wszystkie przemyślenia. – Nie czekając na odpowiedź Tamary, rozłączył się i podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego. – Tak, halo?

– Panie komisarzu, muszę coś panu przekazać. – Posterunkowa Nowak brzmiała iście pogrzebowo. – Proszono mnie o to, więc błagam nie strzelać do posłańca.

61

– Co takiego? – burknął Deryło. – Mów szybko, bo nie mam czasu.

– Dziś rano zgłoszono porwanie, którego, zdaje się, wstępnie nikt nie powiązał z trwającym śledztwem – referowała Nowak.

– Porwanie czy zaginięcie?

– Porwanie, uprowadzenie, ale raczej nie zaginięcie.

– Nie rozumiem. Mamy jakiś list z żądaniem okupu czy co?

Nowak bezradnie westchnęła.

– Nie znam wszystkich szczegółów. Chłopaki przekazali mi tylko, że na miejscu znaleziono wiadomość adresowaną zapewne do pana komisarza.

– Wiadomość? – Deryło sapnął. Zmiał żurawia origami i cisnął nim do kosza. Ptak odbił się od rantu, po czym potoczył po podłodze. – Zanim to z siebie wydusisz, już dawno bym przeczytał pięć raportów.

– Ale w tej sprawie jeszcze nie ma raportu. Nie przekazano mi również treści wiadomości.

Komisarz miał ochotę rąbnąć pięścią w ścianę. Rozmowa z Nowak często przypominała wymianę zdań z robotem. Nie można jej jednak było odmówić sumienności oraz żelaznej logiki.

– Dobrze, wróćmy do najważniejszego. – Deryło starał się opanować. Podniósł się z krzesła i naprężył kabel od telefonu. Dopiero teraz miał namacalny dowód przewagi komórek nad aparatami stacjonarnymi. – Gdzie to się stało?

Nowak podała mu ogólny adres, a po chwili dorzuciła współrzędne satelitarne z GPS-u radiowozu, który przybył na miejsce jako pierwszy.

– Wyślij mi to esemesem. Mój starczy mózg nie jest w stanie pamiętać tak długiego ciągu cyfr, a nie ma przy mnie Tamary.

– Jasne, już się robi.

Deryło odłożył słuchawkę i rzucił się do wyjścia. Współrzędne nie mogły się mu przydać, gdyż nie potrafiłby ich wprowadzić do telefonicznej nawigacji. Citroën oczywiście nie był w nią wyposażony. Pozostawało mu zdać się na ogólnikowy opis Nowak oraz informację, że „to to miejsce przy obwodnicy, gdzie dochodzi do bezeceństw” – dokładnie takiego zwrotu użyła, gdy do niej oddzwonił.

Komisarz rzadko bywał w tamtej okolicy, ale zdawało mu się, że w miarę ją kojarzy. W każdym razie, kiedy rozległ się dźwięk powiadomienia o otrzymanej wiadomości tekstowej, nawet nie sięgnął do kieszeni. Uruchomił silnik zabytkowej furgonetki, dał jej czas na rozgrzanie i rozsmarowanie oleju, po czym zdał się na instynkt. To zazwyczaj wychodziło mu całkiem dobrze.

62

Instynkt nie zawiódł komisarza. Bez problemu trafił na miejsce, które miała na myśli Nowak. Nie potrzebował nigdzie wpisywać współrzędnych geograficznych ani upewniać się, czy jedzie w dobrym kierunku. Gdy tylko zjechał za łuk zakrętu, dostrzegł furgonetkę techników oraz

radiowozy stojące nieco głębiej w lesie.

„Kurwidolek” – taka była nieoficjalna nazwa okolicy jeszcze przed kilku laty. Po przebudowaniu infrastruktury, a przede wszystkim po puszczeniu większości ruchu obwodnicą, ruch w tutejszym stręczycielskim biznesie istotnie zmalał, ale nie zanikł. Niegdyś, właściwie o każdej porze dnia i nocy, przy ulicy wystawały tirówki. Obecnie, aby je ujrzyć, trzeba było się postarać lub znać określone pory ich pracy. Nawet prostytutki prowadziły się wedle przepisów jakiegoś drugoobiegowego kodeksu pracy oraz norm BHP.

Deryło wysiadł z Citroëna i niemal od razu wszedł w kałużę. Cicho zaklął. Otrzepał nogawkę, jeszcze mocniej rozmazując błoto.

– Niech to szlag...

– Wybrał sobie miejsce, co? – Witold Wilczur w kombinezonie ochronnym, ale ze zdjętym kapturem stanął tuż obok niego. – Niby bez problemu trafiliśmy na ślady traseologiczne, ale wszystko wskazuje, że używał worków na buty.

– On? Mówisz o nim w męskiej formie.

– Chodzi mi o sprawcę jako takiego. Forma „sprawczyjni” brzmi do dupy.

– Ale będziecie w stanie oszacować rozmiar jego stopy? Sposób poruszania się albo coś?

– Ciężka sprawa. Przez grząskość podłoża oraz to coś, co miał lub miała na butach, trudno cokolwiek stwierdzić z całą pewnością.

Komisarz westchnął. Powiódl wzrokiem po gęstym lesie, wąskim, zwirowym poboczu i zatrzymał spojrzenie na pordzewiałej furgonetce.

– To wasz nowy wóz czy... – Skinął głową i zwrócił się do Wilczura: – Co to za złom?

– Tym przyjechał facet, który chciał sobie pobaraszkować.

– Zaraz, zaraz. Czyli sprawca nie jest kochasem, który wziął sobie panienkę i z nią prysnął?

– Nie. Kochaś jest świadkiem, dzięki któremu wiemy, że doszło do porwania. Wszystkie koleżaneczki porwanejabrały wody w usta i oczywiście niczego nie widziały.

Deryło zmarszczył czoło i założył ręce za plecy.

– Na pewno ten facet nie kręci i nie stara się zamaskować tego, co zrobił? Może w trakcie baraszkowania zbyt długo podduszał panienkę albo uznał, że fajnym fetyszem będzie poderznąć jej gardło?

– Nie znalazłem na to żadnych dowodów. A reszta to pańska brocha.

Komisarz z rezygnacją pokiwał głową i ruszył w stronę furgonetki. Zatrzymał się w pół kroku.

– Mogę tam iść?

– Byle nie wchodzić do pojazdu, wszystko wokół jest zabezpieczone. No i proszę nie przechodzić przez taśmy.

Deryło dopiero teraz dostrzegł dwie taśmy rozciągnięte przy furgonetce. Uznał, że nie ma sensu brnąć w jej stronę. To Tamara potrafiła doskonale odtworzyć przebieg wydarzeń na podstawie rozmaitych śladów dostrzeżonych na miejscu. On działał całkowicie inaczej. Wiedział, że ślady przeanalizują technicy, a wyczerpujące raporty lada godzina trafią na jego biurko.

– Gdzie jest kochaś?

Wilczur wskazał na policyjny furgon zaparkowany w zatoczce.

– Niedawno go opatrzone, ale nie chciał jechać do szpitala. Spacyfikowano go jakimś środkiem, który swoją drogą warto by sprawdzić. Niestety nie możemy go do tego zmusić.

– Ważne, by mówił.

– Nie sądzę, by miał wiele do powiedzenia.

– To się zaraz okaże. Wszystko zależy od odpowiedniej mobilizacji.

Deryło wściekłym krokiem ruszył w stronę furgonu.

– Weźmiecie go do komendy i porządnie przewalkujecie – powiedział komisarz szybko

i głośno do jednego z przybyłych na miejsce aspirantów. – Dwadzieścia cztery lub, jeśli się będzie opierał, siedemdziesiąt dwie godziny aresztu. Przy miejscu porwania jest całe mnóstwo jego śladów, więc raczej nie będzie z tym problemu. Może nawet zostanie w ciupie na dobre.

– Co takiego? Przecież ja jestem cholerną ofiarą!

Deryło odwrócił się i spojrzał na krępego, smagłego mężczyznę o rzadkich, ciemnych włosach.

– Ofiarą? A te wszystkie ślady, jakie zabezpieczyli technicy?

– Jakie ślady?

– No twoje odciski palców, butów, twój smród i lupież. Były wszędzie.

– To moja cholerna furgonetka. Jak może nie być w niej moich śladów?

– Są też ślady dziewczyny.

– Bo ją wziąłem. Zawsze, gdy tędy przejeżdżam, biorę jedną.

– Bierzesz?

– Oplacam...

– A więc masz rozeznanie w tym miejscu?

– Bywam tu raz na kilka miesięcy. To nie przestępstwo.

– Zależy, jak na to patrzeć, skarbowo, kryminalnie, etycznie... – Deryło zerknął na obrączkę na palcu mężczyzny. – Żona wie? Chyba powinniśmy ją przesłuchać w tym temacie.

– To niezgodne z prawem! Powinniście właśnie szukać tej dziewczyny!

– Szukamy, szukamy. A co się tak pan o nią martwi? Imię i nazwisko.

– Nie znałem jej.

– Chodzi mi o pańskie.

– Artur Sambor, panie oficerze...

– Komisarzu Deryło.

– Napiszę na pana skargę.

– Proszę bardzo. Tworzę z nich księgę pamiątkową i brakuje mi między innymi wpisu od dziwkarza. Zamówię ramki.

Sambor poderwał się z paki policyjnego wozu, jakby chciał doskoczyć do komisarza. Jeden z aspirantów przytrzymał go za ramię.

– Dobrze, najpierw sobie dziarsko potańcujemy, a potem skontaktuję się z pańską żoną – ciągnął niewzruszony Deryło.

– Nie ma pan prawa.

– Ależ mam.

– Proszę... To niepotrzebne. Odpowiedziałem na wszystkie pytania, poza tym niczego nie pamiętam. Dziewczyna wsiadła do auta, zjechaliśmy na pobocze i wtedy ktoś mnie zaatakował.

– Zaatakował? Z tyłu?

– Nie. Otworzył drzwi i wyciągnął mnie na zewnątrz.

– To potwierdzają ślady, które... – wtrącił jeden z aspirantów, lecz natychmiast umilkł, spiorunowany wzrokiem komisarza.

– Proszę... – zaskomlał Sambor.

– Jeśli się pan podda pełnemu badaniu lekarskiemu, rozważę łagodniejsze traktowanie.

Muszę wiedzieć, czym pana spacyfikowano.

Mężczyzna przez chwilę coś rozważał, wreszcie skinął głową. Deryło natychmiast wyskoczył z paki na zewnątrz.

– Okej, wieźcie go do szpitala. – Nie odwracając się, ruszył w stronę pojazdu techników. – A teraz pokażcie mi tę wiadomość. Ponoć sprawca miał mi coś do powiedzenia?

Momentalnie pojawił się przy nim jeden z techników. W dłoni trzymał woreczek na dowody, w którym tkwiła sztywna karteczka. Bez słowa mu go podał. Deryło odgarnął folię i zaintrygowany zaczął czytać.

Czy myśli pan, komisarzu Deryło, że jest choć o krok bliżej mnie? A może nie ma już potrzeby mnie ścigać? Przecież pan sam ocenia dobro i zło i pragnie, by zginęło, prawda? Bez znaczenia, czyimi zostanie zamordowane rękoma.

Deryło dwukrotnie przeczytał wydrukowaną na kartce wiadomość i zrobił telefonem jej zdjęcie. Nie tylko umysł Halera zawodził. Przed dwoma, trzema laty nie miałby wątpliwości, że te kilka zdań utkwili głęboko w jego mózgu. Choć może wszystko bazowało na łatwości, z jaką można było przechować każdą rzecz na zewnętrznym dysku. Łatwość ta rozleniwiała oraz stanowiła dogodne usprawiedliwienie dla umysłowego lenistwa. Lub dla obaw o stan własnej pamięci.

– Co pan o tym sądzi? – Technik wziął od komisarza foliowy woreczek. – Widzi pan w tym jakiegokolwiek drugie dno? Jakiegokolwiek sens?

Nie, nie widział. Nie uważał również, aby był choćby o krok bliżej ujęcia tego zwyrodnialca niż dzień czy dwa wcześniej. Nie spodziewał się, aby mogła go do tego przybliżyć przeczytana wiadomość, papier, z jakiego wykonano kartonik, lub rodzaj użytego atramentu. Nie uważał tym bardziej, żeby nie miał potrzeby ścigać kogoś, kto zabił co najmniej cztery osoby. O ile ten ktoś w ogóle żył.

– Nie oceniam dobra i zła – wycedził na głos, spoglądając prosto w oczy technika. – Nie uważam, bym miał do tego prawo.

– Nie musi mi się pan tłumaczyć. Ja przeczytałem to tylko z zawodowej ciekawości.

– Po prostu mówię.

Deryło, wiedziony jakimś wewnętrznym impulsem, zawrócił do policyjnego furgonu. Boczne drzwi wciąż były otwarte, choć Artur Sambor już siedział z zapiętymi pasami. Za kierownicą ulokował się jeden z aspirantów. Szykował się do odjazdu, gdy komisarz machnął do niego ręką.

– Czekać!

Nachylił się ku Samborowi i wycelował w niego palcem. Śniady mężczyzna spojrzał na niego z przestraszeniem.

– Powiedziałeś, że regularnie korzystałeś z usług prostytutek – odezwał się komisarz, jak mu się to często zdarzało, nieświadomie przechodząc z rozmówcami na ty. – Czy korzystałeś już z usług tej konkretnej?

– Bywam tu dość rzadko. Rozwożę towar po całej Polsce, ale akurat tędy przejeżdżam tylko w drodze na Podkarpacie.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Sambor pokręcił głową.

– Z tą nie miałem przyjemności spotkać się nigdy wcześniej. – Przez moment mierzył się z Deryłą wzrokiem, jakby rozważał, czy powinien powiedzieć coś jeszcze. Wreszcie nerwowo obliznął usta i przeniósł wzrok gdzieś za komisarza. – Jeden z moich kolegów doniósł mi, że w okolicy ma się pojawić nowa dziewczyna. Nie wiem, skąd o tym wiedział, ale wspomniał, że to jakaś skrzywdzona przez życie zdesperowana enzedka.

– Enzedka?

– Niezawodowa dziwka.

Deryło ze zdziwieniem uniósł brwi. Tego skrótu jeszcze nie znał.

– Co to za kolega?

– Kierowca tira, ale on... On po prostu ma rozmaite układy, jak to chłopaki z wielokołowców.

– Imię i nazwisko.

– Proszę tylko nie mówić, że to ja je podałem.

– Powtarzam, imię i nazwisko.

Sambor podał imię oraz nazwisko kierowcy, a Deryło, nawet nie starając się ich zapamiętać, nakazał ich zweryfikowanie aspirantowi.

– W komendzie natychmiast was ze mną połączą lub będą wiedzieli, przez kogo przekazać informacje – dodał, odchodząc. – Proszę pamiętać, że to równie pilne jak wyniki badań tego

kochasia.

Po kilku krokach komisarz wyciągnął telefon i wybrał numer Haler. Jej przypuszczenia okazały się znacznie trafniejsze, niż się spodziewał.

65

– Chodzi o cudzołóstwo – tryumfalnie oznajmił komisarz. – Katalog się poszerza i zaczyna wyczerpywać, choć korzystamy zarówno z puli grzechów głównych, jak i z dekalogu.

– Inspiracji mu nie zabraknie – ponuro skwitowała Haler.

– W każdym razie miałaś rację.

– Ani trochę mnie to nie cieszy.

– Przynajmniej analizując sposób działania tego sukinsyna, możemy przenieść to na grunt motywacji. – Deryło powiódł wzrokiem za policyjnym furgonem, w którym odjechał Sambor. Podszedł do Citroëna i oparł się plecami o jego bok. – Zazwyczaj wychodziło ci to perfekcyjnie.

– Mhm.

– Co znaczy „mhm”? Mówię całkiem poważnie. Mogłabyś teraz to wszystko przemyśleć, przesłałbym ci dowolne materiały i może wtedy udałoby się stworzyć jakiś konkretny portret sprawcy.

– Mhm.

– Tamaro?

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Dopiero po kilku sekundach Haler ciężko wypuściła powietrze i odkaszlnęła.

– Masz swoich profilerów, jest też ten z Gdańska... Jak mu tam? Rembert?

– Owszem, byłaś o niego zazdrosna jak o kochankę.

– Wtedy gdy sama czułam się na silach wejść w umysł każdego dowolnego przestępcy.

– Ale teraz... Przecież nie jest źle.

– O niczym nie wiesz! – Wybuch Tamary zaskoczył Deryłę, który aż ściszył głośność telefonu. – Od dwóch godzin mam taką telepawkę, że ledwo trzymam komórkę. Gdy zadzwoniłeś, przez minutę zastanawiałam się, kim jest telefonujący do mnie Eryk, aż powiązałam twoje imię i nazwisko z twarzą. Poza tym...

Haler ponownie zamilkła.

– Poza tym co? – Komisarz usilnie maskował zmartwienie.

– Nie mam pojęcia. – Tamara nerwowo zachichotała. – Czy to nie zabawne? W takim momencie kompletnie zgubiłam wątek, choć wiem, że przed chwilą chyba właśnie na to utyskiwałam.

– To się zdarza każdemu.

– Marny z ciebie pocieszacz. Zresztą mam to w dupie.

Deryło zagryzł usta i się zasepił. Wciąż się ludził, że z Haler wcale nie jest tak źle, jak podpowiadała mu podświadomość. Wiedział, że podkomisarz jest twarda i zapewne nie ma pojęcia o ogromnej większości jej dolegliwości oraz objawów choroby. Oszukiwał sam siebie, bo tak było najwygodniej. Gdy nie mówiło się o problemach, sprawiało się, że przynajmniej w jakimś wymiarze one nie istniały. Tak to miało działać.

– Czy mogę ci jakoś...

Nim zdołał dokończyć, Haler się rozłączyła. Przez chwilę stał z telefonem przy uchu i spoglądał w stronę techników uwijających się przy pojeździe Sambora. Wreszcie drgnął, po czym machnął na pożegnanie do Wilczura. Wsiadł do szoferki Citroëna. W oczach zebrały mu się łzy. Bezradność nie tylko w starciu ze zbrodniarzem, ale przede wszystkim ze zbrodniczą chorobą przyjaciółki przyprawiała go o szaleństwo. W furii kilkakrotnie uderzył pięścią w kierownicę. Niewiele brakowało, by wyrwał cały blok.

– Szlag by to!

Z impetem trzasnęła drzwiami i przekręcił kluczyk. W momencie, gdy miał wrzucić bieg, rozległ się dzwonek jego telefonu. Haler. Musiała zebrać się w sobie i oddzwonić. Wiedziony tą

myślą natychmiast odebrał i przytknął aparat do ucha.

– Mogę za moment się u ciebie pojawić! – zapewnił z determinacją. – To tylko...

Przerwał, słysząc dziwny stłumiony syk.

– Obawiam się, że to niemożliwe, komisarzu – odezwał się zmodyfikowany, tubalny głos.

66

Deryło wypadł z Citroëna jak oparzony. Biegiem popędził w stronę techników i zaczął wymachiwać rękoma. Wskazywał na trzymany przy uchu telefon, na pojazd Sambora, aż wreszcie Wilczur pojął, o co mu chodzi.

– Namierzyć połączenie? – zapytał szeptem.

Komisarz jedynie skinął głową.

– Dlaczego to wszystko? Dlaczego zabiłeś tych ludzi? – zapytał, siląc się na hardy ton. – Powinieneś się zgłosić na policję i negocjować z prokuraturą. Masz jeszcze szansę na...

– Niech pan przestanie – przerwał mu zmodyfikowany głos. – Doskonale wiemy, że nie mam na nic szansy. Czeka mnie dożywocie, ukrywanie się lub śmierć. Choć właściwie śmierć czeka mnie bez względu na rozwój wydarzeń. Jak zresztą każdego z nas.

– Dobro i zło, co? – zagadnął Deryło.

– Może. Może właśnie o to w tym chodzi.

– Jedynie może? A katalog grzechów? Opilstwo, obżarstwo, cudzołóstwo...

Z głośnika dobiegło sapnięcie.

– Nieźle, panie komisarzu. Naprawdę, nieźle. Czyżby zostało rozgryzione moje... Jak to nazywacie? *Modus operandi*?

– Tak. Zastanawiam się tylko: dlaczego? Ci ludzie szkodzą jedynie samym sobie.

– Owszem, i czy to zwalnia ich z odpowiedzialności? Czy to pozwala grzeszyć? Zło nie może istnieć bez istnienia kogoś, kto stwierdzi, że ma ono miejsce. Ale grzech ma nad nim tę przewagę, że do jego popelnienia wystarczy istnienie Boga.

Deryło ściągnął brwi i skupił się na tym wywodzie. Był on znacznie głębszy, niż się na pozór wydawało. Dotyczył zagadnień, którymi niegdyś się interesował, a nawet które kompulsywnie zgłębiał. Subiektywność dobra oraz zła, teodycea, indywidualna moralność. To nie były frazesy rzucone przez laika.

Spojrzał na techników, którzy właśnie umieścili obok niego niewielki laptop. Pośpiesznie połączyli go z komórką komisarza przewodem przypominającym ładowarkę. Wilczur skinął, dając mu do zrozumienia, że namierzanie jest w toku.

– Zło istnieje tylko wtedy, gdy ktoś ocenia dane zachowanie jako złe. – Komisarz mówił jedynie po to, by zyskać na czasie. – Gdyby Trzecia Rzesza wygrała wojnę, eksterminacja Żydów uchodziłaby za działanie pożądane, a nawet moralnie dobre.

– Moralność jest niczym życie, prawda? Albo jak dupa. – Rozmówca Deryły parsknął. – Każdy ma swoją.

– Powiedz, czego chcesz. I powiedz, gdzie jest ta dziewczyna.

– Dziewczyna?

– Uprowadziłeś ją z furgonetki.

– Aaa... Ta nędzna cudzołożnica! Owszem, chyba wiem, o kim pan mówi, komisarzu. Ostatnio przez moje ręce przewinęło się sporo osób.

Z głośnika dobyło się kolejne parsknięcie. Deryło zerknął na Wilczura, lecz ten raz po raz wstukiwał do laptopa rozmaite komendy. Nie wyglądał na zadowolonego z rezultatów dotychczasowej pracy. Obok niego kuczał technik, którego komisarz kojarzył z laboratorium. Zapewne żaden z nich nie był wytrawnym specjalistą w namierzaniu i tylko cud sprawił, że mieli przy sobie odpowiednią aparaturę. Jednak nawet najnowocześniejszy sprzęt był bezużyteczny, jeśli nie znajdował się przy nim ktoś potrafiący go profesjonalnie obsłużyć. A niestety w promieniu setek metrów nie było tu nikogo choćby umywającego się do wirtuozerii ViSira.

– Masz jeszcze szansę ją uwolnić. Jak ona ma na imię?

Komisarz starał się zastosować dwie typowe sztuczki psychologiczne. Po pierwsze, mówiąc o szansie uwolnienia, starał się dowiedzieć, czy porwana kobieta wciąż żyje. Po drugie, prosząc o podanie jej imienia, miał na względzie, by porywacz dostrzegł w niej jednostkę oraz indywidualną osobowość, a nie jedynie anonimową ofiarę.

– Niech pan da spokój, komisarzu. To nic nie da.

– Nie rozumiem.

Rozmówca wypuścił w słuchawkę powietrze.

– Wiem, że usiłujecie mnie namierzyć, ale choć nie jestem mistrzem informatyki, zabezpieczyłem się prostym programem. Poza tym rozmawiam z telefonu mojej paniusi, do tego bardzo daleko od miejsca, gdzie ona przebywa.

– Przebywa?

– Chwyta się pan każdej nadziei, co? Za równe trzy godziny uzyska pan nowe informacje.

Proszę czekać na telefon.

Po tych słowach połączenie zostało przerwane.

67

Kryminalistykom nie udało się namierzyć połączenia, a powiadomiony o wszystkim ViSir zastrzegł, że na zbadanie sprawy będzie potrzebował co najmniej godziny. Obiecał natychmiast zabrać się do roboty.

Deryło był wściekły. Kilkukrotnie gniewnym krokiem obszedł Citroëna, wreszcie wsiadł do środka i założył ręce za głowę. Miał ochotę krzyczeć. Miał ochotę wściekać się i zniszczyć wszystko, co popadnie. Mimo to powoli się opanowywał. Nie pozwolił również, by jego myśli skierowały się teraz ku Haler. Martwił się o nią, tęsknił za nią, ale wiedział, że nie może jej teraz pomóc. Był potrzebny gdzieś indziej i komu innemu.

Nie zdał sobie nawet sprawy, kiedy uruchomił silnik i wyjechał zabytkowym wozem na główną drogę. Uświadomił to sobie dopiero, gdy ktoś jadący z tyłu ponaglił go trąbieniem. Rzeczywiście kręta, jednopasmową ulicą włókł się niespełna trzydzieści kilometrów na godzinę. Natychmiast przyśpieszył i zaczął wypatrywać znaków drogowych. Po chwili zorientował się, gdzie mniej więcej się znajduje, po czym obrał kierunek w stronę Lublina.

Uważnie obserwując otoczenie, wybrał numer do doktor Witner. Włączył tryb głośnomówiący i położył telefon na udo.

– Halo? Słyszysz mnie pani? – Musiał krzyczeć, aby zagłuszyć rżenie silnika. – Pani doktor?

– Tak. Niezbyt wyraźnie, ale słyszę pana, komisarzu.

– Potrzebuję pomocy.

– Co mogę dla pana zrobić?

Deryło mlasnął. Właściwie nie do końca wiedział, czego oczekiwał od Witner. Pytanie powoli krystalizowało się w jego głowie, lecz nie przybrało jeszcze realnych kształtów.

– Zastanawiam się nad skrajną religijnością – wymamrotał, porządkując myśli. – Czy miała pani do czynienia z pacjentami zaburzonymi na punkcie wiary? Nie chodzi mi teraz o nikogo konkretnego, ale ogólnie.

Lekarka odpowiedziała bez chwili zastanowienia.

– Te, jak to pan określił, zaburzenia mogą mieć związek z różnymi chorobami, syndromami i deficytami. Zadaje pan bardzo szerokie pytanie.

– Mam na myśli osoby bardzo mocno odklejone od rzeczywistości. Nie wiem, jakiej nowomowy używacie w swoim języku, ale chodzi mi o... Sama pani wie.

– Kogoś, kto mógłby zabić?

– Na przykład.

– A więc przechodzimy do konkretów, tak? To już nie jest pytanie ogólne.

– Owszem, potrzebuję nazwisk. Wręcz o nie błagam.

Tym razem Witner przez chwilę się zastanawiała. Deryło nawet uznał, że mógł stracić zasięg, ale gdy tylko podświetlił ekran komórki, zobaczył, że połączenie trwa.

– Pani doktor?
– Na tak postawione pytanie muszę odpowiedzieć przecząco. Nie miałam kontaktu z nikim zdolnym do popełniania zbrodni z powodów religijnych.
– A jednak wahała się pani nad odpowiedzią.
– Staralam się przemyśleć kilka przypadków. Żaden z nich nie wykraczał jednak poza ogólnie przyjęte standardy. Rozumie pan, o czym mówię?
– Chyba tak. – Deryło westchnął. – No cóż...

Witner weszła mu w zdanie.

– Żaden z moich pacjentów nie przekroczyłby pewnej granicy, ale nie wiadomo, co by zrobili na przykład pod wpływem takiego Rauera.

– Przepraszam, kogo?

– Klemensa Rauera. Nie słyszał pan o nim? To ten pochrzaniony kaznodzieja, który nawoływał do oczyszczenia ziemi i za którego namową popełnionych zostało kilka samobójstw. Ciekawy przypadek z punktu widzenia psychologii, powstało o nim nawet kilka niezłych opracowań. – Lekarka była wyraźnie zdumiona, że komisarz mógł nie znać tak intrygującego obiektu badań. – Czytałam o nim dosłownie przed tygodniem lub nieco dawniej. Rauer wyszedł z więzienia i zapewniał, że przeżył duchową przemianę. Nadal jednak miał plan głoszenia Słowa Bożego, oczywiście w swojej interpretacji.

Deryło wychwycił jedynie słowa klucze. Pośpiesznie podziękował lekarce i połączył się z Brzeskim. Pokrótce przedstawił mu najnowsze odkrycie.

– Dlaczego nic mi o tym nie wiadomo? – warknął, wjeżdżając na rogatki Lublina. – Dlaczego teczka tego sekciarza nie leży na moim biurku?

Aspirant cierpliwie znosił pełen wyrzutów, obcesowy ton Deryły. Wysłuchawszy całej tyrady, odezwał się spokojnym głosem:

– Niedawno trafiłem na informacje o tym, pożałuj Boże, ojcu Rauerze. Usiłowałem się z panem skontaktować, ale wciąż miał pan zajętą linię. Dokumenty od paru godzin czekają w pańskim gabinecie...

68

Deryło wpadł do budynku komendy i błyskawicznie pokonywał kolejne piętra. Z minimalną zadyszką wkroczył wreszcie na korytarz swojego wydziału. Zatrzymał się przed automatem, ale miał już przygotowane monety. Wziął podwójne espresso, po czym gwałtownie się odwrócił. O mały włos, a zderzyłby się z niedawno przeniesioną do pionu kryminalnego panią aspirant. Jeszcze nie miał okazji pracować z nią nad wspólną sprawą i nawet nie pamiętał jej imienia. Mimo to uśmiechnął się do niej, po czym bąknął niewyraźne słowa powitania.

Kobieta również odpowiedziała uśmiechem. Miała pociągłą, bladą twarz i rude włosy. Jej niebieskie oczy rzuciły przenikliwe, świdrujące spojrzenie.

– Dorzuciłam jeszcze kilka wydruków – odezwała się, odwracając wzrok.

– Co takiego?

– Tak jak prosił aspirant Brzeski. Wyszukałam dalsze informacje o Rauerze, ponoć osobiście pan o nie zabiegał. Macie tu niezły bajzel.

Deryło zmarszczył czoło i upił łyk kawy. Wreszcie kiwnął głową, po czym skierował się do gabinetu. Najwyraźniej Brzeski wyręczał się koleżanką, o ile nie było to przesłanką do rozpoczęcia flirtu. Aspirant, mimo że miał żonę, której był całkowicie wierny, słynął z zamiłowania do przesadnej kokieterii.

– Dzięki. – Komisarz cicho parsknął.

– Nie ma sprawy. Polecam się na przyszłość. Odwalanie nudnej roboty to mój konik, po to poszłam do policji. Ambicje, ideały, zasady...

Deryło odwrócił się, zaskoczony tą tyradą, ale kobieta, stukocząc niskimi obcasami, już znikła za załomem korytarza. Nieco skonfundowany pchnął drzwi gabinetu, po czym skierował się do biurka. Znalazł na nim stos wydrukowanych raportów, dokumentów oraz artykułów. Ciężko

zwalił się na fotel i zaczął je przeglądać.

Klemens Rauer nie był typowym religijnym fanatykiem. Faktycznie prowadził swoiste wykłady własnej interpretacji Pisma Świętego, uczęszczał na teologię na KUL-u, a do tego deklarował się jako żarliwy katolik, ale badania neurologiczne oraz psychiatryczne pokazywały drugie dno jego osobowości.

Mężczyzna miał zdiagnozowany nowotwór mózgu. Szczegóły medyczne niewiele Deryle mówiły, ale z tego, co rozumiał, była to zmiana rozwijająca się bardzo wolno, lecz całkowicie nieoperacyjna. To właśnie ona mogła odpowiadać za głosy, które słyszał Rauer. Dwóch psychiatrów postawiło całkowicie odmienne diagnozy, jednak faktem było, że mężczyzna żyje we własnym świecie. Co ciekawe, uznano, że choroba nie miała wpływu na jego poczytalność w chwili popełniania czynów, za które został skazany.

Komisarz pośpiesznie przerzucił kilka kartek, by dotrzeć do sentencji wyroku. Pobieźnie odczytał podstawy prawne, ale te wydały mu się na tyle zagmatwane, że pochylił się nad uzasadnieniem. W dość prostych słowach wyjaśniono, że Rauer podzegał do ukarania pewnego małżeństwa, które prowadziło kampanię proaborcyjną. Nie mówił jednak explicite o zabójstwie. Mimo to grupa jego zagorzałych entuzjastów przesadziła w okładaniu ofiar specjalnie przygotowanymi powrozami. Lincz odbył się w biały dzień na jednym z lubelskich osiedli i Deryło pamiętał sprawę z relacji prasowych. Rauera oskarżono ponadto o nakłanianie do samobójstwa oraz pomoc przy eutanazji. Nikt nie zwracał uwagi na niespójność motywacji mężczyzny, a obrona nie zdołała przeforsować tezy o jego niepoczytalności.

– „W głowie słyszał wściekle głosy” – komisarz odczytał nagłówek jednej z gazet. Odłożył ją i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Połączył się z gabinetem Brzeskiego, ale aspirant nie odebrał. Wobec tego Deryło odłożył słuchawkę na bazę i zaraz podniósł ją ponownie. Tym razem wybrał numer terrarium ViSira. Informatyk zgłosił się niemal natychmiast.

– Przeczytał pan te dokumenty? Niezły świr, no nie?

– Jest u ciebie Brzeski?

– Przed chwilą był, ale poszedł omawiać coś z jakąś nową aspirant.

Deryło westchnął.

– Będę chciał porozmawiać z tym Rauerem i miałem nadzieję, że Brzeski ustalił, gdzie on przebywa.

– Z tego, co wiem, z tym jest pewien problem. Facet nie ma stałego miejsca zamieszkania ani pobytu. Przed aresztowaniem prowadził życie kloszarda i zapewne dalej się tego trzyma.

– Cholera. W takim razie opracuj mi jego podobiznę, żebyśmy...

ViSir wszedł Deryle w zdanie.

– To może nie będzie potrzebne, komisarzu. Chyba wiem, gdzie był kilka minut temu.

69

ViSir od pół godziny przeglądał informacje dotyczące Klemensa Rauera. Strony internetowe, wiadomości, wpisy na blogach, a nawet zdjęcia na Instagramie. Robił to mechanicznie, wiedziony jakimś głębokim wewnętrznym niepokojem. Od kilku dni był dziwnie pobudzony. Choć nikomu by się do tego nie przyznał, ale głęboko tęsknił za Tamarą Haler. Podkomisarz kilkukrotnie odrzucała jego końskie zaloty, lecz traktowała go naprawdę po przyjacielsku. Była jedną z nielicznych osób, przed którymi potrafił się otworzyć. Zazwyczaj tkwiący wyłącznie w świecie kodowania, w alternatywnej wirtualnej rzeczywistości sieci oraz programowania znajdował z nią wspólne tematy. Oczywiście nie było w tym nic istotnego, ich rozmów nie można by nawet nazwać flirtem, ale po prostu czuł się przy niej dobrze. A teraz Tamara niemal całkowicie zniknęła z jego życia.

Informatyk wiedział o jej problemach ze zdrowiem oraz o chęci porzucenia pracy w policji. Udało mu się nawet włamać do jej dokumentacji medycznej, ale przeczytał tylko pierwsze informacje. Nagle poczuł się bardzo niekomfortowo, jakby podglądał Haler przez dziurkę od

klucza. Postanowił nie zgłębiać tematu, ale przy okazji zapytać się jej, w jaki sposób mógł jej pomóc. Okazja nie nadchodziła.

Kilkukrotnie ViSir miał zamiar zadzwonić pod prywatny numer podkomisarz i udać, że o niczym nie wie. Pogadać ot tak, na całkowicie neutralne tematy, a potem się pożegnać. Albo zaproponować wypad do baru. Wielokrotnie fantazjował o wspólnym spędzeniu czasu przy kuflu piwa. Siedząc tylko we dwójkę, jak para w ciemnym kącie lokalu. Szepcząc do siebie i od czasu do czasu wybuchając głośnym śmiechem. Chyba potrafiłby ją rozweselić? W przeszłości udawało mu się to wiele razy.

Mimo to zawsze, gdy sięgał po telefon, by wybrać jej numer, wpadał w panikę. Bał się, choć nie wiedział czego. Odrzucenia? Prawdy? Tego, że Haler powie mu po prostu, by się od niej odpieprzył? Żeby jej nie nękał?

O nie. Z pewnością nie usłyszałby niczego takiego z jej ust. Choć bywała opryskliwa i dosadna, nigdy nie była okrutna. Nawet wymieniając z nim uszczypliwości, nie przekraczała pewnej linii, którą przekraczał niemal każdy inny. O tak. Powinien do niej zadzwonić. Tylko nie teraz, nie w godzinach pracy. Najlepiej wczesnym wieczorem, kiedy jest do tego lepszy nastrój. Znowu szukał wymówek, ale jednocześnie uznał, że to już zostało postanowione. Wieczorem wybierze numer Tamary, choćby miała wylać na niego całe wiadro pomyj. Przynajmniej usłyszy jej głos.

Tymczasem skupił się na pracy. Od bloga do bloga, od wpisu do wpisu, trafił na internetowy kanał o prowadzeniu zdrowego życia, o właściwym odżywianiu oraz panowaniu nad emocjami. Ku niemałemu zdziwieniu zdał sobie sprawę, że prowadził go nie kto inny, a właśnie Klemens Rauer. Nagrania rozpoczął już z więzienia, co rzekomo stanowiło istotny element procesu jego resocjalizacji. Nie miał zbyt wielu odbiorców, lecz ci, którzy oglądali transmisje, licznie je komentowali. Ostatnia z relacji, prowadzona na żywo, zakończyła się zaledwie przed kilkoma minutami. ViSir odtworzył ją i pobieżnie przejrzał trwający niemal pół godziny materiał. Rauer tłumaczył w nim, jak się powinno oddychać oraz na czym najlepiej skupiać myśli, by odpocząć. Do tego opowiadał rozmaite bzdury o wędrówce energii po ciele i o otwieraniu czakr. Jednak nie to zainteresowało informatyka. Znacznie ciekawsze jak zwykle było tło. A co do niego nie miał żadnych wątpliwości. Doskonale wiedział, gdzie się znajdował Rauer.

70

Deryło pędził do auta. Nie miał czasu na organizowanie brygad uderzeniowych ani na tłumaczenie się Bickiemu z czegokolwiek. Jego działanie było oparte na zbyt wielu mglistych przesłankach, półdowodach oraz przeczuciu, by mogło zostać właściwie uzasadnione w raporcie. Poza tym nie zawsze istniała ku temu potrzeba. Dawniej mniej zwracało się uwagi na procedury, a mimo to rozmaite czynności śledcze kończyły się pełnym sukcesem. Co więcej, sukces ten często odnoszono znacznie szybciej niż w obecnych czasach wypełnionych formalnościami oraz przepisami. Magdalenka nie stanowiła cezurę jedynie pozytywnych zmian. Skostniałość procedur niejednokrotnie bywała przeszkodą.

– Kazalem chłopakom dzwonić, gdy tylko cokolwiek namierzą. – Deryło rzucił Brzeskiemu kluczyki do nieoznakowanego bmw. – Tam jest mnóstwo kamer.

– Kopnął mnie zaszczyt prowadzenia?

– Nie dam rady gadać i kierować tą rakieta. A moja komórka nigdy nie chce się połączyć z ich systemem.

– Wypadaloby przejść do epoki telefonów z dotykowym ekranem oraz Bluetoothem.

– O czym ty do mnie mówisz?

Brzeski wymownie westchnął i wszedł do czekającego na parkingu auta. Po chwili Deryło ulokował się u jego boku.

– Dokąd jedziemy?

– Pod park Saski. Dwanaście minut temu Rauer zakończył transmisję z altanki.

– Romantyczne miejsce.

– I romantyczny temat. „Zdrowe odżywianie, długie życie”.

Brzeski uruchomił silnik i nerwowo parsknął.

– Biorąc pod uwagę, że zabójca nakarmił ofiarę betonem, można się silić na dostrzeżenie podobieństwa zainteresowań.

– Pamiętaj, że to tylko domysły. Nie możemy faceta spłoszyć ani zbyt przeczolgać.

– To pan jest specjalistą w obu tych sprawach.

Gdy bmw z ogromną prędkością wypadło na ulicę, Deryło zaparł się nogami o podłogę. Brzeski miał zapędy rajdowego kierowcy i kiedy tylko dostał szansę prowadzenia radiowożu, cieszył się jak dziecko. I tym razem na jego twarzy pojawił się niemal ekstatyczny uśmiech.

W momencie, gdy znaleźli się na dwupasmówce, komisarz poczuł w kieszeni wibrację. Ryk silnika oraz stroboskopów był tak głośny, że tłumiał dźwięk dzwonka.

– Halo?

– Przejrzelśmy monitoring – odezwał się męski głos. – Śledzimy go zresztą na bieżąco, ale ostatni sygnał mamy sprzed dwóch minut.

– Mów.

– Poszukiwany wszedł do auta wynajmowanego na minuty, które było zaparkowane przy wyjściu z ogrodu Saskiego na ulicę Długosza.

– W zatoczce przy tym nowym apartamentowcu?

– Zgadza się.

Deryło półszepcem wskazał Brzeskiemu, dokąd ma się kierować, po czym ponownie przytknął telefon do ucha.

– I potem cisza?

– Kamery obejmują obszar do skrzyżowania z Raclawickimi oraz... – Mężczyzna odchrząknął. – Mamy go. Rejestracja pojazdu została sczytana przy placu Litewskim. Facet jedzie w dół Trzeciego Maja.

– Jesteśmy niedaleko. Możecie go jakoś monitorować?

– Przelączamy na następną kamerę.

Komisarz po raz kolejny przekazał Brzeskiemu namiary oraz na migi pokazywał, którądy powinien jechać. Niespełna minutę później znaleźli się w pobliżu następnego skrzyżowania.

– Patrz! – Wskazał na jadącego fordą z oznaczeniami lubelskiej firmy wynajmującej auta na minuty. Wychylił się i mrużąc oczy, odczytał numer rejestracyjny.

– Tak, to on – potwierdził jego rozmówca.

– Jazda, zatrzymaj go.

Brzeski był w swoim żywiole. Przeciął skrzyżowanie, zawrócił, jadąc kilkadziesiąt metrów pod prąd, wreszcie agresywnie zajechał drogę białemu fordowi.

– Mieliliśmy go nie płoszyć – zagadnął, wysiadając z auta.

– Naprawdę coś takiego mówiłem?

Deryło chwycił pistolet i ruszył ku fordowi z drugiej strony.

– Jazda! Wylaż z samochodu! Wylącz silnik!

71

– Wylącz silnik! – ponownie krzyknął Deryło.

Kilka osób na pobliskim chodniku zatrzymało się i z zaintrygowaniem obserwowało akcję funkcjonariuszy. Nastolatek w bluzie z kapturem wyciągnął telefon, po czym zaczął wszystko nagrywać. Komisarz dostrzegł to kątem oka, ale skupił się na białym fordzie.

– Oslaniaj mnie – rzucił do Brzeskiego.

Pospiesznie przemknął ku autu od strony drzwi kierowcy. Jak zwykle w takich sytuacjach działał automatycznie. Choć wielokrotnie trenowano podobne scenariusze, zawsze należało się spodziewać niespodzianek. Teraz żałował, że nie wziął chociaż kamizelki kuloodpornej, ale nie było na to czasu.

– Wylaż!

Kierowca posłusznie wyłączył silnik i ostrożnie pchnął drzwi. Promienie przebijającego zza chmur słońca odbijały się w szybie. Komisarz nieco się przygarbił i wymierzył pistolet w ziemię, tuż obok auta. Była to bezpieczna pozycja, która w razie potrzeby pozwalała na błyskawiczne oddanie strzału.

Deryło wstrzymał oddech. Cień przesunął się za drzwiami, a po chwili na ulicę wyszedł dwudziestokilkulatek w sportowej bluzie oraz dresach.

– Co jest... – syknął komisarz. – To nie on.

– Nie zauważyłem żadnego ograniczenia. Jechałem przepisowo! – zaskomlał zatrzymany. – Tamta kobieta na przejściu rozmawiała przez telefon, nie wiedziałem, czy...

– Zamknij się.

– Ale...

Komisarz opuścił broń i uważnie przyjrzał się mężczyźnie. W niczym nie przypominał Rauera. Żadna pośpieszna stylizacja nie mogła nikogo tak bardzo odmienić. Ba, nie pozwoliłby na to nawet profesjonalny filmowy makijaż. Nie było wątpliwości, że mają do czynienia z kimś innym.

– Kiedy wsiadłeś do wozu? – zapytał gniewnie.

– Co takiego?

– Od kiedy jedziesz tym autem?

Młody mężczyzna trzymał nieco uniesione dłonie, pokazując jednocześnie, że niczego w nich nie ma.

– Dosłownie od dwóch minut. Jakiś facet wysiadł na parkingu i powiedział, że ma wolny karnet. Pozwolił mi jechać na swoim abonamencie. – Mężczyzna nagle szeroko otworzył oczy i pokiwał głową, jakby zrozumiał, co się dzieje. – Nie ukradłem tego auta!

Deryło zaklął.

– Ktoś ostrzegł Rauera – syknął do Brzeskiego. – Albo facet bawi się z nami w kotka i myszkę.

72

Deryło miał ochotę kląć na czym świat stoi. Z wściekłości aż się trząsał. Gdy z Brzeskim wracali do komendy, nerwowo poruszał szczęką z taką siłą, że zgrzytały mu zęby. Kryminaliści mieli przebadać forda firmy wynajmującej auta na minuty, a do tego formalnie nakazano poszukiwania Rauera. Przynajmniej komisarz wszczął odpowiednie procedury, machina poszła w ruch i lada moment należało spodziewać się zatwierdzenia działań przez odpowiednie organy.

– Prysnał nam dosłownie sprzed nosa – warknął Deryło. – Nie wydaje ci się to dziwne?

– Przypuszcza pan, że mamy jakiegoś kreta?

– Sam nie wiem. O operacji wiedziało ledwie kilka osób. To była akcja całkowicie nieformalna.

– Ale w wydziale monitoringu mogła roznieść się fama. Przecieki mógł wypłynąć choćby stamtąd.

Ta odpowiedź w jakimś stopniu zadowalała komisarza. Pokiwał głową i poprawił się w fotelu. Zagryzł usta.

– A może to wcale nie przeciek? – odezwał się po chwili.

– Co ma pan na myśli?

– Może on to wszystko dokładnie zaplanował? Transmisję internetową, wypożyczenie auta, w końcu jego przekazanie...

Brzeski przez chwilę milczał skupiony na prowadzeniu. Wreszcie udało mu się włączyć do ruchu na zakorkowanej ulicy. Poruszali się teraz bez asysty stroboskopów i przez kilka minut wlekli się w sznurze pojazdów.

– Byłoby to strasznie ryzykowne – odezwał się, gdy po raz kolejny zmienił pas. – W ogóle po co miałby to robić?

– A bo ja wiem?

– Ma pan znacznie większe doświadczenie od kogokolwiek w naszym wydziale. Do tego ma

pan niesamowity instynkt. Mówię serio, bez lizodupstwa.

– Czasem myślę, że z dnia na dzień tracę ten instynkt. Poza tym... – Deryło sapnął. – Poza tym należy się zastanowić nad kluczowymi pytaniami. Po co miałby to robić? Co mogłoby mu to dać? Czy nie mógłby tego osiągnąć w inny, bezpieczniejszy dla siebie sposób? Czy ryzyko stanowi istotny napęd jego działania?

– Dwa pytania otwarte i dwa zamknięte.

– Ponoć takie proporcje są najwygodniejsze i pozwalają na najbardziej wszechstronne poruszenie tematu.

– A jak pan myśli?

Deryło splótł ręce na piersi i wzruszył ramionami. Oparł się ramieniem o bok drzwi. Przez chwilę obserwował sunące obok auta, wiódł wzrokiem po twarzach kierowców oraz pasażerów. Wreszcie odwrócił się do Brzeskiego.

– Do tej pory nie działał ryzykownie – odezwał się z całkowitym przekonaniem. – Robił wszystko na wskroś przemyślanie, zapędzając nas w ślepe zaułki.

– Zależało mu na czasie.

– Właśnie. Robił wiele, abyśmy go ciągle tracili, ale nigdy wcześniej nie wyznaczył określonej cezury. Licznik na nagraniu odliczał chyba tylko po to, abyśmy się nad tym zastanawiali, lecz czas wyznaczony mi...

Komisarz zamilkł. Nim zdołał dokończyć myśl o ramach czasowych zakreślonych przez zbrodniarza w trakcie rozmowy telefonicznej, odezwał się głośnik. Zgłosiła się centrala, po czym wybrała wewnętrzne pasmo radiowozu, którym poruszali się z Brzeskim.

– Mamy Rauera – odezwał się głos posterunkowego. – Zatrzymał go jeden z patroli. Podaję konkretne namiary...

73

Tamara już wielokrotnie zaklinała się, że nie odwiedzi terapeutki, ale zdała sobie sprawę, że potrzebuje jeszcze jednej recepty. Witner, choć sporo marudziła, była jej jedynym ratunkiem. Przynajmniej ratunkiem najszybszym i refundowanym. W końcu za wizyty pobierała jedynie połowę stawki, co, jak podkreślała, stanowiło wynik upustu dla służb mundurowych.

Haler powiodła wzrokiem po spakowanej walizce oraz leżących na podłodze rzeczach. Już raz uciekała w podobnym chaosie. Teraz czekało ją to samo. Z tym że obecnie, zamiast przeprowadzki z Krakowa do Lublina, planowała wyjazd do Belgii. Już rozpuściła wici, podowiadyla się, gdzie trzeba, i ustaliła adres placówki, w której mogłaby poddać się eutanazji. Dawała sobie na to jeszcze czas. Dwa, może dwa i pół miesiąca. W sam raz, by zapoznać się z lekarzami, warunkami oraz wypełnić formalności. Poza tym wydawało się jej, że przyjemniej będzie umierać w miejscu, z którym cokolwiek zdoła ją połączyć. Oczywiście do tego „cokolwiek” nie mieli się zaliczać żadni ludzie. Nie mogła po raz kolejny popełnić tego błędu.

Wszystko miała już przyszykowane. Właściwie o podobnym końcu myślała od niemal trzech lat, gdy dowiedziała się o diagnozie. Odkąd przed kilkoma miesiącami jej stan zaczął się permanentnie pogarszać, myślała o nim już codziennie. Zdołała się do niego przyzwyczaić i podobne rozważania nie napawały jej już ani krztyną smutku. Żałowała jedynie cierpienia, którego przysporzy innym. Wiedziała, że komisarz Deryło po raz kolejny poczuje się zdradzony, tak jak w chwili, gdy odeszła od niego własna córka. Wiedziała, że będzie obwiniał siebie samego, choć nie powinien mieć sobie niczego do zarzucenia. To sprawiało jej autentyczny ból. Od pewnego czasu zastanawiała się nad napisaniem do niego listu i niezmiennie uważała to za najlepszy pomysł. Zgodnie z procedurami ośrodka ten list mógłby zostać wysłany dopiero po jej śmierci. Ta wizja nieco ją uspokajała. Raz po raz tworzyła w myślach zdania oraz całe akapity, które powinna umieścić w swoim nieformalnym testamencie do przyjaciela, który stał się jej bliski jak ojciec.

– Dość... – Tamara zacisnęła pięści i wstrzymała powietrze.

Przez kilkadziesiąt sekund stała nieruchomo, starając się opanować lzy. Wreszcie odwróciła się od walizek i sięgnęła po leżące na metalowym stojaku klucze. Już przed paroma godzinami

uprzedziła o swojej wizycie Witner. Zastrzegła również, że wemknie się do niej między pacjentami i zajmie jedynie kilka chwil. Po raz pierwszy w rozmowie z lekarką postawiła całkowicie na swoim. Albo tylko jej się tak wydawało.

Zamknęła drzwi na oba zamki i zbiegła po schodach. Zdecydowała się na podróż motocyklem. To mógł być jeden z jej ostatnich przejazdów, a czuła się na siłach, by pokonać te kilka kilometrów wielkim szosowcem. Przynajmniej chciała wierzyć, że jest w stanie temu podolać bez żadnego problemu.

Ostatni raz.

Nie sądziła, by z podobną zapalczywością niebawem walczyła o ostatni oddech.

74

– Wszyscy won.

– Co takiego?

– Powiedziałem: wszyscy won. Chcę zostać z nim sam.

Deryło stał przed wejściem do policyjnej furgonetki i czekał, aż opuszczą ją trzej funkcjonariusze. Dwaj z nich zatrzymali Rauera, trzeci był ich dumnym bezpośrednim przełożonym. Ze względu na status, jaki zyskały poszukiwania mężczyzny, teraz wszyscy liczyli na pochwały, a nie na szorstkie słowa komisarza. Mimo to posłusznie wyszli na zewnątrz.

Deryło nawet na nich nie spojrział. Natychmiast wszedł do furgonetki i usiadł naprzeciw drobnego, skulonego mężczyzny. Klemens Rauer nie sprawiał wrażenia wieszca ani samozwańczego proroka. Nie było w nim nadzwyczajnej wewnętrznej energii lub charyzmy, jaką zaraża się tłumy. Wyglądał na sympatycznego, choć nieco zawziętego człowieczka w sile wieku. Miał nadzwyczaj okrągłą twarz, wąskie usta i lekko spłaszczony nos. Był raczej brzydki niż ładny. Z pewnością można go jednak było określić jako dość charakterystycznego.

Gdy Deryło usiadł, Rauer podniósł wzrok i spojrział mu w oczy. Przez chwilę bacznie lustrował komisarza, wreszcie ponownie spuścił głowę.

– Już im wszystko powiedziałem... – wymamrotał słabym głosem. – Przrzekam, że to prawda. Nie chcę ponownie trafić do pudła.

– Dlaczego tak szybko zmieniłeś te auta? – ostro zapytał Deryło. – Wiesz, jak to wyglądało? Jak próba ucieczki po popełnieniu przestępstwa.

– Ale...

– Odpowiedz na moje pytanie.

Rauer chciał unieść dłonie, lecz uniemożliwiły mu to kajdanki.

– Ktoś chce mnie w coś zrobić – jęknął. – Dostałem telefon od rzekomego fana, który zobowiązał się przekazać datek, jeśli przesiądę się do drugiego auta. Ponoć zależało mu na nagraniu tego, jak je prowadzę.

– Zadzwoił do ciebie?

– Tak, możecie to sprawdzić. Już oddałem telefon...

– I zgodziłeś się? Ot tak?

– Brzmiał bardzo wiarygodnie. – Rauer ponownie podniósł wzrok i komisarz dostrzegł w jego oczach łzy. – Założyłem fundację, zamierzałem pomagać ludziom, a nie szkodzić. Być może popełniłem pewne błędy, ale nigdy nie chciałem, aby ktoś zginął. Tamte samobójstwa...

– Nie interesuje mnie twoja przeszłość. – Deryło machnął ręką. – Do jakiego auta się przesiadłeś?

– Właśnie w tym rzecz. Nie było go w umówionym miejscu, a chwilę później zatrzymali mnie ci policjanci.

– Jak to go nie było?

– Przez telefon dostałem zapewnienie, że samochód czeka na parkingu przy tamtym apartamentowcu. – Rauer skinął głową w nieokreślonym kierunku. – Nie było go tam, więc uznałem wszystko za idiotyczny dowcip i postanowiłem się przejść.

– To wszystko zostanie sprawdzone.

– Nie mam nic do ukrycia. Mówię prawdę.

Deryło podniósł się i ciężko tupiąc, wyszedł z furgonetki. Spojrzał na stojącego w pobliżu sierżanta.

– Co z jego telefonem?

– Rzeczywiście trzydzieści kilka minut temu miał połączenie z nieznanego numeru. Historia trzyma się kupy.

– Dajcie to do sprawdzenia laboratorium. – Deryło odchrząknął i zniżył głos. – Ale bądźcie mili, żeby facet nie narobił nam problemów.

Chwilę później komisarz usiadł na siedzeniu radiowozu kierowanego przez Brzeskiego. Oparł głowę o szybę i ciężko sapnął.

– Po raz kolejny straciliśmy czas. A zgodnie z tym, co zapowiedział, ten szaleniec zadzwoni dokładnie za dwadzieścia osiem minut, by poinformować nas o kolejnej ofierze. Albo o tym, co z nią zrobił.

75

Rusłana otworzyła oczy i zamrugła. Przez chwilę dochodziła do siebie, odzyskując świadomość. Gdy dotarło do niej, co się stało, chciała się gwałtownie poruszyć. Szarpnęła raz i drugi, lecz nie mogła nic zrobić. Wisiała przywiązana do łańcuchów oraz lin pod stropem jakiegoś niewielkiego pomieszczenia. Światło starej jarzeniówki ledwie rozjaśniało mrok.

Kobieta cicho pisnęła. Pozycja, w jakiej się znajdowała, była bardzo niewygodna. Choć pod stopami miała krzesło lub coś podobnego, mięśnie jej ramion bolały, jakby szarpano je szczypcami. Napięte ścięgna zdrętwiały, a buzująca w organizmie krew falami uderzała do głowy. Przynajmniej tak to odczuwała.

Wetknięta do ust szmata uniemożliwiała jej wydanie jakiegokolwiek głośniejszego dźwięku. Mogła jedynie popiskiwać lub parskać. Żadnego wołania o pomoc, żadnej możliwości błagania o litość.

Jednak gdy gdzieś z boku skrzypnęły drzwi, a pomieszczenie oświetliła smuga światła, kobieta zaczęła wierzgać. Szarpała się niczym byk przygotowywany do opuszczenia boksu przed walką. Nie chciała umierać. Wbrew temu, jak się czuła jeszcze kilka dni temu, nie chciała rozstać się z życiem. Bez względu na to, co jej oferowało i co czekało na nią kolejnego dnia. Najważniejsze, że w ogóle istniała perspektywa tego wschodu słońca, spokojnego poranka lub cichego zmierzchu.

– Mmm... – jęknęła, gdy ktoś dotknął jej stopy.

– Tymi nóżkami kroczyłaś po ziemi występku – odezwał się szorstki, pozbawiony emocji głos. – Dokąd pragnęłaś dojść? Do królestwa sodomy i gomory, a może wprost do piekła?

– Mhmmmm...

Jej jęk, choć zapewne na zewnątrz ledwie słyszalny, dosłownie eksplodował w jej czaszce. Chciała opuścić głowę, by dostrzec, kto stoi obok niej, ale pętla całkowicie to uniemożliwiała.

– Masz wybór – odezwał się głos. – Czujesz, co teraz robię?

Rzeczywiście czuła, że coś dotyka wielkiego palca jej stopy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest całkowicie naga i że jest jej bardzo zimno, jednak momentalnie stało się to nieistotne.

– Wkładam twój paluch w imadło – ciągnął głos. – Za moment dokręcę śrubę, przerabiając go na miazgę.

– Mmmmm!

– Tak, właśnie tak. Ale mówiłem o wyborze, prawda? Starasz się właśnie go podjąć, rzucając się i wyrywając. – Głos zachrypiał i zamienił się w cichy śmiech. – Jeśli stracisz oparcie na stolku, powiesz się. Rozumiesz? Unikając imadła, popełnisz samobójstwo.

Kobieta z całej siły zacisnęła oczy. Po policzku ciekły jej łzy, a przerażenie wywołało mdłości. Z całej siły starała się utrzymać równowagę i nie wyrywać. Czuła nacisk pętli na krtań. Jednak ból wywołany przez dokręcane imadło gwałtownie narastał. W momencie, gdy jej paznokiec złamał się na pół, cała zadrżała. Gdy kość pękła z cichym trzaskiem, zawirowało jej

w głowie. Przerażliwy ból pulsował aż do kolana i wyżej. Kobieta traciła świadomość, lecz oprawca nagle poluzował ucisk.

– Imadło to tylko początek – odezwał się cicho. – Zobaczymy, jak wiele jesteś w stanie znieść, by żyć. Zostało ci jeszcze wiele palców...

76

– Potrzebuję tylko tej recepty. Obiecała mi pani ją wypisać.

– Tak, i słowa dotrzymam. Zrobi to pani na swoją odpowiedzialność, choć ostrzegałam o konsekwencjach.

Środek, o którym Haler przeczytała w internecie, miał mnóstwo skutków ubocznych. Choć jego stosowanie zostało dopuszczone przez wszelkie władze medyczne, jednak budziło wiele wątpliwości. Przede wszystkim teoretycznie miał mieć zastosowanie do stanów terminalnych. Poza tym tylko w ciężkim przebiegu choroby, co u Tamary jeszcze nie miało miejsca. Mimo to kryteria były dość nieostre, by nagiąć przepisy.

– Jeszcze raz muszę powtórzyć. – Witner smutno spojrzała na podkomisarz. – Ten preparat zwiększa prawdopodobieństwo bezdzietności oraz całkowicie rozchwiewa gospodarkę hormonalną. Owszem, pomoże pani w utrzymaniu sprawności umysłowej lub przynajmniej w zachowaniu świadomości, ale...

– Pani doktor, ja naprawdę o tym wszystkim wiem.

– Dobrze. Skoro tak, gramy w otwarte karty. Ja jednak chciałam mieć czyste sumienie. Proszę mnie dobrze zrozumieć i nie patrzeć na mnie tak krzywo.

Witner poprawiła się na wózku i podjechała do niewielkiej metalowej szafki. Wyciągnęła z niej grubą książkę, po czym przez chwilę coś w niej wertowała.

– Zalecam minimalną dawkę – odezwała się wreszcie. – Jednak zapewne wie pani, jak działa jej zwielokrotnienie.

– Owszem.

Haler pokiwała głową i uśmiechnęła się blado. Obczytała fora dotyczące tego preparatu w trzech językach. Doskonale знаła wszelkie wątpliwości, skutki uboczne oraz konsekwencje. Przekroczenie podwójnej dawki właściwie równało się śmierci. Był to jeden z argumentów pewnych środowisk podnoszonych na rzecz niedopuszczenia go do powszechnego obrotu i zastosowania tylko w warunkach szpitalnych. Najwyraźniej jednak lobby farmaceutyczne lub osób chorych między innymi na płasawicę było zbyt silne, gdyż przeforsowano szeroki dostęp.

– Proszę. Wszystko zgodnie z naszą umową.

Tamara z wdzięcznością spojrzała na learkę i odebrała od niej wydrukowaną receptę. Odruchowo przyglądała bluzkę, po czym skierowała się do wyjścia.

– Nie zobaczymy się więcej – odezwała się, stając w progu. – Dziękuję za pomoc.

– Zrobiłam, co mogłam w zgodzie ze swoim sumieniem. Zna pani rokowania.

Haler cicho zamknęła drzwi i wyszła na korytarz. Było jej duszno, a ściany co chwilę to przybliżały się, to oddalały.

– Wszystko okej? – Piotr Mund podniósł się zza kontuaru w recepcji. – Nie chce pani usiąść?

Tamara pokręciła głową.

– Może chociaż napije się pani wody?

Zrobiła kilka kroków i pomyślała, że woda byłaby dobrym rozwiązaniem. Sięgnęła po plastikowy kubeczek podany przez recepcjonistę, po czym upiła kilka łyków.

– Dzięki. – Odstawiła kubek i machnęła ręką, jakby salutowała. – Postawiłeś mnie tym na nogi.

Zataczając się, podążyła do drzwi. Nie czuła się na siłach, by prowadzić motocykl. Drżenie znów się nasilało. Powinna odpocząć, lecz nie chciała pokazać swojej słabości. Nie tu. Nie w miejscu, z którym nie chciała mieć już nic wspólnego. Belgia. Nowe życie i śmierć. To wszystko, co na nią czekało.

Przeszła między stojącymi na parkingu samochodami i nagle się zatrzymała. Kilkukrotnie głęboko nabrała powietrza, lecz nie mogło to wiele pomóc. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Momentalnie świat zawirował, a ona osunęła się na ziemię. Czy tak miała wyglądać śmierć?

77

Deryło co rusz zerkał na cyferblat starego tissota. Wskazówka mechanicznego zegarka płynnie sunęła po tarczy, całkowicie nie bacząc na jego presję. Zgodnie z zapowiedzią szaleniec powinien zadzwonić za trzy lub cztery minuty.

Komisarz niemal nie oddychał, jakby się obawiał zagłuszyć dźwięk dzwonka. Telefon leżał na biurku, pół metra przed nim. Przynajmniej udało mu się na czas zjawić w gabinecie. ViSir oraz grupa techników zostali powiadomieni i mieli nadzorować połączenie. Informatyk wpiął w gniazdo telefonu przedmiot przypominający maleńką ładowarkę, a teraz wpatrywał się w laptop rozłożony na biurku Haler.

– Wszystko gotowe – rzucił, nie odrywając wzroku od ekranu. – Nie możemy zrobić nic więcej.

– Chciałbym w to wierzyć.

ViSir się wyprostował i strzelił stawami palców. Na jego nalanej twarzy skrzyły się kropelki potu.

– Pański telefon jest podpięty do dwóch programów, które niezależnie szczytują dane. Połączenie będzie śledzone z satelity oraz przez naziemne BTS-y.

– Nie wiem, o czym do mnie mówisz.

– O tym, że każdy, kto zadzwoni, zostanie namierzony w taki sam sposób, w jaki namierza się cele na mapie samochodowej. Z dokładnością do około dwóch metrów.

Deryło zabębnił palcami w blat biurka i ponownie zerknął na zegarek. Od ostatniego razu wskazówki przesunęły się o niespełna czterdzieści sekund. A jeśli to wszystko było blefem? Czekali na telefon, który miał nigdy nie nadejść? Tracili czas tak jak za każdym razem do tej pory, zapędzeni w ślepy zaułek przez własną nadgorliwość?

Co by dał, żeby teraz przy nim siedziała Tamara. Choć nigdy się do tego nie przyznawał, zdawał się na jej przeczcucie znacznie bardziej niż na czyjekolwiek doświadczenie. Haler знаła się na psychice zbrodniarzy jak mało kto. Potrafiła rozszyfrować ich zamiary, nim inni w ogóle zaczęli się ich domyślać.

– Myślisz, że to nie jest zwykły blef? – zagadnął, powstrzymując się od kolejnego zerknięcia na zegarek.

ViSir przesunął laptop i wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem, szefie? Nie mam wszystkich danych, tylko to, coście mi przekazali. To jakiś kompletny szaleniec, a z tymi chyba nigdy nic nie wiadomo.

– Aha.

– Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej. Bazy danych, certyfikaty, bezpieczeństwo sieci... Na tym się znam. Ale po co panu moje głupie przypuszczenia?

– Po prostu pytałem. Z ciekawości. Nieważne.

Deryło westchnął. Zacisnął usta i ponownie pochylił się nad biurkiem. W tym samym momencie dostrzegł, że ViSir gwałtownie sięgnął do laptopa. Wpisał jakąś komendę i wbił wzrok w komisarza.

– Dzwoni – wyszeptał. – To pewnie on...

Sekundę później odezwał się dzwonek telefonu Deryły. Ten, zgodnie z ustaleniami poczynionymi z informatykiem, odczekał dwa sygnały, po czym odebrał. Zmodyfikowany, szorstki głos odezwał się, gdy tylko przytknął komórkę do ucha.

– Niech pan do mnie zadzwoni z telefonu współpracownika, który zapewne właśnie próbuje mnie namierzyć. Siedzi chyba niedaleko pana, prawda? Esemesem już wysłałem numer.

Deryło ścisnął telefon tak mocno, że plastik zatrzeszczał.

– Czekaaj!

– Owszem, zaczekam pół minuty. Jeśli się nie połączysz, zakończymy współpracę, a więźniowie zginą przed czasem.

Po tych słowach połączenie zostało zakończone.

78

– Dawaj telefon.

– Ale wtedy...

ViSir wahał się tylko przez chwilę. Wyciągnął komórkę, po czym odblokował ją dotknięciem opuszki palca.

– Połącz mnie z tym numerem. – Komisarz otworzył pole wiadomości tekstowych na swoim telefonie i obrócił go ku informatykowi. – Szybciej, ten świr nie żartuje.

– Śpiesz się...

ViSir błyskawicznie podał komórkę Deryle. Gdy ten przyłożył ją do ucha, już rozległ się sygnał nawiązywania połączenia. Jednocześnie informatyk doskoczył do laptopa i zaczął wpisywać kolejne komendy. Wyciągnął wtyczkę ze starego aparatu komisarza, po czym przelożył ją do swojego. Deryło nawet nie zwrócił na to uwagi. Stał nieruchomo, niemal na baczność, całkowicie skupiony na kolejnych przeciągłych piknięciach.

– Haaalo.

Głos odbierającego był nie tylko nienaturalnie szorstki oraz zniekształcony, ale zdawało się, jakby stanowił jedynie echo rozbrzmiałe w ogromnym, pustym pomieszczeniu.

– Skończ tę zabawę. Powiedz, jakie są twoje warunki i żądania.

– Zaczyna pan z wysokiego C, komisarzu.

– Nie chcę, żeby zginął ktokolwiek więcej. Zabijeś dość osób, które były niewinne. Rozumiesz? Odbierasz życie ludziom, którzy mają swoich bliskich, którzy są kochani i teraz lądują jak kłody w ziemię.

– Czyżby usiłował pan obudzić we mnie wyrzuty sumienia? Albo wycisnąć z moich oczu kilka łez? – Szaleniec zachichotał. – Pański tekst nadawałby się do nędznej opery mydlanej, ale niestety mnie nie rusza.

– Czego chcesz?

– Czegoś, czego nikt nie może mi dać. Ani pan, ani państwo, ani żadna z ofiar.

– A mimo to starasz się to osiągnąć?

Deryło był wyraźnie zbity z tropu odpowiedzią szaleńca, lecz z wszystkich sił próbował improwizować. Liczył, że grając na czas, umożliwi ViSirowi namierzenie telefonu, z którego nawiązano połączenie.

– Chyba dawno zarzuciłem plan zaspokojenia swoich pragnień – odparł spokojnie rozmówca. – Właściwie zaakceptowałem to, co niemożliwe, i zdecydowałem się na realizowanie planu minimum.

– Co to za plan?

– Jest pan bardzo niecierpliwy, komisarzu. Od razu chciałby pan przejść do sedna i zakończyć sprawę. Czy nie lepiej jest smakować to, co się dzieje? Każdą sekundę, każdy dzień i każdy miesiąc?

– W jaki sposób je niby smakujesz? – Deryło parsknął. – Mordując? Katując i przysparzając cierpienia?

– A nawet jeśli? Czy cierpienie nie jest lepsze od śmierci? Czasem wybór zdaje się zbyt oczywisty, ale jeśli pan miałby jego dokonać... Co by pan wybrał?

Deryło pokręcił głową i powstrzymał się przed zaklęciem. Ścisnął telefon tak mocno, że pobielały mu palce. Czuł, że drętwieje mu dłoń.

– Nie potrafiłbym – odparł po chwili. – Nie możemy zrozumieć bólu, o ile sami go nie czujemy.

– Dobra odpowiedź! – Szaleniec ponownie zachichotał. – Dlatego ja staram się go z wszechmiar analizować, badać, sprawdzać... Staję się prawdziwym profesorem od bólu. Dochodzę do

wniosku, że jednak większość z nas wybiera życie.

– Bo nie można go odzyskać. Rozumiesz? Odbierasz coś, czego nie da się przywrócić. Jest szansa na życie bez bólu, ale nie ma szansy na zmartwychwstanie.

– Stara się pan mnie złapać w religijną pułapkę? Sprawdza pan, czy jestem osobą wierzącą i czy zaprotestuję? To takie banalne. – Szaleniec wypuścił powietrze w mikrofon i kilkakrotnie teatralnie westchnął. – Spodziewałem się po panu czegoś więcej, ale w końcu nie umówiliśmy się na rozmowę o mnie. Prawda?

– To ty teraz rządysz.

– *Cliché*. Kolejna sztampa.

Deryło zagryzł zęby i zerknął na ViSira. Z twarzy informatyka nie mógł wyczytać niczego poza tym, że robi, co może, by namierzyć połączenie. Odwrócił się do biurka i oparł o jego blat.

– Obiecałem, że porozmawiamy o moich ofiarach.

– Tak, tylko że...

– Proszę się nie martwić. One żyją. Niech pan odłoży telefon od ucha i zaakceptuje połączenie wideo.

Deryło zmarszczył czoło. Chciał szukać pomocy u ViSira, ale jakimś cudem, gdy nacisnął zielone pole, na wielkiej komórce uruchomił się obraz. W tym samym momencie dostrzegł zbliżenie na twarz Tamary.

79

Deryło poczuł, jak jego serce przepompowuje zwiększoną porcję krwi. Mimowolnie zacisnął pięści, niemal miażdżąc telefon. Wściekle zaklął, po czym rąbnął lewą dłonią w blat biurka. Bezgłośnie, niczym kot, obrócił się i pchnął fotel tak, że ten rąbnął o ścianę.

– Zrobiłem na panu wrażenie, komisarzu?

Deryło ciężko sapnął. Zagryzł usta i wbił spojrzenie w ViSira, który momentalnie się przy nim zjawił. Gdy dostrzegł to, co pojawiło się na ekranie, również cicho zaklął.

– Ty pieprzony sukinsynu – wycedził Deryło. – Ty gnoju. Nie śmieć jej tknąć, nie próbuj nawet...

– Niech pan da spokój. Nic pan nie może zrobić.

– Zabiję cię.

– Lepiej, żeby to nagranie nie trafiło do akt sprawy. To bardzo nieprofesjonalne.

Deryło przeczesał palcami włosy i głęboko nabrał powietrza. Kręciło mu się w głowie. Otworzył na oścież okno i spojrział daleko, w stronę starego miasta. Widok, który zazwyczaj koł jego spojrzenie, tym razem wydał mu się upiorny.

– Tamara! – Komisarz krzyknął, ale Haler musiała być nieprzytomna, gdyż nawet nie drgnęła. Nieprzytomna albo... Tej drugiej możliwości nie chciał nawet dopuścić do głosu. – Czego chcesz, gnoju? Ona jest niewinna, nie popełniła żadnego grzechu...

– Grzechu? A dlaczego miałyby go popełnić?

Deryło intensywnie myślał. Powoli wracała jego trzeźwość osądu oraz umiejętność skupienia w najtrudniejszych sytuacjach. Spoglądał w ekran, usiłując wypatrzeć jakikolwiek istotny detal, lecz poza twarzą Haler tło było całkowicie czarne. Na podkomisarz musiało padać punktowe światło telefonu albo latarki.

– Obżarstwo i opilstwo, chciwość, cudzołóstwo... – wyrecytował jednym tchem. – Przecież o to ci chodzi, prawda? Tamara jest niewinna. Nie znasz nikogo równie prawego jak ona.

– Nie ma ludzi prawych, komisarzu.

– Ręczę za nią swoją głową.

Szaleniec wybuchnął krótkim, rwanym śmiechem.

– Wysoko pan licytuje, ale to daremne. Szkoda naszego czasu. Jak widzę, do tej pory niczego pan o mnie nie wie i kompletnie niczego nie rozumie.

Deryło zmrużył oczy i obliznął wargę. Czegoś nie mógł pojąć. Czy faktycznie trafili na błędny trop? Dokonali nadinterpretacji? Przecież wszystko tak doskonale do siebie pasowało. Chyba że

teraz ten zwyrodnialec blefował. Ton jego głosu nie pozwalał na jakąkolwiek analizę, ale mógł właśnie wpaść w panikę, że przejrzano jego motywację.

Nie. To było jedynie myślenie życzeniowe. A może...

Charkotliwy głos wyrwał komisarza z zamyślenia. Niczym uderzenie łopata w potylicę przywołał go do rzeczywistości.

– Pogubił się pan w domysłach, prawda? Życie ma wiele wymiarów, choć może wydawać się bardzo proste.

– Wypuść ją. Albo powiedz, co mam zrobić, żebyś ją wypuścił.

Deryło jak urzeczony wpatrywał się w ekran telefonu. Z wszystkich sił powstrzymywał się przed kolejnym wybuchem wściekłości. Gdy patrzył na nieruchomą twarz Tamary, wstrząsały nim dreszcze. Miał ochotę krzyknąć i bić pięścią choćby w ścianę.

– Coś panu powiem, komisarzu. Niech pan uważnie słucha. – Szaleniec na moment zawiesił głos, po czym odezwał się nieco ciszej: – Ona jest również winna. Tak samo winna jak wszyscy wcześniej i wszyscy teraz. Proszę spojrzeć.

Kamera obróciła się, a gdzieś w głębi pomieszczenia, w którym przetrzymywano Haler, rozbłysło światło. To, co oświetliło, sprawiło, że pod Deryłą ugięły się nogi.

80

– Widzi pan te stężałe, wykrzywione przerażeniem twarze? Widzi pan ból, który zastygł na nich niczym warstwa lawy? Ale co najważniejsze, myślę, że widzi pan w tych twarzach również pragnienie życia, choć wiele powinno przemawiać za tym, że ci ludzie woleliby umrzeć. Już, teraz, natychmiast... Tak jak kiedyś.

Szaleniec zniżył głos do demonicznego syku. Przybliżył telefon do twarzy szczupłej, drobnej kobiety. Na jej czole perlil się pot, a usta były zaciśnięte na wepchniętej w nie szmacie. Rusłana, porwana prostytutka, której tożsamość dopiero ustalano. Deryło natychmiast rozpoznał ją po rysopisie przedstawionym przed kilkoma godzinami.

Obok kobiety znajdował się mężczyzna. Puciołowaty, z czerwonymi pąsami przy nosie oraz na policzkach. Przypominał nieco szczuplejszą wersję ViSira. Miał półprzymknięte oczy, ale wszystko wskazywało, że jest przytomny. Przez moment wydawało się, że zamruga i wbije spojrzenie wprost w obiektyw aparatu. Zamiast tego poruszył spierzchniętymi wargami, pomiędzy którymi tkwił knebel. Komisarz nie znalazł jego tożsamości ani nie potrafił go skojarzyć z nikim związanym ze sprawą.

– Mógłbym ich zabić nawet w tej chwili – ciągnął zmodyfikowany głos. – Od kogo zacząć? Od grubasa? A może od pańskiej przyjaciółeczki? Czy lepiej od dziwki? Może powinienem zdać się na wyliczankę. Ene, due, rabe, Chińczyk połknął żabę...

– Nie zabijaj ich. – Deryło starał się opanować drżenie głosu. – Powiedz, czego chcesz, ale nie zabijaj ich.

– A jeśli to właśnie jest wszystko, czego chcę? Zabić ich.

– To nic ci nie da.

– Tego nie może pan wiedzieć, komisarzu. – Kamera ponownie skierowała się na otyłego mężczyznę. Szaleniec trącił go dłonią w rękawiczce prosto w brzuch. – Baloniku nasz malutki, rośnij, rośnij okrągłutki. Balon rośnie, że aż strach. Przebrał miarę, no i trach!

Salwa śmiechu poniosła się echem. Szaleniec najwyraźniej był szczerze zadowolony ze swojej dowcipności.

– Pamięta pan tę wyliczankę?

– Tak, używaliśmy jej w trakcie zabaw. Jak wielu innych.

Deryło lypnął na ViSira, który ponownie skupił się na ekranie laptopa. Wpisywał kolejne komendy, lecz na jego twarzy widniał wyraz zwątpienia. Gdy ich spojrzenia się spotkały, bezradnie zacisnął usta. W okrągłych, dużych oczach komisarz dostrzegł skrzące się lzy.

– A ta? – Szaleniec odchrząknął, po czym odezwał się niemal niezrozumiałym szeptem. – Beksa lala pojechała do szpitala, a w szpitalu powiedzieli: takiej bekisy nie widzieli! Posolili, doprawili i do kosza wyrzucili!

Obraz drgnął, a z głośnika telefonu dobył się jęk. Deryło zrozumiał, że szaleniec uderzył pięścią w nos Roksanę. Kobieta szeroko rozwarła oczy, a nad jej górną wargą zebrała się krew. Czerwona strużka zaczęła ściekać i wsiąkać w szmacyany knebel.

– Zostaw ją! – Deryło bezradnie obrócił się na pięcie. – Dlaczego to robisz? Sprawia ci to jakąś popieprzoną satysfakcję? Katowanie skrępowanej kobiety? To naprawdę żalodne, gnoju.

– Dobrze, zostawię ją. Przynajmniej na razie. Ich czas jeszcze nie nadszedł, choć bardzo tego chcieli. Naprawdę wkrótce zapragną umrzeć.

– W takim razie...

Szaleniec przerwał komisarzowi gniewnym parsknięciem.

– Będzie pan tego wszystkiego świadkiem, komisarzu. Takie jest pańskie przeznaczenie.

Po tych słowach połączenie zostało przerwane, a Deryło jeszcze przez chwilę stał, wpatrując się w ciemny ekran telefonu. Wreszcie drgnął i wściekle wrzasnął. ViSir w ostatniej chwili powstrzymał go przed ciśnięciem komórki o podłogę.

81

– Mam cholerną nadzieję, że w jakiś sposób zarejestrowałeś tę rozmowę oraz nagranie. – Deryło wbił wzrok w ViSira.

Informatyk z zadumą skinął głową.

– Tak, zdaje się, że wszystko udało się przenieść na ekran laptopa i zapisać. No może z wyjątkiem pierwszych sekund.

– Analizuj każdą sekundę, każdą pieprzoną klatkę tego wideo! – Komisarz krzyczał, plując śliną. – Masz się wreszcie wykazać, masz zrobić, co trzeba, i...

Odwrócił się w stronę drzwi. Od pewnego czasu widział, że ViSir spogląda za jego plecy, ale nie spodziewał się dojrzeć Brzeskiego oraz inspektora. Nie miał pojęcia, kiedy mężczyźni pojawili się w gabinecie.

– A wy co, bliźnięta syjamskie? – parsknął. – Czy aparatura podsłuchowa?

– Zostałem powiadomiony o spodziewanym połączeniu – odparł hardo Bicki. – Powinien mnie pan informować o takich sprawach, komisarzu.

– A ja dostałem raport o wytypowanym zaginionym – wtrącił się aspirant, nerwowo potrząsając plikiem kartek spiętych agrafkami. – Facet przepadł przed dwoma dniami, ale...

Deryło chwycił dokumenty i pośpiesznie je przejrzał. Utkwił wzrok w zdjęciu figurującym na jednej ze stron.

– To on. To ten grubas z nagrania...

– Jest pan pewien? Ten, którego panu pokazał?

A więc nie było wątpliwości, że przynajmniej Brzeski zjawiał się w pomieszczeniu, jeszcze kiedy rozmawiał z szaleniec. Rzucił dokumenty na biurko i lekceważąc wymowne chrząknięcie Bickiego, spojrział prosto w oczy aspiranta.

– Co o nim wiesz? Nie mam czasu na czytanie...

– Ledwie to przejrzałem.

– Ledwie to więcej niż wcale.

Brzeski przestąpił z nogi na nogę i założył ręce za plecy.

– Gość ma problemy psychiczne, kilkakrotnie wychodził z domu i przepadał, ale zawsze wracał kolejnego dnia – zaczął referować jak uczeń na akademii szkolnej. – No prawie zawsze, bo zaliczył trzy próby samobójcze.

– Wiele jak na faceta. To kobiety mają słabą skuteczność i odwalają pokazówkę.

– Raz zerwała się pod nim lina, raz gałąź, na której się chciał powiesić.

– Skurkowany pechowiec – wtrącił Bicki. – Ale dlaczego znalazł się w kręgu osób powiązanych akurat z tym śledztwem?

– Bo zamiast listu pożegnalnego jego żona znalazła to.
 Brzeski podszedł do biurka i przełożył kartki. Zastukał palcem w jedną z nich.
 – Co to takiego? – warknął Deryło. – Błagam cię, nie przeciągaj i nie każ mi szukać lupy.
 Na zapisanej drobnym pismem karteczce widniało kilka słów.
 – Na pierwszy rzut oka są prawie nieczytelne, ale to dlatego, że zapisano je od prawa do lewa – wyjaśnił Brzeski. – To najciekawszy element historii.
 – Kolejna gra na zwłokę...
 – Co takiego?
 – Nic. Przeczytaj, co tu jest napisane.
 Brzeski odłożył kartki i wyrecytował z pamięci:
 – „Czas zrozumieć, czym jest prawdziwe cierpienie. Czas żyć, by móc umrzeć”.
 – Ja pieprzę... – Deryło przeczesał palcami włosy i z rezygnacją westchnął.
 – Nic to panu nie mówi, komisarzy?
 – Nic a kurwa nic, inspektorze.
 – A wam, panowie?
 ViSir oraz Brzeski pokręcili głowami. W pomieszczeniu zapadła cisza, którą przerywał jedynie cichy szmer wiatru przeciskającego się przez uchylone okno. Deryło ciężkim krokiem zaczął przemierzać gabinet. Poruszał się jak dzikie zwierze zamknięte w maleńkiej klatce. Nagle jego twarz rozjaśniła jakaś myśl. Zmarszczył czoło, zmrużył oczy i pełnym zadumy wzrokiem spojrzał gdzieś ponad inspektorem. Bez cienia zadowolenia pstryknął palcami.
 – Mam to... Już wiem, co nam przez cały czas umykało. A to sukinsyn!

82

– Pobudka, kochanie. Czas wstawać.
 Szaleniec potrząsnął za ramię Tamary. W dłoni nadal trzymał pustą strzykawkę po wtłoczonym w żyły Haler środka. Kobieta zamrugła i spojrzała na niego sennym wzrokiem. Powoli jej wzrok wyostrzył się, aż wreszcie całkowicie się rozbudziła. Usiłowała wierzgnąć, ale była doskonale skrępowana. Kątem oka dostrzegła dwie wiszące na łańcuchach osoby. Sama leżała kilka metrów dalej, na betonowej podłodze.
 – Czego chcesz? – zapytała osłabionym, ale niezdradzającym strachu głosem. – Wypuść ich. Nie widzisz, że ten mężczyzna się dusi?
 – Zajęło mi sporo czasu zapewnienie mu takiego komfortu. Istnieje cienka granica między życiem a śmiercią, między wolą przetrwania i unicestwienia.
 – Jesteś cholernie poetycki.
 – Tak myślisz? Życie zawsze wydawało mi się cholernie proste i toporne. A mimo to jest w nim coś lirycznego.
 – Pisujesz wiersze? – Haler usiłowała wetknąć palec między sznury, którymi były skrępowane jej nadgarstki. – Powinieneś dać sobie spokój. Pewnie to wyjątkowo tandetne gówno. A może to przez nieudane występy na konkursach poezji dziecięcej? Co? Wkurzyłeś się?
 – Zamknij gębę!
 Szaleniec wymierzył Tamarze cios otwartą dłonią w policzek. Haler poczuła zbierającą się w ustach krew. Chciała splunąć w twarz oprawcy, ale ten się uchylił.
 – Nieladnie, moja panno.
 – Pieprz się.
 – Będę musiał cię zakneblować, tak jak tamtą dwójkę. Szkoda będzie patrzeć, jak te usteczka zaczną pękać w kącikach, wysychać, a wreszcie przy próbie krzyku oderwą się z nich całe płatki naskórka.

Haler rozluźniła mięśnie i wypuściła powietrze. Próbowowała poluzować sznur, co w przypadku większości węzłów mogłoby pozwolić pozyskać kilka centymetrów, jednak została skrępowana zbyt starannie. Facet znał się na rzeczy. Nie miała możliwości jakiegokolwiek poluzowania sznura. Lina krępująca jej nogi została zaciśnięta tak mocno, że jej stopy niemal

całkowicie zdrętwiały. Miała wrażenie, jakby jednocześnie opuchły do rozmiarów sporych bochenków chleba.

– Zajmę się tobą i wypatroszę cię jak zwierzę. Spuszczę z ciebie krew. Ale najpierw... – Szaleniec mlasnął. – Ale najpierw będziemy losować, kto z was umrze jako pierwszy. Na kogo cierpienie będziecie patrzyli i kto stanie się dla was wzorem umierania.

Haler dostrzegła, że wisząca niedaleko niej kobieta usiłowała się podciągnąć. Z jej ust dobył się cichy, stłumiony przez knebel pisk.

– Zostaw ich. Nie wystarczy ci to, co już zrobiłeś? Zamordowałeś dość osób.

– Oni sami skazali się na śmierć.

– Nie masz prawa za nich decydować. – Tamara usiłowała zrozumieć, co jej sugeruje szaleniec. Powoli domyślała się jego intencji, choć ich szczegóły nadal pozostawały dla niej mętne.

– Nie masz prawa zabawiać się w Boga.

– A w diabła lub śmierć? Każdy umniejsza ich rolę.

– Masz stanowczo zbyt wysokie poczucie własnej wartości.

Szaleniec zaśmiał się chrapliwie. Poprawił maskę i nagle się wyprostował.

– Kiedyś myślałeś, by zginąć na motocyklu? – zagadnął rozbawiony. – To miało być łatwe wyjście? Albo raczej ucieczka?

Po plecach Halera przebiegł dreszcz.

– Skąd możesz wiedzieć, o czym myślałam? Nie masz pojęcia, czy, jak i dokąd chciałabym uciec.

– Naprawdę? W takim razie uznajmy, że to będzie eksperyment. Rozsmaruję twoje flaki na podłodze tak, jakbyś wyrznęła o nią z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Rozwlokę twoje jelita i rozbabram żołądek. Twoje serce będzie przypominało roztluczoną porcję podrobów, a mózg będzie trzeba zeskrobywać. Kryminaliści już wkrótce będą mieć z tym mnóstwo roboty. Podoba ci się taka przyszłość?

83

Deryło kolejny raz pstryknął palcami, obrócił się i nabrał powietrza. Utkwił wzrok w Bickim.

– *Czy ktoś, kto traci wzrok, na powrót chce umrzeć i wrócić do łona matki, do cuchnącej ziemi cmentarza?* – wyrecytował z pamięci. – To fragment wiadomości, na który powinniśmy zwrócić uwagę. Nie na grzechy ani wątek religijny.

– O czym on mówi? – Bicki zerknął na Brzeskiego, ale aspirant jedynie wzruszył ramionami.

– *Na powrót chce umrzeć* – powiedział z naciskiem Deryło. – Interpretując te słowa po raz pierwszy, uznałem, że chodzi o jakąś metaforę urodzin i powstania z niebytu. Śmierć miałaby być powtórny trafieniem do nicości, z której powstaliśmy. Tym łonem matki, o którym wspomniano później.

– Ale... – wtrącił się do rozmowy ViSir, pokrzepiony narastającym rozdrażnieniem Bickiego.

– Ale to był cholerny błąd. Jemu chodzi o umieranie w dosłownym sensie. To ono jest najważniejsze dla jego motywacji. Rozumiecie? *Modus operandi*, które znamy z podręczników oraz kilku opracowań.

– Powtórne umieranie? Jak u osób po śmierci klinicznej?

– Nie do końca. W latach siedemdziesiątych w Niemczech działał seryjny morderca zwany Dobijaczem z Mannheim. Facet pozbawił życia ośmioro pensjonariuszy szpitala dla psychicznie chorych.

– Niemcy mają wieloletnią tradycję aniołów śmierci – parsknął Bicki. – Nadal nie widzę żadnego związku.

– Czy wiecie, kogo wybierał Dobijacz?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Deryło mlasnął i przygryzł usta. Intensywnie myślał,

starając się zgrać w jednolitą całość wiele koncepcji. Wszystko zdawało się wskakiwać na właściwe miejsce, lecz brakowało mu jeszcze ostatnich elementów układanki. Przymknął oczy i przeciągnął dłońmi po twarzy. Pochylił się, starając się przypomnieć sobie szczegóły rozmowy sprzed kilku minut. Był niemal pewien, że dobrze zapamiętał słowa szaleńca, lecz nie mógł się zdawać na coraz częściej szwankującą pamięć. Otworzył oczy i odwrócił się do ViSira.

– Odtwórz naszą rozmowę – nakazał ostrym tonem. – Szybko, szybko!

Informatyk posłusznie wpisał kilka poleceń, po czym na ekranie komputera pojawiło się okienko programu.

– Od początku?

– Mogę to przewijać? – Deryło sięgnął po myszkę i zaczął przesuwając kursor nad suwakiem wskazującym czas nagrania. Kilukrotnie odrywał dłoń, wsłuchiwał się w wybrany fragment, następnie przewijał materiał o kolejne sekundy. – Mam, o to mi chodziło...

Pozostała trójka stłoczyła się tuż za jego plecami. Wytężając słuch, starali się wylapać każdy dźwięk z uruchomionego nagrania.

– Widzi pan w tych twarzach również pragnienie życia, choć wiele powinno przemawiać za tym, że ci ludzie woleliby umrzeć. Już, teraz, natychmiast... Tak jak kiedyś...

Deryło zastopował wideo i spojrzał po twarzach stojących obok niego mężczyzn.

– Nie rozumiecie? – Wstał od biurka, po czym z zacisniętymi pięściami podszedł do okna. – Ten szaleniec upatrzył sobie osoby, które już kiedyś chciały umrzeć. Niedoszłych samobójców lub cierpiących na depresję. Sądzę, że chce wyręczyć je w tym, czego same nie zrobiły. A przy okazji pokazać, że umieranie może naprawdę boleć...

84

Deryło nakazał ViSirowi przygotowanie odpowiednich zdjęć z zarejestrowanej rozmowy oraz podglądu wideo zaprezentowanego mu przez zbrodniarza. Następnie podyktował informatykowi numer, pod który miał wysłać wiadomość graficzną.

– Wyślij je także na adres mailowy kliniki Anny Witner.

– Co takiego?

– Czy mówię niewyraźnie?

Bicki splótł dłonie na piersi i spojrzał na komisarza spode łba. Przez chwilę mruczał coś pod nosem, wreszcie niezadowolony, że nie zwrócił na siebie uwagi, odkaszlnął.

– Czy pan w ogóle ma jakikolwiek plan, komisarzu?

Deryło nawet na niego nie zerknął.

– Właśnie staram się go opracować. Nie pomaga mi w tym ani pańska obecność, ani świńskie chrupkanie.

– Pan sobie zbyt śmiało poczyna!

– Staram się skupić na robocie, a ewentualne konsekwencje może pan wyciągnąć choćby jutro. – Komisarz zatarł ręce, widząc, że mail do kliniki został wysłany. Sięgnął po odłożoną na biurko komórkę i w końcu lypnął na inspektora. – Chyba że na jutro przygotował pan konferencję prasową. To chyba jedyny pański pomysł?

– Nie ja jestem od bezpośredniego prowadzenia śledztwa. A pan utknął w miejscu.

– Nie ruszę się z niego ani o milimetr, dopóki będzie pan w tym gabinecie. Nie jestem dziesięcioletnim uczniakiem, któremu trzeba patrzeć na ręce.

– Czasem zachowuje się pan gorzej od dziecka.

– Taki mam styl. Ale teraz staram się pracować, a pan mnie rozprasza. – Komisarz zerknął na informatyka oraz Brzeskiego. – To świadkowie, że chcę działać, ale pan mi to uniemożliwia. To jak? Wyjdzie pan? Obiecuję jutro przedłożyć raport.

– Jest pan bezczelny. Do tego...

Bicki zacisnął usta i potrząsnął głową. Doskonale wyprostowany cofnął się do drzwi, zatrzymał na dwie sekundy, po czym wypadł na korytarz.

– Jutro pana rozliczę – wycedził na pożegnanie.

Deryło nie zwrócił na jego słowa uwagi. Natychmiast wybrał zapisany w telefonie numer i przytknął aparat do ucha. Anna Witner odebrała niemal od razu. Komisarz pośpiesznie się przedstawił, po czym niezwłocznie przeszedł do sedna.

– Kojarzyła pani dwie z zamordowanych osób. Wiele wskazuje, że za zbrodniami nie stoi Feliks Lauch, a ktoś, kto nadal jest groźny. Proszę otworzyć najnowsze zdjęcie przesłane dosłownie minutę temu na pani telefon oraz maila.

– Chwileczkę. Czy chodzi o ten telefon?

– Tak. Dostała pani wiadomość?

Witner nie odpowiedziała. Komisarz usłyszał stłumione odgłosy, trzeszczenie, wreszcie jej przyspieszony oddech.

– Skąd pan ma to zdjęcie? To jakiś dowcip?

– Nie mam humoru na robienie dowcipu psychiatrom. – Deryło odchrząknął. – Czy zna pani tego człowieka?

– Tak, to również mój pacjent. Dawno go nie wdziałam, ale swego czasu pracowaliśmy nad rozwiązaniem pewnego problemu. Mój Boże. Czy on...

Deryło cicho zaklął. Wszystko stało się dla niego całkowicie jasne. Musiał zadać jedno, ostatnie pytanie. Od ewentualnej odpowiedzi zależało, czy się w niczym nie pomylił. Być może zależało od niej również życie Tamary.

– Pani doktor, proszę mnie teraz uważnie posłuchać...

85

– Czy pani... Muszę zapytać wprost.

– Proszę pytać, komisarzu.

– Czy pani miała epizody depresji? Jest pani niepełnosprawna w wyniku wypadku, prawda? To nie jest niepełnosprawność od urodzenia... Takie wydarzenia, jak sądzę, pociągają za sobą rozmaite myśli.

– Ale co to ma ze mną wspólnego? Czy...

– Proszę odpowiedzieć. To bardzo ważne!

Lekarka westchnęła.

– Tak, owszem, od pewnego czasu walczę z depresją. Nadal jednak nie rozumiem...

Deryło przelknął ślinę i starał się opanować. Nadszedł czas na drugie, jeszcze ważniejsze pytanie.

– Pani Witner, mówimy o kilku ofiarach oraz o zagrożeniu bezpośrednio dla pani.

– Niech mnie pan nie straszy.

– Ja niczego nie przesądzam ani nie straszę. Po prostu myślę i chcę, aby wszystko skończyło się jak najlepiej.

Witner wypuściła powietrze prosto w mikrofon. Tymczasem Deryło na migi dał znać Brzeskiemu, by współpracowali z ViSirem, a sam rzucił się do drzwi. Działał spontanicznie i nie chciał mieć zbędnego towarzystwa. Elementy układanki dopasowywały się, lecz miał wrażenie, że część z nich nadal wciska na siłę.

– Niech mi pani powie, kto mógł mieć dostęp do danych pani pacjentów? Rozumiem, że ma pani system komputerowy powiązany z siecią.

– Spełniam wszelkie standardy bezpieczeństwa. Mam wykupione certyfikaty oraz...

– Nie o to pytam. Kto może wiedzieć o pani pacjentach oraz ich chorobach?

– Nie korzystam z żadnych portali umawiających wizyty ani dokonujących rejestracji online. – Głos Witner drżał. Lekarka była coraz bardziej zdenerwowana, jakby powaga słów komisarza dopiero zaczęła do niej docierać. – Portal ministerstwa jest ponoć bezwzględnie bezpieczny...

Deryło wpadł do dyżurki i zażądał wydania radiowozu. Niemał natychmiast otrzymał kluczyki. Z telefonem przy uchu podpisał dokumenty, po czym pognął na parking.

– Halo, jest tam pani? – zapytał, wypadając na dwór. Niebo było zaciągnięte chmurami

i właśnie zaczynało padać. Komisarz przygarbił się, po czym naciągnął kołnierz. – Halo?

– Tak. Wydaje mi się, że dane pacjentów oraz szczegóły terapii mogła zweryfikować tylko jedna osoba.

– Piotr Mund – odpowiedział za nią Deryło. – Zgadza się?

– Tak, tylko...

Komisarz uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu. Nieoznakowany radiowóz z piskiem opon wyrwał ku bramie wyjazdowej.

– Proszę nikogo nie wpuszczać do gabinetu i zamknąć drzwi! – wrzeszczał. – Pani jest ostatnim elementem układanki! Rozumie pani? Proszę uważać i czekać, aż do pani przyjadę!

– Ale Piotr. Przecież on... On tu jest!

86

Deryło zostawił auto na poboczu i rzucił się biegiem ku niewielkiemu budynkowi, w którym mieścił się gabinet oraz dom Anny Witner. Furtka była otwarta, a na krótkim podjeździe zebrały się kałuże. Błyskawicznie dopadł do drzwi wejściowych i wpadł do recepcji.

– Pani doktor!

W dłoni ścisnął służbowego glocka, gotów do natychmiastowej reakcji. Stał plecami do ściany i przesunął się o kilka kroków w lewo.

– Pani doktor Witner!

Odpowiedziała mu cisza. Wokół panował porządek, nie dostrzegł żadnych śladów walki ani rozgardiaszu. Biurko recepcyjne było czyste, nie znajdowały się na nim żadne dokumenty ani notatki. Nigdzie nie było również Munda.

Deryło ostrożnie, pilnie nasłuchując, zrobił krok ku gabinetowi lekarki. Zerknął do niewielkiej toalety, aby na wszelki wypadek nie pozostawić za sobą niesprawdzonych pomieszczeń. Powoli posuwał się dalej. Nagle zatrzymał się i nabrał powietrza. Odliczył w myślach do trzech, ale ciszy nie przerwał żaden odgłos.

Z wyciągniętym przed siebie pistoletem wynurzył się zza załomu ściany. Pchnął nogą drzwi, po czym wypadł za kolejny winkel, mierząc do wnętrza gabinetu.

– Cholera... – syknął.

Na podłodze leżało kilka kartek oraz przewrócony metalowy wieszak. Stolik obok kozetki był przesunięty, a porcelanowy wazon stłuczony.

Deryło błyskawicznie ocenił sytuację. Przybył za późno i nic nie zapowiadało, by mógł w jakikolwiek sposób pomóc Witner. Nie miał pojęcia, dokąd lekarka mogła zostać zabrana, a tym samym tracił jakikolwiek łącznik z Haler i resztą porwanych. Gdyby domyślił się wszystkiego nieco wcześniej... Mógłby zjawić się na miejscu i po prostu aresztować Munda, ale mężczyzna zdawał się wszystko doskonale rozgrywać. Nie pozostawiał żadnego marginesu błędu ani pola do popisu dla komisarza. Prowadził grę, jak po sznurku realizując kolejne punkty planu.

Uwagę komisarza przykuła kartka leżąca na samym środku biurka. Nakreślono na niej coś ciemnoczerwonym, wyrazistym atramentem. Chyba że... Deryło zagryzł wargę.

Krew.

Nie miał wątpliwości, że szaleniec po raz kolejny nakreślił swoją wiadomość krwią. Składały się na nią jedynie cztery słowa.

Spotkamy się w piekle.

– Niech cię szlag – syknął Deryło. – Niech cię wszyscy diabli.

Zamarł w bezruchu, starając się zastanowić, na co zwróciłaby teraz uwagę Haler. Na nieporządek? Na treść wiadomości? Nie, ta przecież była zbyt prosta i oczywista. Nie mógł się kryć w niej żaden sens. A może uznałaby, że należy przeszukać gabinet lub cały budynek? Zdałaby się na pomoc kryminalistów i nie zważała na upływ czasu? Z pewnością była znacznie bardziej cierpliwa niż on, ale z drugiej strony...

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek leżącego na biurku telefonu. Był to bezprzewodowy aparat z dużym wyświetlaczem oraz fizycznymi przyciskami. To zapewne z niego korzystała

doktor Witner i na niego przed niespełną półgodziną Deryło przesłał zdjęcie uprowadzonego pacjenta.

Komisarz miał najgorsze przeczucie. Powoli, niemal się skradając, podszedł do biurka. Sięgnął po słuchawkę, po czym wcisnął zielony przycisk.

– Halo?

Tak jak się spodziewał, dobiegł go charkotliwy dźwięk upiornego głosu. Serce uderzyło mu o żebra ze zdwojoną siłą.

87

– Jak wiele jest w panu woli życia, komisarzu? Czy to w ogóle podlega jakimkolwiek pomiarowi? Mamy określoną liczbę krwinek, płytek krwi, konkretną pojemność mózgu oraz płuc, ale czy mamy jakąś przypisaną porcję woli życia?

– Gdzie jest doktor Witner? – wycedził Deryło. – Gdzie jest Tamara i reszta osób?

– Nie interesują pana pytania, które stawiam? Wobec tego mnie całkowicie nie interesują te zadawane przez pana.

Komisarz się skrzywił i furiacko rozejrzał po niewielkim gabinecie. Przesunął się, by wyjrzieć za okno. Przeszło mu przez myśl, że szaleniec mógłby właśnie obserwować go z bezpiecznej odległości. Skąd? Po drugiej stronie ulicy stał zaparkowany amerykański pick-up, lecz w obszernej kabinie nie dostrzegł choćby zarysu postaci. Dwa pozostałe, znacznie mniejsza auta, również zdawały się puste. Poza tym na parterze długiego bloku ciągnął się rząd garaży i klatek schodowych. W szeregowcu z pewnością mieszkało kilka rodzin, ale komisarz nie dostrzegł żadnego ruchu przy jakimkolwiek oknie.

Cisza. Pustka. Śmierć.

– Nie wiem, czy wola życia jest policzalna. – Deryło sapnął. Uznał, że powinien chociaż spróbować zagrać w grę podsunętą przez szaleńca. – Nie mam pojęcia, czy można ją zmierzyć, ale wiem, że zmienia się w trakcie życia. I w zależności od sytuacji.

– Zaczyna pan całkiem sensownie myśleć.

– Odpowiadam na twoje pytanie. Liczę na to samo.

– To uczciwa propozycja. Coś za coś, prawda? Nie można otrzymać niczego za darmo.

– Sam zaproponowałeś wymianę.

– Czyżby? Zrozumiał pan moje słowa całkowicie opacznie, ale mniejsza o to. Jestem skłonny powiedzieć panu, gdzie są porwane osoby, o ile pan będzie grał uczciwie.

Deryło odszedł od okna i powoli skierował się do wyjścia. Był gotów w każdej chwili odeprzeć ewentualny atak. Spodziewał się, że szaleniec może spróbować go zaatakować właśnie tu, nieco na uboczu i w najmniej oczywistym miejscu. Choć czy odważyłby się zaryzykować? Przecież mógł tu przyjechać z policyjną obstawą i otoczyć cały teren szczelnym kordonem.

– Jakie są reguły tej gry? – zapytał, zatrzymawszy się przy recepcji. – Muszę je znać, jeśli mam wziąć w niej udział.

– Życie to gra, komisarzu. A czy ktokolwiek tłumaczy nam jego zasady?

– Każda spotkana osoba jest naszym nauczycielem, ale ja...

Szaleniec wszedł mu w słowo.

– Podstawową zasadą jest ta, że będzie pan działał sam. Żadnego wsparcia, żadnego ogona, żadnego oszukiwania.

– To trzy zasady.

– Jak dla mnie jedna, wyrażona na kilka sposobów, ale mniejsza z tym. – Szaleniec głośno fuknął. – Niedługo sprawdzimy, jak wiele jest woli życia w panu, komisarzu.

– Co niby chcesz sprawdzać?

Deryło wyszedł przed biuro i uważnie rozejrzał się wokół. Ulica była niemal pusta. Jedyne obściskująca się para stała przed jedną z klatek schodowych, a pojedyncze auta skręcały w pobliską przecznicę. Nic podejrzanego nie zwróciło jego uwagi. Symboliczną pocięchę stanowił fakt, że telefon przynajmniej nadal utrzymywał zasięg.

– Sprawdzimy, jak wiele jest pan w stanie oddać za Tamarę Haler. – Szaleniec zrobił wymowną pauzę, po czym ciągnął dalej: – Wiem, że zrobiliby pan wiele, ale jak wiele?

– Czego oczekujesz?

– Zastanawiam się, czy oddałby pan za nią życie?

Deryło zagryzł wargę i opuścił pistolet. Schował go do kabury, po czym ruszył w stronę radiowozu. Pytanie szaleńca rozbrzmiewało mu w głowie. Znał na nie odpowiedź, lecz nie zamierzał jej udzielić. Stanowiła niemal intymny element jego etosu mężczyzny. Nie wspominając o etosach ojca, przyjaciela i policjanta.

– Odpowiedziałem na twoje pytania, teraz czas na ciebie – wycedził. – Coś za coś, pamiętasz?

– Oczywiście. Bez tego nie byłoby dobrej zabawy. A bez zabawy nie ma życia, zgodzi się pan ze mną? Kiedyś się pan wiele bawił, wiem o tym. Sporo o panu czytałem.

Deryło się nie odezwał. Wsiadł do radiowozu i ponownie bacznie lustrował okolicę.

– Proszę zapisać sobie współrzędne, które zaraz panu podyktuję. I niech pan pamięta o wcześniejszych zasadach, bo ich złamanie będzie równało się natychmiastowej śmierci paru osób. Wyrażam się jasno?

88

W końcu Deryło musiał osobiście przeskoczyć się z obsługi GPS-u. Wpisanie właściwych danych do nawigacji zajęło mu kilka dobrych minut. Gdy wydawało mu się, że odnalazł prawidłową funkcję, okazywało się, że musi tam podać adres, a nie szereg podyktowanych przez zbrodniarza cyfr. W końcu całkowitym przypadkiem trafił na opcję pozwalającą na wpisanie współrzędnych. Aplikacja przez chwilę trawiła dane, wreszcie wyświetliła na mapie punkt odległy od obecnej pozycji auta o dwadzieścia sześć kilometrów. Znajdował się on na skraju podlubelskiego parku krajobrazowego.

Deryło uruchomił silnik i ruszył zgodnie ze wskazaniem nawigacji. Morderca rozłączył się. Tymczasem telefon doktor Witner stracił połączenie z bazą, a przez to również zasięg.

Przez chwilę komisarz rozważał, czy nie powinien o wszystkim powiadomić komendy. Uznał jednak, że po pierwsze, nie ma na to czasu, a po drugie, mogłoby to być zbyt ryzykowne. Oczywiście, zgodnie z procedurami miał obowiązek zawiadomić grupę uderzeniową i zdać się na jej przywództwo, lecz to nie wchodziło w grę. Podświadomie czuł, że morderca natychmiast spełniłby swoją groźbę i pozbawił życia wszystkie porwane osoby. Nie wiadomo, jakie miał kontakty oraz gdzie umieścił swoje wtyki. Deryło dopuszczał nawet ewentualność, że w jakiś sposób obserwuje działanie służb. Nie sądził, by mieli kreta, ale nie był bezgranicznie ufny wobec szczelności systemów informatycznych oraz ich zabezpieczeń.

Szaleniec nie określił żadnego terminu, w którym komisarz miał zjawić się w wyznaczonym miejscu. Mimo to Deryło łamał wszelkie możliwe przepisy, nie bacząc na jakiegokolwiek ograniczania prędkości ani znaki. Dwukrotnie przejechał na czerwonym świetle, modląc się w duszy, by nie sprowokować za sobą pościgu.

Gdy znalazł się na obwodnicy, poczuł wibrację telefonu. Momentalnie wyjął go z kieszeni, przekonany, że po raz kolejny kontaktuje się z nim porywacz. Rozczarowany dostrzegł numer Brzeskiego. Rozłączył się i rzucił aparat na miejsce pasażera. Nie zamierzał teraz wdawać się w jakiegokolwiek zbędne rozmowy. Nie zamierzał odpowiadać na pytania, gdzie jest ani co robi, choćby dlatego, by na wszelki wypadek nie sprowokować szaleńca. Musiał spróbować doprowadzić sprawę do końca na własną rękę. Zgodnie z narzuconymi regułami gry.

W pewnym momencie nawigacja wskazała, że powinien zjechać z obwodnicy, a następnie skierować się wąską jednopasmówką na północ. Posłusznie wykonał manewr, po czym ze zdumieniem dostrzegł, że wybrana droga stanowi awaryjną ścieżkę serwisową trasy szybkiego ruchu, a po kilkuset metrach zamienia się w wyboistą szutrówkę. Niebawem spore tablice poinformowały go, że znalazł się na terenie parku krajobrazowego i powinien przestrzegać jego regulaminu.

Na tym odcinku droga zapewne stanowiła szlak wędrówek pieszych i rowerowych, a auta miały na nią zakaz wjazdu. Zresztą lekko rozmoknięta nawierzchnia nie nosiła żadnych śladów kolein.

Ponowny dzwonek telefonu sprawił, że Deryło niemal podskoczył. Błyskawicznie sięgnął po aparat, lecz tym razem dostrzegł numer Bickiego. Inspektor rozłączył się zaledwie po czterech sygnałach. Komisarz westchnął, jednak gdy chciał odłożyć komórkę, zauważył, że łączy się z nią następny numer. Zastrzeżony i przez to bez przypisanego kontaktu.

Deryło drżącą dłonią odebrał. Jednocześnie zwolnił, widząc przed sobą wąski drewniany mostek zbudowany nad kanałem melioracyjnym.

– Niech pan śmiało jedzie – odezwał się szorstki głos. – Ta konstrukcja wytrzyma obciążenie radiowozu.

– Nie sądzę...

– Proszę mi uwierzyć. Dokonałem niezbędnych obliczeń. To całkiem proste. Przypomnę też, że nie ma pan czasu na wątpliwości.

Deryło zacisnął zęby. Wydawało mu się, że zbutwiałe deski z trudem wytrzymują ciężar przechodzących po nich pieszych, ale musiał zaryzykować. Wcisnął pedał gazu, rozpędzając auto do prawie trzydziestu kilometrów na godzinę. Rów miał około trzech metrów szerokości, a most zawieszony był nieco ponad metr nad taflą wody.

– Cholera... – syknął, gdy konstrukcja zatrzeszczała i na moment wydało mu się, że spada.

Deski ugięły się, lecz wytrzymały. Komisarz głośno odetchnął i ponownie dodał gazu, rozrzucając na boki żwir. Nawigacja wskazywała, że był niemal u celu, który stanowił rozstaj wąziutkich ścieżek.

– Proszę jechać w lewo – nakazał mu głos. – I mówilem, żeby nie próbował pan nikogo ciągnąć za sobą...

Jego rozmówca zakończył połączenie, a w tej samej chwili Deryło usłyszał ogromny huk i zgrzyt gnącego się metalu.

89

– Co się tam stało, do cholery?

Deryło raz po raz zerkał w lusterko, lecz jedynym, co dostrzegł, była niewielka smużka dymu. Chwilę po tym, jak coś wybuchło kilkaset metrów za nim, szalencie ponownie zadzwonił.

– Musiałem się rozłączyć, aby w pełni się skupić na planie bezpieczeństwa – wycedził. – Usiłował mnie pan oszukać.

– Co takiego?

– Złamał pan reguły gry, a przez to za chwilę ktoś zginie. To pańska wina.

Komisarz zacisnął dłonie na kierownicy i zagryzł zęby. Wjechał na błotnistą ścieżkę wiodącą między coraz gęstszymi drzewami oraz bagnami.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Czyżby? W okolicy zainstalowałem kilka kamer, które pozwalają mi na uzyskanie szerszego spojrzenia na sytuację.

– No i? Mów szybciej, bo zaraz mój samochód się zakopie. To nie jest auto terenowe.

Szalencie parsknął.

– Jechało za panem kilka pojazdów policyjnych. Jeden wóz, zapewne antyterrorystów, oraz trzy radiowozy. Chciał mnie pan oszukać.

– Co takiego? Z nikim się nie kontaktowałem! – Deryło wściekle uderzył dłonią o kierownicę. – Nikomu nie rób krzywdy, rozumiesz?

– To pan nie zrozumiał.

Z głośnika telefonu dobieły się odgłos tępego uderzenia oraz stłumiony jęk.

– Przestań! – wrzasnął z całych sił komisarz. – Chyba wiem, co się stało. To nie jest moja wina! Auto, którym jadę, zapewne zostało wyposażone w system lokalizacyjny. Po tym, jak odrzuciłem kolejne połączenia z komendy, musieli zacząć mnie tropić.

- To ciekawa historyjka.
- To prawda, a nie historyjka.

Szaleniec kilkakrotnie wymownie cmoknął, po czym zagwizdał.

- Okej. Wierzę panu, szkoda byłoby już teraz zrezygnować z zabawy. Proszę wyłączyć nadajnik w aucie.

- Już to zrobiłem.

- W akcie własnej dobrej woli? Jest pan niesamowity. Doskonale się z panem współpracuje, komisarzu.

Deryło ciężko sapnął. Droga stawała się coraz węższa i bardziej błotnista. Do tego zaczął kropić deszcz. Samochód policyjny, choć specjalnie przystosowany do poruszania się poza utwardzonymi ulicami, nie był wozem terenowym. Koła poruszały się coraz bardziej ospale, a w ruch poszły wszystkie systemy elektroniczne. Mimo to pojazd coraz trudniej poddawał się jakiegokolwiek kontroli.

- Nie dam rady dłużej jechać. - Deryło bezsilnie dodał gaz, ale koła jedynie zabuksowały. Włączył bieg wsteczny, lecz i to na nic się zdało. - Tędy mógłby przejechać jedynie ciągnik albo czołg.

- Wiem, panie komisarzu. Dlatego proszę teraz wysiąść i skierować się ścieżką w prawo. Widzi ją pan?

Komisarz posłusznie opuścił radiowóz i brnąc w błocie, obszedł jego przód. Rozejrzał się, lecz dopiero po chwili dostrzegł wąską ścieżynę prowadzącą między wyschniętymi zaroślami.

- Przecież to droga przez bagna.

- Proszę mi zaufać. Czy nasza przygoda mogłaby się zakończyć tak banalnie? Czy myśli pan, że dalbym się panu utopić w tej kompletnej głuszy?

Deryło ruszył we wskazanym kierunku. Tam, dokąd zmierzał, albo nie było osób uprowadzonych przez zbrodniarza, albo musiał je sprowadzić inną drogą. Przeprowadzenie kogokolwiek tą ścieżyną graniczyłoby z cudem. Ostre, suche gałęzie zahaczały się o ubranie i raniły twarz. Komisarz pochylił głowę, sunąc przed siebie jak taran. Co chwilę cicho kłął.

- Już niedaleko. Właściwie chyba pana widzę.

Rzeczywiście krzaki zaczęły się przerzedzać, a ścieżka stała się twardsza. Deryło wyprostował się i rozejrzał w poszukiwaniu umieszczonych na drzewach kamer. Żadnej jednak nie dostrzegł. Przyśpieszył kroku, poruszając się pewniej i bardziej stabilnie.

- Dokąd mam iść?

W momencie, gdy wypowiedział to pytanie, dostrzegł spory ceglany budynek z przechylonym kominem. Znajdował się około stu metrów przed nim, tonąc w rozmaitej roślinności. Okna były powybijane, a pozbawiony drzwi otwór zapraszał do tonącego w mroku wnętrza. Musiał to być dawny browar dworski lub budynek podobnej użyteczności. Gdzieś z tyłu unosiła się smużka gęstego dymu. Deryło na moment przystanął, nabrał powietrza i hardo ruszył przed siebie.

- Zapraszam do środka, komisarzu. Proszę się rozgościć.

90

Deryło stanął jak wryty. Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu, które stanowiło dawną sien budyńku. Przed nim rozciągał się korytarz, który zakręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Nie było żadnej możliwości iść dalej, jednak to z tego wąskiego przesmyku unosił się dym, który dostrzegł jeszcze przed budynkiem. Z podłogi polanej środkami łatwopalnymi i wysypanej jakąś proszkowatą substancją strzelały wysokie języki ognia. Ze swojej perspektywy komisarz nie był w stanie oszacować, na jakiej długości wzniecono pożar.

- No dalej, mój drogi - odezwał się głos w telefonie. - Mówiłem, że sprawdzimy, jak wiele jest pan w stanie poświęcić dla kochanej podkomisarz Haler.

- Przecież to cholerny ogień. Jak mam iść?

- Owszem. Nie słyszał pan o hinduskich derwiszach? - Szaleniec zaśmiał się charkotliwie. -

Oni stąpają po ogniu i w ogóle się nim nie przejmują.

– Nie jestem hinduskim derwiszem.

– Może warto spróbować nim zostać? Włączam stoper. Jeśli nie pojawi się pan przy mnie w ciągu dwóch minut, zamorduję te wszystkie bydłeta.

– Przestań! Nie umawialiśmy się na to!

– Obawiam się, że nie ma pan zbyt dobrej pozycji negocjacyjnej.

Deryło nabral powietrza i zakrył twarz połą marynarki. Mimo to, gdy poruszył się o krok do przodu, miał wrażenie, że dym przenika jego całe ciało. Nawet nie oddychając, czuł go w nosie i gardle. Odchrząknął i splunął gęstą śliną.

– Jeśli przejdę przez to pieprzone ognisko, obiecuję, że ich uwolnisz. Obiecuję to!

– Chyba mówiłem, że nie ma pan zbyt wielu kart w dłoni. Negocjacje nie mają sensu.

– Choć jedną osobę, żebym wiedział, że to uczciwa gra. Przecież też ci na tym zależy! –

Deryło parsknął. Odwoływał się do najgłębszych pokładów empatii, starając się wgryźć w intencje szaleńca. – Jaka jest przyjemność grać w coś, w co z góry się wygrało? Zamierzasz coś pokazać, niesiesz jakieś przesłanie, udowodnij więc, że sam reprezentujesz jakąkolwiek wartość.

Jego rozmówca mlasnął, po czym cicho się zaśmiał.

– Dobrze. Jedna osoba, o ile przeżyje pan tę próbę. Zostało panu siedemdziesiąt sekund.

– Mamy więc umowę!

– Sześćdziesiąt siedem sekund. Sześćdziesiąt sześć...

Deryło pochylił się i jeszcze szerszej owinał marynarką. Nie miał pojęcia, jak długi odcinek wypełnia ogień, co było najgorsze. Gdyby przebiegł kilka metrów i trafił w jeszcze większe płomienie, nie dałby rady zawrócić. Skazałby się na śmierć. Musiał jednak zaryzykować, wierząc, że szaleniec miał jakiś plan. Tak starannie przygotowując się na jego przyjęcie, wszystko by zepsuł zbyt szybkim zakończeniem gry. Chyba że... Chyba że dokładnie wyprzedził myślenie komisarza i w ten sposób pozwalał mu popełnić samobójstwo. Dokładnie przecież do tego sprowadzało się jego przesłanie. Do doceniania wartości życia oraz pobudzenia trwogi przed śmiercią.

– Sześćdziesiąt dwa...

Deryło zacisnął zęby, po czym rzucił się do przodu. Czuł, jak języki ognia wspinają się po jego łydkach i smagają poły marynarki. Czuł potworny, piekielny gorąc. Podeszwy jego butów topiły się i przywierały do podłoża. Gęsty dym po kilku krokach sprawił, że nie był pewien, czy zmierza we właściwą stronę. Stracił orientację i zrobiło mu się niedobrze. Z trudem powstrzymywał mdłości.

Pędził z zamkniętymi oczami. Wyciągnął dłoń, by nie wpaść na ścianę, lecz ogień momentalnie go poparzył. Jęknął z bólu. Miał wrażenie, że nogawki jego spodni zaczęły płonąć. Wreszcie wypadł zza załomu muru i otworzył oczy. Przed nim rozciągało się dalsze morze płomieni. Był stracony.

91

„A więc tak wygląda koniec?”

To była myśl, która sprawiła, że Deryło niemal wybuchnął śmiechem. Mimo że smagały go języki ognia, jego buty przypominały rozpuszczoną masę gumy i tłące się skóry, a nogawki spodni pokrywały się popiołem. Poparzone ręce drżały, lecz wciąż były gotowe do walki. Tylko z kim? Skoro rozciągał się przed nim kolejny korytarz, musiał zginąć. Nie było dla niego żadnego ratunku. Powrót przez kilkanaście metrów coraz wyższych płomieni nie wchodził w grę.

A więc tak wygląda koniec.

Wypuścił z dłoni telefon i zacisnął zęby. Z całej siły powstrzymywał się, by nie nabrać powietrza. To nieustannie parzyło jego skórę i obklejało ją gęstym dymem.

Deryło zmusił się do ostatniego, szaleńczego wysiłku. Rzucił się przed siebie z zamkniętymi oczami i z dłońmi schowanymi pod marynarką. Ochraniał już tylko głowę. Dusił się, wypuszczając z płuc resztki powietrza. Byle tylko nie wziąć oddechu. Byle tylko się nie poddać. Gdzieś tam czekały na jego pomoc Haler i kolejne osoby. Niewinni ludzie, których w policyjnej rocie obiecał

strzec. Nawet za cenę własnego życia.

Tyle że aby ich uratować, musiał żyć. Martwy nie mógł się nikomu przysłużyć. Śmierć obracała go w nieużyteczną zbitkę tkanek.

Czuł, że ma opuchnięte, poparzone stopy. Podeszwy butów całkowicie się stopiły i skarpetki przylepiły się do skóry. Każdy ruch sprawiał mu niewyobrażalny ból, a jednocześnie niemal na niego nie zważał.

To koniec.

Gotów był po prostu położyć się na ziemi, nabrać powietrza i umrzeć. Jednak jakiś wewnętrzny głos, pierwotny instykt przetrwania, kazał mu biec dalej.

I wtedy stał się cud. Deryło z impetem rąbnął o ścianę, rozcinając sobie łuk brwiowy oraz policzek. Ale jednocześnie poczuł muśnięcie świeżego powietrza.

Otworzył oczy i odrzucił tłącą się marynarkę. Okazało się, że wypełniony płomieniami korytarz ponownie zakręca pod kątem ponad dziewięćdziesięciu stopni. Na jego końcu dostrzegł światło. Kłęby dymu były odprowadzane przez jakąś rurę wysoko ku górze. Zdał sobie sprawę, że w dawnej gorzelnii prawdopodobnie zabudowano szyb prowadzący do ogromnego pieca. To właśnie nim poruszał się przez ostatnie metry, a teraz znalazł się wreszcie w głównej sali budynku.

Wciągnął powietrze i natychmiast wybuchnął kaszlem. Dławiąc się i dysząc, padł na podłogę. Gołymi rękoma zaczął tłuc się po nogawkach spodni, na których pełgał ogień. Kilukrotnie przetoczył się po zimnej powierzchni i zwymiotował. W ustach czuł obrzydliwy posmak spalenizny. Zupełnie jakby jego organy zostały przypieczone. Pośpiesznie oceniał sytuację. W rzeczywistości poza powierzchownymi poparzeniami rąk oraz nóg wyszedł z tego w niezłym stanie. Choć ledwie mógł poruszać stopami, podniósł się i stanął w pozycji gotowej do walki. Dopiero wtedy zrozumiał, gdzie się znajduje.

92

Miejsce, do którego trafił Deryło, nie przypominało pomieszczenia w starym, opuszczonym browarze. Stanowiło raczej wymyślnie przygotowaną salę tortur. Do środka nie wpadało światło dzienne. Kilka otworów okiennych zostało starannie zabitych, a większość ścian pokrywały specjalne maty lub materiały służące zapewne jako warstwa izolacji akustycznej. Wzdłuż sufitu biegła metalowa szyna, do której przywiązane były trzy osoby. Tamara Haler wisiała pośrodku. Po jej bokach skrępowano Ruslanę oraz tłustawego pacjenta Witner. Zresztą to, że wisieli, stanowiło pewną przesadę. Każde z nich zostało umieszczone w taki sposób, by koniuszkami palców stać na małych stolkach. Wystarczyła nieuwaga, drobny ruch w bok lub utrata przytomności, by stracili oparcie i skazali się na okrutną torturę rozciąganych mięśni, ścięgien i stawów.

Tuż za Tamarą do metalowego wózka była przywiązana doktor Witner. Kobieta miała zaczerwienioną twarz i ręce skrępowane za plecami. Wszystkie ofiary zbrodniarza zostały zakneblowane.

Deryło miał wrażenie, że w powietrzu poza smrodem dymu wyczuwa słodkawą woń krwi. W pierwszym odruchu chciał rzucić się ku skrępowanym osobom, ale rozum i doświadczenie podpowiadały mu, że powinien zachować skrajną ostrożność. Nie wygrał gry. Nawet gdyby szalencie trzymał się jakichś reguł, on po prostu przeszedł pewien etap i znalazł się w finale. Nie miał po swojej stronie żadnych atutów.

Przesuwając się przy ścianie, zerknął na zawieszoną pod sufitem lampę. Prowadził do niej długi, gruby kabel podłączony do stojącego w rogu pomieszczenia agregatu. Maszyna cicho szumiała, zapewne napędzana generatorem na ropę. Nierównomierne przekazywanie paliwa sprawiało, że żarówki od czasu do czasu mrugały, jakby miały za moment zgasnąć. Być może zresztą paliwo właśnie się kończyło.

Komisarz wykonał kolejny krok, starając się nie zwracać uwagi na potworny ból stóp. Mimo to musiał się zatrzymać, by rzucić resztki nadpalonych butów. Wstrzymał powietrze i powstrzymując jęk, oderwał je od skóry wraz ze stopionymi skarpetkami. Przed oczami

przewinęły mu się kolorowe majaki. Przez chwilę z trudem utrzymywał równowagę, ale wreszcie udało mu się opanować. Z całych sił zaciskając zęby, brnął dalej.

Krok po kroku zbliżał się ku najbliższej ze skrupowanych osób. Rusłana znajdowała się już niemal na wyciągnięcie ręki. W momencie, gdy chciał do niej doskoczyć, kątem oka dostrzegł jakiś ruch na lewo od siebie. Natychmiast pochylił się, by sięgnąć do kabury, lecz uświadomił sobie, że nie ma jej przy boku. Ogromny ból sprawił, że nawet nie poczuł, gdy ją stracił.

– Szlag – wyszeptał, spoglądając prosto w oczy Munda.

Szaleniec mierzył do niego z czegoś, czego istotę zrozumiał dopiero po chwili. Mimowolnie cofnął się o krok.

– Nie rób tego... – wycedził. – Zastanów się...

93

Mierząca nieco ponad metr długości stalowa rura przymocowana była do kilkilitrowego zbiornika paliwa, połączonego z kolei z niewielkim palnikiem. Deryło pojął, że Mund trzyma prowizoryczny miotacz ognia. Mężczyzna uśmiechał się przy tym, odsłaniając zęby jak wściekle zwierzę przed atakiem.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Miło pana zobaczyć we własnych progach.

– Wypuść jedną osobę, tak jak obiecałeś.

– Sądzi pan, że dotrzymam słowa?

Deryło nie odpowiedział. Na sztywnych nogach i z napiętymi mięśniami całego ciała stał kilka metrów od Munda. Bacznie mierzył go wzrokiem. Szaleniec minimalnie opuścił broń i również nie spuszczał komisarza z oczu, podszedł do Rusłany. Jednym ruchem poluzował jakieś ogniwo, sprawiając, że łańcuch gwałtownie się opuścił, a kobieta upadła na podłogę.

– Otwórz drzwi do budynku – wycedził Deryło. – Ona nie da rady przejść między płomieniami.

– Więc niech leży – odparł Mund. – Miałem ją uwolnić i tak zrobiłem. Zapomniałem tylko panu powiedzieć, że wstrzyknąłem jej środek zwiotczający. Nie sądzę, żeby dała radę dowiec się choćby do pańskich stóp.

Komisarz się skrzywił. Nie zważając na szaleńca, podszedł do leżącej kobiety i ostrożnie obrócił ją na bok. Usunął knebel z jej ust. Rusłana oddychała ciężko, lecz regularnie. Nie potrafiła skupić spojrzenia na jednym punkcie, a jej twarz była zroszona potem.

– Koniec tych czułości – warknął Mund. – Ułożył ją pan w bezpiecznej pozycji, wykazał się isticie profesjonalnym medycznym doświadczeniem, a teraz lepiej niech pan słucha.

Deryło się wyprostował i ponownie ponuro spojrział na szaleńca. Następnie przeniósł wzrok na jego broń. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek została wypróbowana. W internecie zapewne można było znaleźć dziesiątki pomysłów, jak zrobić miotacz ognia, ale wbrew pozorom nie było łatwe wykonać go tak, by właściwie funkcjonował. Bardzo istotny element stanowił specjalny dozownik paliwa z filtrem. Bez niego naciśnięcie spustu spowodowałoby natychmiastowy zapłon benzyny. Najmniejsza nieszczelność skończyłaby się eksplozją i pożarem. Jednak liczenie na to, że Mund popełnił tak banalny błąd, byłoby skrajną naiwnością.

– Ma pan moje słowo, że ta suka pójdzie sobie wolno. Nie zabiję jej. – Mężczyzna poprawił chwyt na miotaczu płomieni i pochylił głowę. W jego oczach błysnęło nieokiełznane szaleństwo. – Teraz może pan uratować kolejną osobę. Pańską podwładną lub tego uroczego grubaska. Zdaje się, że oboje jeszcze niedawno chcieli umrzeć. Podobnie jak pani doktor, ale przygotowałem dla niej coś specjalnego.

Deryło złapał kontakt wzrokowy z Haler. Kobieta wbiła w niego ostre, znaczące spojrzenie. Wiedział, co ono oznacza. Już miał z nim do czynienia, gdy Tamara bez chwili zastanowienia była gotowa ofiarować swoje życie za życie innej osoby. Nie zamierzał teraz poddawać się wątpliwościom.

Jednak jakiegokolwiek próby podchwycenia tematu mogły stanowić grę na zwłokę. Tylko na co miałby czekać? Na pomoc? Nawet gdyby w pobliżu zjawili się policjanci, Mund musiał być na

to przygotowany. Zapewne monitorował całą okolicę, a w razie zagrożenia gotów był wszystkich spalić. Mimo to komisarz wiedział, że należało chociaż spróbować negocjować. Zawsze tlił się cień szansy na powodzenie.

– Po co miałbym wybierać? Wypuść ich i uwięź mnie... – Uniósł ręce w geście poddania. –

Wtedy zwyciężysz w grze.

Mund spojrzał na niego z ukosa.

– Myśli pan, że jest moim przeciwnikiem? Że rozgrywaliśmy tę partię między sobą?

– To do mnie kierowałeś kolejne wiadomości. Niby z kim miałbyś grać?

Szaleniec z rozbawieniem pokręcił głową. Powiódł wzrokiem po skrzepowanych osobach, po leżącej na ziemi Rusłanie, wreszcie wbił wzrok w Deryłę. Ciężko westchnął.

– Moim przeciwnikiem od początku był wyłącznie strach przed życiem. Każdy, kto pragnie umrzeć, w najmniejszym stopniu nie zasługuje, by żyć. Nie rozumie pan, że chciałem im wszystkim pomóc? Chciałem, aby spełniło się to, czego pragnęli, lub aby zrozumieli, że nie ma nic piękniejszego od życia.

– Już to zrozumieli – wycedził Deryło. – Wypuść ich.

– Czyżby? A pan? Dzięki nim być może pan zrozumie to w dwójnasób.

Komisarz nie miał pojęcia, co Mund miał na myśli. Opuścił dłonie i przelknął ślinę.

– Uratuje pan jedno z nich, jeżeli sam pan zginie – wycedził szaleniec. – Odważy się pan popełnić samobójstwo, by ocalić ich życie?

94

Mund sięgnął do kieszeni, po czym rzucił coś w stronę komisarza. Deryło z zainteresowaniem spojrzał na niewielki plastikowy przedmiot. Schylił się i podniósł strzykawkę z założoną igłą oraz żółtawym płynem w środku.

– To roztwór strychniny z kilkoma dodatkami – wyjaśnił szaleniec. – Po wstrzyknięciu domięśniowo w ciągu kilku sekund spowoduje paraliż... Czyli coś, czego tak bardzo obawia się podkomisarz Haler.

– Pieprz się.

– Na pewno to pana ostatnie przemówienie? Nędzne słowa jak na pożegnanie gwiazdy policji. Pieprz się...

– Miałbym uwierzyć, że moja śmierć coś zmieni?

Deryło ostrożnie obrócił strzykawkę i poczuł zimny pot oblepiający mu plecy. Ukradkiem przelknął ślinę. Tłoczek ślizgał się mu między wilgotnymi palcami.

Mund przesunął się nieco w bok, mijając Annę Witner. Lekarka powiodła za nim złęczonym spojrzeniem, ale mężczyzna nie zwrócił na nią żadnej uwagi. Wskazał palcem na leżącą u stóp Haler Ruslanę.

– Widzi pan? Dałem słowo i uwolniłem jedną osobę. Ona przeżyje, gwarantuję to panu. Jeżeli wstrzyknie pan sobie ten środek, uratuje pan kolejną osobę. – Mund uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Będę rozrzutny. Pańska dusza za dusze dwóch osób. To chyba dobry interes. Tym bardziej że drugie wyjście to śmierć was wszystkich. Liczę do trzech.

Deryło wściekle pokręcił głową. Miał pewien pomysł i zaczynał rozumieć motywację szaleńca. Przynajmniej obstawiał, że ją rozumie. Usiłując naśladować sposób analizy Haler, rozważał wszelkie za i przeciw, jakie mogły nim kierować. Odrzucił czysty obłąd, jako że Mund zachowywał się aż nazbyt racjonalnie. W tym tkwiło coś więcej. To musiało być coś skrajnie osobistego, co przemieniło się w irracjonalną wściekłość. Wściekłość, która znajdowała upust w morderstwach.

– Przestań. Możesz to jeszcze powstrzymać. Każesz ich za to, że na pewnym etapie życia cholernie się pogubili?

– Raz...

– Też tkwiłeś w dołku, prawda? Też byłeś taki jak oni.

– Dwa...

Przez twarz Munda nie przemknął nawet najdrobniejszy grymas. Wydawało się, że ma założoną maskę. Komisarz cały drżał. Zaciśnął palce na strzykawce i wstrzymał powietrze.

– Ktoś dla ciebie bliski się zabił – wymamrotał. – Skrzywdził cię tym, że wybrał śmierć, a nie życie.

– Trz...

Mund uniósł miotacz płomieni i przyłożył go do ramienia.

– Porzucił cię na świecie, a ty nie masz dość jaj, żeby zdecydować się na to samo. Może nawet mieliście się zabić wspólnie. Co? A ty stchórzyłeś.

95

Z twarzy Munda momentalnie zniknęła maska. Zastąpiły ją prawdziwe głębokie emocje. Mężczyzna zatrząsł się i nieco opuścił broń. Cicho zaklął.

– Nie stchórzyłem, mądralo – zaprotestował. – Odratowano mnie. Jakiś pieprzony nadgorliwy lekarz reanimował mnie przez prawie pół godziny. Rozumie pan to kurestwo? Jak można zmuszać do życia kogoś, kto ze wszystkich sił chce umrzeć?

Deryło zrobił krok w jego stronę.

– A jak można zmuszać do umierania kogoś, kto chce żyć? Nie rozumiesz, że robileś dokładnie to samo?

– O nie! Ja pomagam umrzeć osobom, które same nie miały dość odwagi. – Mund skinął głową w stronę ofiar zawieszonych na łańcuchach. – Żadna z nich nie chce żyć. Przynajmniej jeszcze niedawno nie chciała.

– Dlatego zgłaszali się po pomoc do doktor Witner? Dlatego szukali ratunku u specjalisty?

– To tylko przejawy słabości.

Z twarzy szaleńca zniknął jednak niedawny wyraz bezgranicznej wiary we własne słowa. Zastąpiła go ledwie widoczna, ale jednak dostrzegalna wątpliwość.

– Chęć umierania bywa chwilową słabością, opartą na nierównowadze chemii w ludzkim mózgu. – Deryło mówił to spokojnym, łagodnym tonem. – Sam chciałeś umrzeć, a jednak żyjesz. Nie próbowałeś się zabić po raz kolejny po odratowaniu.

– To nie tak!

– Nie chciałeś dołączyć do dziewczyny albo ktokolwiek to był...

– Narzeczona.

– Właśnie. Czy nie uważasz, że ją zdradziłeś? Nie, widzę, że jesteś od tego daleki. Wolisz żyć i to samo wołać ci wszyscy ludzie. Pozwól im na to.

– Niczego pan nie rozumie, komisarzu. Już jest za późno.

– Wcale nie. Nie obciążaj swojego sumienia śmiercią kolejnych osób. To był twój pomysł, abyście się zabili, prawda?

Mund wściekle parsknął i pokręcił głową. W jego oczach nagle zaskrzyły się łzy. Otworzył usta, lecz zaraz je zaciśnął, jakby się obawiał, że nie zdoła nic powiedzieć. Komisarz poczuł, że nadeszła pora, by działać. Zrobił kolejny krok w jego stronę i zdecydowanie wyciągnął dłoń. Wskazał na miotacz płomieni, po czym przesunął się jeszcze bliżej. Wystarczyło muśnięcie spustu, by zamienił się w kupę popiołu, ale starał się zachowywać całkowicie spokojnie.

– Oddaj mi to, zanim znów ktoś zginie.

Deryło był gotów doskoczyć do Munda i wyrwać mu miotacz ognia. Zwiertzył cię szansy. Napiął mięśnie, gotując się do gwałtownego zrywu. Wtedy stało się coś, czego kompletnie się nie spodziewał.

Anna Witner zerwała się z wózka i dopadła do swojego pracownika od tyłu. Jednym ruchem przecięła mu czymś gardło. Mężczyzna zacharczał, wbił przed siebie nic nierozumiejące, gasnące spojrzenie, a na jego koszulę spłynęła fala krwi. Nim upadł, Witner spokojnie odebrała mu broń.

– On zawsze był miękki – odezwała się, rozprostowując mięśnie karku. – Ja optowałam za tym, że wszyscy powinniśmy zginąć. Wszyscy bez wyjątku.

– Dlaczego to zrobiłaś?

To było wszystko, co Deryło był w stanie wybelkotać w reakcji na rozgrywające się na jego oczach wydarzenia. Był kompletnie zaskoczony. Oniemiały obserwował, jak Mund pada na kolana, jak krew tryska z jego szyi na podłogę, a wreszcie jak mężczyzna wali się twarzą prosto na ziemię.

– Dlaczego to, do cholery, zrobiłaś? – wycedził po raz kolejny. Widząc wycelowany w siebie ciemny otwór lufy miotacza ognia, rozłożył dłonie. – Spokojnie... Proszę.

Witner dotknęła spustu. Powiodła wzrokiem po podwieszonych na łańcuchach osobach, wreszcie zatrzymała wzrok na komisarzu. Jego bezgraniczne zdumienie najwyraźniej ją rozbawiło.

– Cudowne uzdrowienie, co? Mało oczy nie wyszły panu z orbit.

– Raczej trochę zaskakujący sposób dotrzymywania przysięgi lekarskiej.

– Czy można chronić życie, które już umarło? – Witner wciąż gładziła spust miotacza płomieni. Bez wątplenia była gotowa w każdej chwili go użyć. Głośno pociągnęła nosem i spojrzała na komisarza. – Byłam chora. Tylko dzięki modlitwom odzyskałam sprawność i regenerując się, wróciłam do pełnej samodzielności. Wie pan, ile mnie to kosztowało? – Zawiesiła głos i ciężko oddychając, zamilkła. Walczyła, by się nie rozplakać. Nagle się wyprostowała, po czym podjęła stanowczym, podniesionym tonem: – A ta banda idiotów nie potrafi tego docenić. Sama chce się zabić albo narzeka na życie. Jakie jest złe, męczące, bolesne, nudne... Ta dziwka prowadziła bloga pod tytułem „Złamana życiem”. Tam ją znalazłam. Trąbiła o depresji na lewo i prawo, jakby chwaliła się najlepszym CV, uwierzy pan? Cholerni durnie. Jednak wszyscy w momencie, gdy pokazuje się im prawdziwy ból, zdają sobie sprawę, że ich życie nie było tak bardzo złe. Chcą żyć. To magiczna kuracja, która trwa czasem ledwie kilka minut. Oto prawdziwe, cudowne ozdrowienia, komisarzu. Mnie pomogły modlitwy, im pomaga cierpienie.

Deryło przestąpił z nogi na nogę. Dostrzegł, że Haler, mrugając, usiłuje zwrócić na coś jego uwagę, lecz nie miał pojęcia, co ma na myśli. Westchnął, po czym zrobił pół kroku, ostrożnie zbliżając się do Witner. Kobieta natychmiast wymownie poprawiła broń.

– A Mund?

– Mund był świrem. Zwykłym psycholem, który grał tak, jak mu zagrałam. Wystarczyło kilka sesji, żeby aktywować w nim syndrom mesjasza, choć jeszcze parę dni wcześniej również pragnął umrzeć. Wspomogłam terapię kilkoma farmaceutykami, ale to szczegóły... Mniejsza z nim. To zwykły głupek z traumą oraz mnóstwem dziecinnych problemów.

– To człowiek – wycedził Deryło. – A ty go zabiłaś.

– Już panu mówiłam, komisarzu, że on i tak chciał umrzeć.

Komisarz pokręcił głową.

– Jeśli ktoś chce umrzeć, powinien mieć takie prawo. To jego sprawa. Jego życie i jego śmierć. Tak samo jak miał prawo szukać pomocy u specjalisty, któremu zaufał.

Witner parsknęła.

– Jak widać, ci ludzie nie mają pojęcia o tym, czy naprawdę chcą umrzeć, czy żyć.

– Nie tobie o tym decydować.

– Może tak, może nie. – Nagle lekarka uniosła miotacz i wymierzyła go w stronę Haler. – A może jednak tak? Oto efekty!

Deryło domyślił się, co pokazywała Tamara. Jej wzrok raz po raz kierował się na wózek inwalidzki stojący między nim i Witner. O tak, to była ich ostatnia szansa. Jedna na milion, ale...

Komisarz, nie bacząc na ból, kopnął naga stopą skraj wózka, tak że ten przekoziółkował. Serce zamarło mu w piersi. Zdawało się, że wózek jest zbyt lekki, by wyrządzić jakąkolwiek szkodę. Lekarka przytknęła miotacz do ramienia i zacisnęła usta. Jednak wtedy stało się to, co planował Deryło. Choć wózek dość lekko uderzył łydkę Witner, kobieta momentalnie ugięła się i niemal upadła na kolana. Jak u wielu osób, które pokonały paraliż, jej nerwy nie były w pełni zregenerowane. Zareagowały chaotycznie, przenosząc rozmaite impulsy bólowe. Jednak dzięki

uderzeniu komisarzowi udało się zyskać choć ułamek sekundy.

Błyskawicznie rzucił się w stronę lekarki. Wyciągnął zza pasa strzykawkę i się zamachnął. Kobieta nie zdążyła uskoczyć. Wbił igłę prosto w jej ramię. W tym samym momencie, gdy nacisnął tłoczek, Witner nacisnęła spust. Potężny jęzor ognia smagnął ścianę pomieszczenia. Podłoga, tak jak korytarz, musiała być pokryta łatwopalną substancją, gdyż w wielu miejscach momentalnie w górę strzeliły płomienie. Wszyscy znaleźli się w śmiertelnej pułapce.

Ku przerażeniu Deryły Witner nie wypuściła miotacza. Upadła na podłogę, lecz jej palec wciąż tkwił na spuście. Wymierzyła wprost w niego.

97

Deryło się zachwiał. Odruchowo przysłonił ręką twarz, spodziewając się, że lada moment omiecie go kula ognia. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Kątem oka dostrzegł, że Witner leży nieruchomo, a miotacz upadł na podłogę. Najwyraźniej zastrzyk z koktajlu substancji paraliżujących zaczął błyskawicznie działać. Kobieta jedynie delikatnie mrugała oraz usiłowała coś powiedzieć. Z jej ust dobywał się jednak tylko cichy charkot zagłuszany przez syk rozprzestrzeniającego się pożaru.

Deryło błyskawicznie znalazł się przy mężczyźnie zawieszonym na łańcuchu.

– Boże... – westchnął, widząc płataninę ogniów oraz kłódek. Lada moment on oraz Haler mieli splanąć żywcem. Niemożliwe było poradzenie sobie z tymi wszystkimi zabezpieczeniami.

Jednak przecież Mund bez problemu uwolnił Ruslanę. Zajęło mu to dwie, może trzy sekundy.

Deryło wstrzymał powietrze, które coraz bardziej przepelniało się dymem. Starał się jak najszybciej analizować sposób skrepowania mężczyzny. Po chwili zdał sobie sprawę, że kłódki tylko łączyły trzy łańcuchy, ale nie stanowiły blokady.

Wystarczyło, by...

Szarpnął jeden z łańcuchów, przepuszczając kolejne ogniwa przez metalowe koluszko. Skrepowany mężczyzna z impetem rąbnął o stół, o który się dotąd opierał czubkami palców. Wciąż miał na nadgarstkach kajdanki, lecz to nie było problemem. Przetoczył się na bok z dala od płomieni i skinął do komisarza, że sobie poradzi. Usiłował rozciągnąć zdrętwiałe mięśnie.

W momencie, gdy Deryło rzucił się ku Haler, w powietrze wystrzelił ogromny słup ognia. Podłoga przy stołkach musiała być wysmarowana grubszą warstwą substancji łatwopalnej niż w innych miejscach. Niebieskoczerwone płomienie sięgały niemal sufitu. Pożar zaczął szybko się rozszerzać ku leżącej nieruchomo Ruslanie.

Deryło na moment zamarł w bezruchu. Niczym na zwolnionym filmie obserwował strzelające w górę jęzory ognia, Haler wypływającą knebel i usiłującego wstać otyłego mężczyznę. Wszystkie te obrazy tworzyły jakiś szalony ciąg, który kompletnie go sparaliżował. Fala bólu przetoczyła się po jego ciele. Piekące stopy oraz łydki, niemal zeszywniałe dłonie, wreszcie lepki świąd oklejający przewód oddechowy i trzewia.

– Eryk! – Wrzask Haler przywołał go do rzeczywistości.

Komisarz chciał rzucić się w jej stronę, nie bacząc na wyrastającą ścianę ognia. Spomiędzy kłębow dymu oraz płomieni raz po raz wylaniał się zarys jej sylwetki.

– Pomóż im wyjść! – wrzasnęła Tamara. – Natychmiast! Nie ma czasu!

Deryło spostrzegł, że pukiel włosów Ruslany zaczynał się tlić. Nie analizując niczego, zadziałał całkowicie instynktownie. Dopadł do kobiety i zarzucił ją sobie na ramię. Ugięły się pod nim kolana, a palce stóp aż podkuły się z bólu. Mimo to komisarz biegiem rzucił się ku korytarzowi. Po drodze chwycił pod ramię grubasa. Pomógł mu wstać i pchnął go przed sobą.

– Nie bój się tych płomieni! – popędził go. – Pali się tylko kilka metrów. Jazda!

Mężczyzna ufnie rzucił się pędem przed siebie. Deryło, z trudem utrzymując Ruslanę, pognął za nim.

– Zaraz po ciebie wrócę! – krzyknął, zerkając przez ramię, jednak nie mógł już zobaczyć Tamary. Niemal całe pomieszczenie wypełniał ogień.

Tym razem pokonanie korytarza zabrało mu ledwie kilka sekund. W momencie, gdy dostrzegł jasność bijącą od wejścia, tuż przy nim rozległ się trzask. W tej samej chwili zza kłębow dymu wyłoniło się kilka postaci w mundurach. Coś trzasnęło ponownie, teraz znacznie bliżej.

Deryło poczuł potworny ból, a chwilę później całkowite odrętwienie. Wiedział, że zwałił się na ziemię, jednak nic nie czuł. Bezwolnie obserwował spadające zewsząd belki stropowe prowizorycznego korytarza. Konstrukcja składała się niczym domek z kart. Kolejne kłęby dymu unosiły się, jakby wydmuchiowano je z podziemnego pieca.

Komisarz tracił przytomność. Kolory się rozmywały, jego ciało stawało się bardzo lekkie, a dobiegające gdzieś z tyłu krzyki rozlegały się jakby za grubą zasłoną. Ogień obejmował jego koszulę, lecz już nic nie mógł z tym zrobić. Obserwował kogoś, kto, nie bacząc na pożar, odciąga na bok Ruslanę. Przynajmniej ona zostanie uratowana. Pomyślał o tym w chwili, gdy strop nad nim zaczął się szybko przesuwać, zupełnie jakby jakaś niewidzialna siła zamierzała zdjąć szyberdach nakrywający pomieszczenie. Dopiero po chwili Deryło pojął, że ktoś chwycił go pod ramiona i przeciągał na bok.

– Tam została Tamara... – wyszeptał, po czym osunął się w ciemność.

== FADE TO BLACK ==

POSŁOWIE

Ta historia nabierała ostatnich szlifów w momencie, gdy zdarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał. W Europie wybuchła wojna. Dzikie hordy ze wschodu zaatakowały suwerenne, niezależne państwo i dokonują kolejnych zbrodni wojennych. Jeszcze kilka tygodni temu ten scenariusz mógł wydawać się wizją istic szaloną. Nie ma brutalności, których człowiek nie jest w stanie popełnić. Nie ma granic, których nie potrafiłby przekroczyć.

Trudno mi prognozować, jak sytuacja będzie się miała za dwa miesiące, gdy planowana jest premiera tej powieści. Może nic się nie zmieni?

W tej chwili podróżujecie Państwo w przeszłość, która jest dla mnie teraźniejszością. Chciałbym wierzyć, że świat będzie całkowicie spokojny, a Ukraina w swych dawnych granicach utrzyma niepodległość. Chciałbym wierzyć i głęboko wierzę, że tak się stanie. Jeśli nie za dwa miesiące, to za pół roku lub rok. Musimy to przetrwać. Musimy zdawać egzaminy człowieczeństwa każdego dnia. Doskonale robimy to teraz (robiliśmy dwa miesiące przed przeczytaniem przez Państwa tych słów) i mam nadzieję, że będzie (jest) tak nadal. Może świat potrzebował wstrząsu? W końcu wszystko odbywa się po coś i ma jakiś sens. A jeżeli nawet tego sensu nie ma, musimy go nadawać. Podobnie jak w chaosie nasze mózgi starają się doszukiwać znajomych kształtów, tak w fermentie zdarzeń musimy definiować swoje miejsce. Opowiadajmy się za prawdą, za kulturą, za moralnością. Musi powrócić europejskość oraz świadomość światowej roli europejskich wartości. Żyliśmy zbyt wygodnie i zbyt bezpiecznie, ale to się zmieniło. Czas ponownie roznieść bliskie nam ideały, dając odpór dzikiemu barbarzyństwu. Ale dość już moralizatorstwa.

Pisząc te słowa, zastanawiam się nad tym, jaki będzie świat w dniu premiery tomu i... przychodzi mi do głowy tyle scenariuszy, tyle wydarzeń, że wystarczyłoby ich na kilka powieści. Oby jednak większość z nich pozostała fikcją. Nie zdradzając nic więcej, muszę postawić kropkę.

Cóż, nie mogę jednak zapominać, że niniejszym obchodzimy nasz jubileusz. Dziesięć tomów, dziesięć powieści o walce komisarza Deryły ze złem! Rozpoczynając pisanie Grzechu, nie miałem nawet pojęcia, że przeczyta go ktokolwiek poza najbliższym kręgiem mojej rodziny oraz przyjaciół. Tymczasem seria trafiła do rąk setek tysięcy czytelników, stając się jednym z najpopularniejszych cykli kryminalnych w Polsce. To niesamowite.

Dziękuję wszystkim, którzy towarzyszyli nam w tej przygodzie od samego początku, oraz tym, którzy dołączali już w trakcie podróży. Literatura stanowi doskonały sposób oderwania się od rzeczywistości i choć może napawać koszmarami lub niepokojem, jak widać, daje tę uniwersalną możliwość schronienia się w świecie fikcji. Do tego w świecie, w którym przez wszystkie dotychczasowe tomy dobro zawsze tryumfowało. Jak będzie tym razem? Sam nie wiem. Z pewnością jednak zżerająca mnie ciekawość nie pozwoli mi zbyt długo zwlekać z ponownym zagłębieniem się w świat mroku.

Czy powstanie kolejnych dziesięć tomów? Nie mam o tym pojęcia, tak samo jak nie wiem, co wydarzy się za dwa miesiące. Nie planuję tego i nie czynię żadnych założeń. Deryło oraz Halera mają całkowitą swobodę, a ich życie stało się autonomiczne. Tak jak życie każdego z nas zmierza ku nieznanemu, ku zaskoczeniom i niewiadomej. Być może czuwa nad nimi Bóg, a może rozciąga się nicość. Widząc jęzory płomieni, wydaje mi się, że należy porzucić wszelką nadzieję, lecz... To się okaże.

Najważniejsze, że niezmiennie do czegoś się przydają, służą – dając całych siebie ogromnej liczbie odbiorców. I mam nadzieję, że tak jak mnie, pozwalają na przeżycie wielu godzin pełnych emocji. Pragnę, by dostarczali ich jak najdłużej. Życzę nam tego z całego serca, jednak ostatnie zdanie tej powieści musi wybrzmieć zupełnie inaczej.

Sława Ukrainie, sława ludzkości, sława humanizmowi!

Max Czornyj